



Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



GENERAL JAN JACYNA

W I O S N A

(1918—1926)

WARSZAWA — 1931

SKŁAD GŁÓWNY:

INSTYTUT WYDAWNICZY „BIBLIOTEKA POLSKA“



GENERAL JAN JACYNA

W I O S N A

(1918 — 1926)

WARSZAWA — 1931

SKŁAD GŁÓWNY:

INSTYTUT WYDAWNICZY „BIBLIOTEKA POLSKA“

GENERAL JAN JACYNA

W I O S N A

(1918 — 1926)

W A R S Z A W A — 1 9 3 1

93/428/12

GENERAL JAN JACYNA

W I O S N A

DRUKARNIA D. O. K. Nr. 1.
WARSZAWA, DŁUGA 15.

34665/2



W A R S Z A W A — 1 9 3 1

WISNIA

Przedmowa.

Ogłaszając moje pamiętniki o przebiegu wypadków na terenach Wolnej Polski z okresu pierwszych ośmiu lat jej niepodległości, uważam za niezbędne przypomnieć czytelnikom kilka wybitniejszych momentów z dziejów naszego narodu do wybuchu wojny wszechświatowej w 1914 roku.

Coraz większe rozprężenie moralne, chaos, bezład, nieposkromiona samowola rozpanoszonej szlachty, w drugiej połowie XVIII wieku doprowadzają Polskę do Targowicy i trzech rozbiorów kraju przez państwa ościenne.

Polska zostaje zakuta w kajdany niewoli!

Z chwilą nastąpienia tej katastrofy naród budzi się z moralnego letargu i sprawdza się nasze przysłowie — w gruncie rzeczy tak arcysmutne i upokarzające — że „Polak — mądry po szkodzie!“.

Następuje nieustający szereg krwawych wysiłków w celu odzyskania utraconej wolności. Wszystkie one narazie nie dają konkretnych wyników, choć liczne zastępy najszlachetniejszych naszych obywateli składają ofiarnie na ołtarzu Ojczyzny i życie, i mienie!

W tych warunkach znaczną część społeczeństwa ogarnia coraz większy pesymizm, który nasz poeta ujmuje w te słowa:

„I z dni tych wszystkich wybranej kolei

Wyrasta napis — tu niema nadziei“.

Ludzie, pozbawieni hartu duchowego na dalszą metę, albo zupełnie rezygnują z ideałów swojego narodu, albo naginają się do warunków i płyną z prądem. Tylko nieliczni Tytani ducha

stale kroczą ciernistymi szlakami ku Wolności, przekazując z pokolenia w pokolenie Znicz ideałów narodowych. Dzięki im płomień ognia Wolnościowego nie ugasa. Z całego szeregu licznych tego przykładów wskażę jedynie kilka: Strejk szkolny w Warszawie w 1905 r. i wojskowe przysposobienie młodzieży na terenach zaboru austriackiego, rozpoczęte jeszcze w 1912 roku.

Po wybuchu wojny wszechświatowej, oba wojujące obozy Ententa i Państwa Centralne, wychodząc z zupełnie odmiennych założeń, ogłaszają, że po ukończeniu wojny nastąpi wskrzeszenie niepodległej Polski.

Przez mgławicy całun wiekowej niewoli zajaśniały nad krajem pierwsze promienie świtu Wolności!

Faktycznie niepodległość Polski staje się faktem dokonanym w listopadzie 1918 r., z chwilą zawarcia rozejmu przez Ententę z Państwami Centralnymi.

Wobec tego, że jeszcze w lipcu 1918 r. przyjechałem do Warszawy, otrzymuję możliwość już w listopadzie dostania się do szeregu pracowników, rozpoczynających rozbudowę fundamentów naszej Państwowości.

Czem dłuższym i surowszym był okres zimowy, tem gwałtowniejsze są potoki wiosenne, unoszące w zawrotnym rozpędzie zdruzgotane skorupy ze wszystkimi brudnymi naleciałościami na nich!...

Niestety, ten potężny potok nie uniósł wraz z kajdanami niewoli i naszych odwiecznych przywar narodowych!

Jak odmienny byłby całokształt dorobku duchowego, ekonomicznego i politycznego tych pierwszych lat, w porównaniu z tem, co się zdobyło w rzeczywistości, gdyby warunki naszego życia wewnętrznego były inne. I w innych krajach stale toczą się zażarte walki partyjne o władzę, wpływy i łatwe zarobki kosztem państwa, ale jednocześnie istnieje zrozumienie przez ogół społeczeństwa wytycznych zagadnień narodowych — czego nam zabrakło nie tylko w XVIII w., ale brakuje i obecnie, w XX wieku!

W tym pierwszym okresie naszej niepodległości górują u nas: zaognienie nienawiści partyjnej, ubieganie się za efektami na krótką metę, biurokratyzm, posunięty do absurdu, a więc zapanowanie formy nad treścią, ignorowanie fachowości,

wiedzy, zarozumiałość, tupet i zachłanne apetyty.

Obfity żer zbierają coraz to liczniejsze zastępy rekinów życiowych i farbowanych lisów — plaszcząc się lub prowokując przed władzą aktualną.

Coraz więcej są zadowoleni z obecnego stanu i nasi — niestety liczni — wrogowie i nie tylko zewnętrzni, ale i wewnętrzni...

Nie zapominajmy o tem strasznem memento mori naszego narodu: „być mądrym po szkodzie“!

Historja się powtarza.

Żeby podnieść i ulepszyć nasz stan ekonomiczny oraz położenie polityczne, z każdym rokiem więcej skomplikowane i trudniejsze do opanowania, niezbędną jest jak najrychlejsza wspólna praca niezaślepiionych waśnią partyjnych ideowych wykonawców, uzbrojonych w fachową wiedzę i doświadczenie życiowe.

Czas nagli.

Kto nie idzie naprzód — idzie w tył!

U w a g a. Obecna praca jest to uzupełnione i inaczej rozplanowane drugie wydanie moich poprzednich prac. (*W Wolnej Polsce i Przed przełomem*).

ROZDZIAŁ I.

Ziemio rodzima, kraju kochany,
W snach i marzeniach tylko widziany,
Wiódł mię ku Tobie urok nieznaný
Z dalekich stron!

Przyjazd do Warszawy.

Wyjechaliśmy z Petersburga w drugiej połowie lipca 1918 roku zupełnie niespodzianie.

Oboje z żoną, jak również i inni nasi rodacy, marzyliśmy o wyrwaniu się z tego coraz straszniejszego piekła bolszewickiego, ale w tym okresie w Petersburgu, miałem sporo aktualnej pracy społecznej i, muszę się przyznać, że narazie myślałem, że bolszewizm to tylko krótkotrwała koszmarna chmura, że oszołomione społeczeństwo rosyjskie opamięta się i zdusi komunizm, tem bardziej, że były po temu i realne wskaźniki. W początku 1918 roku armje Kołczaka, Aleksiejewa, Denikina i Kalednina, a potem i Judenicza osiągnęły szereg poważniejszych powodzeń, konne oddziały generała Szkury dosięgły już miasta Orła, znajdującego się w paruset kilometrach odległości od Moskwy, rząd bolszewicki uciekł z Petersburga do Moskwy, bo obawiano się zajęcia stolicy, bądź przez Niemców, bądź przez desant morski, bądź przez Finlandję. W obu stolicach grasowała epidemja cholery. Latem 1918 roku w mieście kursował dowcip jednego z dygnitarzy bolszewickich, że są oni już trupami, tylko niema ich kto pochować.

Pozatem oboje z żoną zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że w Warszawie, w tych warunkach, jakie istniały tam w okresie okupacji niemieckiej, znaleźć dla mnie pracę zarobkową było iluzją i należało tam przyjechać dobrze zaopatrzonym, bądź w gotówkę, bądź w kosztowności, ale, jak saif'y, tak i rachunki bieżące w bankach były już zagrabione przez bolszewików, również i spieniężenie cenniejszych sprzętów w tym okresie stało się faktycznie prawie niewykonalne.

Że nasze przypuszczenia były logiczne, sprawdziłem to w Warszawie: Po przyjeździe do Warszawy przypadkowo spotkałem na ulicy znajomego pułkownika P., z byłej armji rosyjskiej. w 1917 r. wstąpił on do pierwszego naszego korpusu i po rozbrojeniu korpusu w Bobrujsku znalazł się z rodziną w Warszawie, gdzie po długich poszukiwaniach znalazł wreszcie miejsce: robotnika przy piłowaniu belek na Wiśle i przez szereg tygodni za całodzienną pracę otrzymywał po 9 marek dziennie i bezpłatne bony na obiady dla niego i dla rodziny. Opowiadając to o sobie, dodał, że sporo oficerów z b. korpusu Dowbora Muśnickiego, żeby zarobić na życie dźwiga całemi dniami worki z węglem, solą, zbożem!

Ani Magistratowi, ani instytucjom społecznym, ani nikomu z wpływowych i zamożnych obywateli miasta nie przyszło na myśl, aby zorganizować pogotowie społeczne, któreby zajęło się losem tych wyjątkowo nieszczęśliwych ludzi. Pułkownik P. był mi znany, jako fachowy oficer artylerji w b. Rosji. Od listopada zostaje on zaliczony do armji polskiej, z biegiem czasu u nas w kraju awansuje na generała, zajmuje odpowiedzialne stanowisko, pozostając stale w armji czynnej. Umarł nagle kilka miesięcy temu.

Dla ścisłości muszę dodać jeszcze i to, że mieszkańcy Warszawy (nie wiem, jak było poza Warszawą) traktowali rodaków, uciekających przed terrorem bolszewickim, nietylko niezbyt gościnnie, ale powiedziałbym — oschle.

Jakże inaczej było na terenach b. Rosji, kiedy w 1915 roku kolonje polskie, nietylko w stolicy Rosji, ale w każdym większym centrum, z poświęceniem się, z entuzjazmem i ze szczerem sercem dzieliły się z przybyszami wszystkim, czem mogły i szły

na spotkanie potrzebom tych przymusowych emigrantów, których władze rosyjskie zmusiły do porzucenia kraju!

W Petersburgu było kilka domów polskich, w których stałe i, zdawało się, chętnie bywali Polacy przyjezdni, bądź z Warszawy, bądź z prowincji. Przyjmowano ich zawsze gościnnie. Do liczby tych ognisk należał ostatnio i nasz dom. Po przyjeździe do Warszawy — przy tych licznych towarzyskich stosunkach, jakie mieliśmy — przez dłuższy szereg, nawet i nie tygodni, a miesięcy, nie doznaliśmy nawet i tak zdawkowych grzeczności, jak zaproszenie na „filiżankę herbaty“...

W okresie ostatnich miesięcy naszego pobytu w Petersburgu nasza praca, nawet i po rozbrojeniu korpusu, stale trwała i nie zmniejszała się.

Przy olbrzymich obszarach b. Rosji (od stolicy do Władywostoku było 11 tysięcy kilometrów, do Taszkientu około 9 i t. p.) i coraz większej wewnętrznej dezorganizacji w Rosji, wstrząsy rewolucyjne 1917 roku i przewrót bolszewicki 1918 roku stale jeszcze reagowały — do Petersburga nie przestawały przyjeżdżać spóźnione delegacje wojskowych Polaków; potrzebne były wskazówki, a czasami i wsparcie.

Żeby mieć mniej więcej uzasadnione i „prawne“ (?) podstawy naszej działalności, jeszcze w maju zostało otwarte „Towarzystwo imienia Tadeusza Kościuszki“. Wybrano mnie na prezesa.

Trudno ściślej określić zakres działalności tej instytucji — było tam i zaopatrywanie w odzież, i materialna pomoc dla uciekających do kraju, ułatwianie wojskowym dostania się do Syberyjskiej Dywizji (a nawet czasami i na Murman), uświadamianie i organizowanie związków wśród robotników Polaków, a zatem od czerwca rozpoczyna się „dokarmianie“ coraz liczniejszej ilości uwięzionych rodaków, którym w upalne letnie dni władze bolszewickie dawały ćwierć funta chleba i po pół, często zgniętego, śledzia.

O naszych osobistych przeżyciach, a poniekąd i męczarniach, pisałem bardziej szczegółowo w moich wspomnieniach, ogłoszonych pod tytułem „30 lat w stolicy Rosji“.

Grono naszej kolonii petersburskiej coraz bardziej uszczuplało się, w znacznej mierze przyczynił się do tego lejtnant nie-

miecki ze sztabu Beselera w Warszawie, który, będąc łącznikowym oficerem między Warszawą a Petersburgiem, za łapówki przewoził najpierw kosztowności, a następnie wydawał przepustki na wyjazd do Warszawy.

W czerwcu wypadło mi pojechać na parę dni do Moskwy i, będąc tam, na wszelki wypadek zaopatrzyłem się w wizę poselstwa niemieckiego w Moskwie; zrobiłem to po pewnym „incydencie“, który mnie spotkał w Petersburgu w biurze naszej komisji reemigracyjnej. Dowiedziałem się, że rozpoczęto tam układanie spisu eszelonów, które, coprawda jeszcze niewiadomo kiedy, miano jednak rozpocząć wysyłać do Polski. Kierownik tego biura (inżynier-technolog K.) formalnie zakwestjonował nasze prawa do wyjazdu, uzasadniając to tem, że nie przedstawiłem mu dokumentów „że jesteśmy urodzeni w Kongresówce“, a więc, nie należymy do narodowości polskiej!

Żeby zmienić ten arcysmutny temat, wspomnę jeszcze o mojej „pojazdce“ do Moskwy. Kupiłem sobie bilet pierwszej klasy, w przedziale znalazło się 14 pasażerów (zamiast 4) i, jak wyjaśniło się w drodze, tylko dwóch nas jechało za opłaconemi biletami. W korytarzach (a nawet i na dachach wagonowych) było takie „przeludnienie“, że do sąsiedniego wagonu, młodych nowożeńców, odprowadzający ich przyjaciele „wpakowali“ do przedziału — przez okno...

W Moskwie było wyjątkowo brudno, ale zato z wiktuałami było znacznie lepiej, przez parę dni pobytu tam jadałem obiady w restauracjach, czego u nas w Petersburgu już oddawna nie było.

Nadszedł lipiec, żyliśmy nadal z dnia na dzień... 19 lipca zrana, w czasie mojej nieobecności, ktoś trzykrotnie przychodził, żeby rozmówić się ze mną na cztery oczy, potem przyszedł jeszcze raz po południu, zastał mnie i uprzedził, że tego dnia został przysłany z Moskwy rozkaz o moim areszcie, że mam być odesłany do więzienia w Kronstadcie, a więc muszę jak najprędzej zniknąć z Petersburga!

Byłem zaskoczony tą wiadomością i, zdając sobie sprawę z technicznej wprost trudności ucieczki pokryjому z żoną, decyduję się na próbę, która może wydać się paradoksalną — pójścia do komisarjatu komunistycznego dla spraw polskich celem

wystarania się tam o przepustki na prawo nabycia biletów kolejowych do pogranicznej stacji okupacji niemieckiej, Toroszyño.

Powiodło się nadspodziewanie pomyślnie, ale, że pociąg odchodził tylko raz na dzień po południu, przepustki wydawano tylko do g. 10 rano i wysyłano do urzędów spisy nazwisk tych, którzy mają prawo nabyć bilet. Otrzymałem przyrzeczenie otrzymania 3-ch przepustek nazajutrz rano.

Po powrocie zakomunikowałem żonie, że z powodu bardzo pilnych spraw społecznych, wyjeżdżamy jutro do Warszawy, ale na krótko, więc bez żadnego bagażu, bo obawiałem się komplikacyj na komorze w Toroszyńcu — muszę tu jednak zaznaczyć, że na granicy rosyjskiej faktycznie rzeczy nie przeglądano wcale — więc moglibyśmy byli zabrać z sobą sporo niezbędnych i cenniejszych rzeczy. Pisząc o tem, muszę przyznać, że tę ostatnią noc w Petersburgu miałem bardzo trwożną i wprost straszną: nie zmrúżywszy oka, nasłuchiwałem, czy przed dom nie podjedzie auto — po mnie!

Wyjechaliśmy 20 lipca pod wieczór, a w noc z 21 na 22 o godzinie 3-iej w nocy przyjechali po mnie czekałsi!

Zrana 21 byliśmy w Toroszyńcu, skąd przy braku wizy niemieckiej komunikacja ze Pskowem była naostrzona wszelkimi formalnościami, tak, że czekało się nawet i pod gołym niebem po kilka dni, a my, dzięki naszej wizie moskiewskiej, już po południu byliśmy w Pskowie!

Na stacji odbyły się bardzo powierzchowne oględziny lekarskie, poczem otrzymaliśmy prawo wjazdu do miasta.

Trafiliśmy do pensjonatu, utrzymywanego przez byłego komendanta miasta, pułkownika gwardji.

Parodniowy pobyt w Pskowie kosztował nas stosunkowo bardzo drogo, ale mieliśmy obfite i urozmaicone jedzenie, które po 17 miesięcznej głódówce, a w tem przez 9 miesięcy na „regimie“ bolszewickim — wydawało się nam wyjątkowo luksusowem.

Co zaś najwięcej nam imponowało—to tak od dawien dawna nieznana nam cisza i spokój duchowy!...

Nerwy, targane bez przerwy od chwili wybuchu rewolucji — odzyskały słusznie zasłużony wypoczynek!

Przygniatający nas tyle miesięcy kamień niepokoju o życie spada z piersi...

Zdołaliśmy się uratować!

Rozpoczyna się nowy okres życiowy!

Myśl leci do syna, z którym komunikowanie się z chwilą przyjazdu do okupacji niemieckiej pozostaje zerwane na czas nieokreślony...

Aby otrzymać pozwolenie na dalszy wyjazd ze Pskowa do Warszawy, należało przedstawić dwa zaświadczenia: o szczepieniu ospy i wzięciu dezynfekcyjnej kąpeli (to ostatnie miało bardzo nieestetyczną nazwę „świadcstwo od odwszenia“). Ospę zaszczepiliśmy, a drugie świadectwo otrzymałem od osoby „niewidzialnej“, której zobaczyłem tylko... galowy rękaw, a stało się to tak: poinformowano mnie, że świadectwo otrzymam, o ile w wskazanym gmachu rządowym złożę w otwartym nadole oknie nazwiska osób i datek pieniężny. Gdym to uczynił, tajemnicza ręka podała mi przez okno potrzebne zaświadczenie.

Od Pskowa do Dynaburga jechaliśmy nocą w wagonie towarowym, od Dynaburga mieliśmy już „sznell-zug“, nawet w wagonie restauracyjnym.

Przed oczyma przesuwają się tak dobrze znany od najmłodszych lat dziecinnych rodzimy krajobraz, ale jakże zmieniony!

Widać rowy, nasypy, spalone budynki. Ludność, jakby się pochowała, dużo ziemi leży odłogiem, na stacjach nie słychać swoistego w tych okolicach szwargotu ruchliwej, łapserdakowej „mniejszości narodowej“.

W Białymstoku zobaczyłem naszych legionistów i, patrząc na nich, nasuwa się myśl, czy wśród tych miłych chłopaków nie ma żołnierzy z naszego pierwszego korpusu, który w Bobrujsku rozbroili Niemcy.

Przyjechalśmy do Warszawy dość późnym wieczorem, na stacji czekała kareta z Bristolu. W drodze z dworca do hotelu nie zauważyłem nic szczególniejszego — narazie miałem wrażenie, że to ta sama przedwojenna Warszawa, tylko zamiast rosyjskich żandarmów i kozaków — niemieckie „pikelhauby“.

W Bristolu otrzymaliśmy dwa pokoje, ale nieco za „we-

sołe“, gdyż prawie przez całą noc dochodziły nas stłumione odgłosy hałasów i muzyki; okazało się później, że pokoje nasze mieściły się nad gabinetami, gdzie niestety dość liczni przedstawiciele „młodej Polski“, w gronie płci pięknej, przy kartach i winie — używali naumoru aż do rana!

Z małemi przerwami mieszkalem w Bristolu blisko 3 lata i miałem sposobność, jak z widzenia, tak i z opowiadań poznać część tego „grona“. Wśród nich widziało się także i niektórych z byłych stałych mieszkańców obu stolic Rosji i mogłem skonstatować, że większość z nich miała wrodzoną odrazę do militaryzmu, a więc i do służenia w szeregach, nie tylko wojska rosyjskiego (co byłoby zrozumiałe), ale następnie i swojego — polskiego!

W latach 1919 i 1920, kiedy nasza szlachetna, ideowa młodzież niosła w ofierze swoje zdrowie i życie, oni „noc w noc“ spędzali na hulatykach i kartach. Obecnie, z pośród tego „grona“ wyszło sporo „obywateli“, bądź czyhających na intratne stanowiska urzędowe i na najrozmaitsze geszefty, a bądź nawet i „krytyków“ rządu.

Po pierwszych tygodniach wypoczynku stawało się coraz smutniej z powodu beczynności i pod wpływem ogólnego przygnębienia.

Miałem w tym czasie wrażenie, że zamknięto mnie w łodzi podwodnej, do której aparaty wysyłają coraz mniej świeżego powietrza. Okupanci, poza cynicznym znęcaniem się nad ludnością, wyzyskiwali kraj ekonomicznie; cały okupowany kraj znalazł się, jakby pod prasą hydrauliczną, którą coraz mocniej śrubowano!

Wracam do moich przeżyć osobistych w tym pierwszym okresie pobytu w Warszawie...

Złożyłem wizyty regentom i kierownikowi naszymi sprawami wojskowymi oraz kilku znajomym, którzy przez szereg lat odwiedzali nas w Petersburgu. Zostałem rewizytowany i przy tej sposobności prowadziło się rozmowy, przeważnie treści „ogólnej“, i nie tylko, że nic mi nie zostało zaproponowane, ale wyczułem, że o żadnym poważniejszym warsztacie pracy nie może być i mowy! Tylko nasze nieliczne kółko starszych wojskowych z b. armji rosyjskiej rozpoczęło opracowywanie organizacji na-



szej przyszej artylerji i pozatem w połowie sierpnia ówczesny minister p. Mikułowski zaproponował mi ułożenie projektu poboru do wojska polskiego. Projekt ten miał być zaaprobowany jesienią w Radzie Stanu. Zaprosilem do współpracy znanych mi fachowców i projekt ułożyliśmy, ale nikt go nie rozpatrywał, bo otwarcie sesji Rady Stanu we wrześniu nie dochodzi do skutku z powodu braku quorum!

W tym okresie staje się wiadomem, że w niemieckiej kwatrze głównej zdecydowano dać Polsce króla w osobie arcyksięcia Stefana Habsburskiego, ale samo się przez się rozumie, że jako uzależnioną kreaturę Niemiec.

Nie zważając na to, że w Warszawie panowała wyjątkowo ostra cenzura wojskowa, od września dla wszystkich stawało się coraz widoczniejszym, że Państwa Centralne są w przededniu katastrofy, i wyczuwało się zbliżanie wypadków doniosłych i decydujących.

Chociaż opisuję tylko moje wspomnienia osobiste, rozpoczynające się od jesieni 1918 roku, uważam za wskazane, chociażby dla orjentacji tych czytelników, którzy, jak ja, nie byli au courant przebiegu wypadków w Warszawie w okresie okupacji niemieckiej — zakomunikować o kilku donioślejszych wydarzeniach z tego okresu.

W Warszawie okupanci gospodarowali zgórą 3 lata. Do przyjazdu mego do Warszawy nie byłem dobrze poinformowany, co się wtedy u nas działo, bo polska kolonja w Petersburgu, w tym okresie miała przeważnie tylko chaotyczne urywkowe wiadomości o przebiegu spraw w kraju. Dzięki znajomości z redaktorem jednego z rosyjskich dzienników stołecznych (p. Properem), otrzymywaliśmy od czasu do czasu gazety polskie z zaboru austriackiego. Przypominam sobie przyjemne zdziwienie metropolity Szeptyckiego, kiedy ten, po czasowem zesłaniu Jego ze Lwowa, otrzymał zezwolenie na powrót i, przejeżdżając przez Petersburg, będąc u nas z wizytą, otrzymał od żony sporą paczkę gazet polskich.

Zajęcie Warszawy przez Niemców (5 sierpnia 1915 roku) odbyło się spokojnie i bez przelewu krwi. Ale od pierwszego dnia do ostatniej chwili (10 listopada 1918 roku) kierunek rządu okupantów jest stały, jednolity i systematyczny, a mianowicie:

przy zachowaniu zewnętrznych pozorów prawa i lojalności, wyzysk, a właściwie rabunek obywateli i systematyczna, planowa ruina kraju — na daleką metę.

Okupacyjne władze, bez oporu, wywoziły z Polski nietylko zapasy żywnościowe, ale wszystkie maszyny fabryczne, a pozostałe w kraju systematycznie demolowały, aby całkowicie zrujnować polski przemysł, przede wszystkim łódzki. Jedynie, czego im się nie udało dopiąć, to otrzymania rekruta polskiego z byłego zaboru rosyjskiego.

W celach zaszachowania Ententy, rząd niemiecki jeszcze w listopadzie 1915 roku ogłasza uznanie Królestwa Polskiego — samo się przez się rozumie, że tylko na terenach byłego zaboru rosyjskiego.

W nowopowstałym „wolnym” państwie teoretycznie władza ma być w rękach „Rady Regencyjnej”, składającej się z trzech osób (Arcybiskup warszawski Kakowski, Książę Zdzisław Lubomirski, Hrabia Józef Ostrowski), która powołuje gabinet ministrów, i pozatem zostaną uskutecznione wybory do Rady Stanu. Ad oculus wyglądało to nawet imponująco, ale w rzeczywistości wszystko to było fikcją, bo w Warszawie i całym kraju despotycznie rządził Generał Gubernator Beseler. „Władze polskie” mogły mieć wygląd i pewne kierownictwo w sprawach szkolnictwa i sądownictwa.

Nie badałem i nie mogę powiedzieć dokładnie, jak się układały wzajemne stosunki między naszymi resortami cywilnymi a władzami okupacyjnymi, ale co do spraw wojskowych, to wiem, że stosunki zaogniały się coraz silniej i nawet nietylko w stosunku do władz okupacyjnych, ale również w szybkim czasie zaczął się przejawiać między naszymi legionistami a oficerami Polakami z armii austriackiej.

Nie chcąc być gołosłownym, przytoczę fragmenty z listu, pisanego w lipcu 1916 roku przez komendanta J. Piłsudskiego do piosła J. Daszyńskiego: „Chcesz mojej opinii, otóż składają się na nią dwie rzeczy: królestwo, które się organizuje, nie może pozwolić, jeżeli chce, by je uszanowano, aby krwią jego synów rozporządzał się kto inny, jak ono samo... W wojsku jest bardzo źle, stosunki bardzo zaostrome, grożące co chwila wybuchnąć skandalem; przecie nawet w komendzie legionowej ludzie jada-

ją przy osobnych stołach — austriaccy oficerowie osobno, a legjonowi osobno...

Co do mnie, jestem zdecydowany ustąpić, dalej nie mogę odpowiadać za pracę przed Polską i przed żołnierzami, gdyż dla dziecka jest jasnym, że na tej podstawie, jaka jest dana, niema ani rozwoju dla wojska, ani honoru trwania“...

W lipcu 1917 roku Komendant J. Piłsudski i Jego Szef Sztabu K. Sosnkowski zostają aresztowani przez władze niemieckie i uwięzieni w fortecy Magdeburskiej.

Po ich aresztowaniu władze niemieckie ogłaszają następujący komunikat: „Aresztowanie nastąpiło, bo było koniecznością, gdyż na tyłach wojska, tak ciężko walczącego także i w obronie Polski na froncie wschodnim, pod żadnym pozorem nie mogą być cierpiane rzeczy, groźne dla bezpieczeństwa wojska.

Sprawiły to machinacje „Polskiej Organizacji Wojskowej“, za którą odpowiedzialnym jest przedewszystkiem Piłsudski“.

Nie wiem, jak na ten fakt zareagowali Regenci, ale mam wrażenie, że energicznego i rzeczowego protestu z ich strony nie było.

Chociaż trudno mi sądzić o kierunku politycznym Regentów w stosunku do władz okupacyjnych — nie zbadawszy gruntownie i podstawowo tej sprawy — mam jednak wrażenie, że kierunek ten był zbyt bierny i uległy, przynajmniej sądząc z tego, co się słyszało po przyjeździe do Warszawy, i z faktu już mi dobrze znanego osobiście, a mianowicie z zachowania się Regentów w stosunku do Wschodnich formacji polskich. W tej sprawie pozostało mi przykre i smutne wrażenie, szczególnie, kiedy w początku maja 1918 roku okupanci w sposób tak wyjątkowo brutalny zażądali niezwłocznego rozbrojenia pierwszego korpusu, rozlokowanego w Bobrujsku i okolicy. Regenci, na zwrócenie się do nich dowódcy korpusu, Generała J. Dowbór Muśnickiego, o interwencję w tej sprawie, przysłali mu odpowiedź: że oni, polecając wojsko Opatrzności, sami umywają ręce (jak Piłaci) w tej sprawie. Na sobie i swoim otoczeniu w Naczelu odczułem tę krzywdę i moralny ból, wywołany tem zachowaniem się Regentów względem wojska polskie-

go! Na krzywdę własnego żołnierza nasi najwyżsi przedstawiciele nie usiłowali nawet zareagować w sposób, zgadzający się z honorem narodowym!

Prawdopodobnie pod naciskiem władz niemieckich Regenci jadą do kwatery głównej niemieckiej, gdzie Wilhelm przyjmuje ich niby to życzliwie, ale właściwie traktując ich zgóry.

Systematycznie i stale dążąc do wykorzystania siły zbrojnej polskiej, rząd niemiecki organizuje kursa wojskowe dla Polaków (Polnische Wehrmacht).

Zachodzi charakterystyczny fakt odmowy przez znaczną grupę naszych absolwentów, oficerów Wehrmachtu, ułożonej perfidyjnie przysięgi. Oficerów masowo aresztują — a Regenci milczą!...

W październiku i prawica (endecja), i lewica (P. P. S.) proponują Radzie Regencyjnej podać się do dymisji i abdykować na rzecz Rady Narodowej. 6 listopada Rada Regencyjna powołuje nowy gabinet z premierem p. Świeżyńskim na czele. Sprawy wojskowe w tym gabinecie mają być powierzone komendantowi Piłsudskiemu po Jego powrocie z fortecy Magdeburgskiej. Tegoż dnia młodzież szkół wyższych w Warszawie zbiera się pod Zamkiem z okrzykami „precz z Regencją“, oświadczając jednocześnie, że wszyscy wstępują do wojska.

Przez całe dni tłumy publiczności zalegają ulice.

Okupanci tak umiejętnie hypnotyzowali i moralnie terroryzowali większą część ludności i to nie tylko w Warszawie, ale i w całym kraju swoją potęgą militarystyczną, że w listopadzie, kiedy w Berlinie już zdetronizowano dynastję i rządy przeszły do „Rad Żołnierskich“ — mechanizm biurokratyczny okupantów w Polsce kręcił się, jakby nic nie zaszło.

Generał Gubernator Warszawski Beseler ze swoim sztabem ucieka z Warszawy w noc z niedzieli na poniedziałek (10 listopada); w sobotę urzędują zwykłym trybem wszystkie urzędy niemieckie, mało tego: w niedzielę 10 listopada byliśmy z żoną na przyjęciu, gdzie pułkownik służby austriackiej (p. Konrad), zajmujący jakieś wybitniejsze stanowisko przy Beselerze, bawił panie beztróską rozmową do późnego wieczora...

W prowincjach, okupowanych przez władze austriackie (Kraków, Lublin), było trochę inaczej — tam już od pierwszych

dni listopada zaczyna się odbieranie od władz okupacyjnych amunicji i usuwanie ich z urzędów. Na gmachu Magistratu krakowskiego już 3 listopada zostaje podniesiona flaga narodowa.

Wracam do wrażeń osobistych z pierwszego okresu pobytu w Warszawie. Monotonnie i beczynnie mijają pierwsze tygodnie.

Ze względu na ostrą cenzurę, chociażby już tylko z urzędowych relacyj wojskowych stawało się widocznem, że Państwa Centralne są w przededniu katastrofy. Krążą wieści, że Austria chce zawrzeć oddzielny pokój, że Węgry, Bułgarja, a następnie i Turcja — chcą się zdać na łaskę i niełaskę Ententy.

W początkach października książę Max Badeński — ostatni premier cesarskich Niemiec — zwraca się do Prezydenta Stanów Zjednoczonych z propozycjami pokojowymi.

Nadchodzi odpowiedź — przedewszystkiem groźna dla panującej dynastji, bo Ententa zgadza się rozpocząć pertraktacje, ale wymaga czynu: natychmiastowego oswobodzenia terytorjów Francji i Belgji, zajętych przez armje niemieckie, i uzasadnień, że propozycje te idą od ludu, a nietylko od sfer rządowych.

Niemcy są zmuszone ulec tym wymaganiom.

Na zegarze dziejowym wybijają ostatnie godziny dynastji Hohenzolernów i Habsburgów, jak 20 miesięcy temu — dynastji Romanowych.

Wojskowa delegacja niemiecka przyjmuje 17 punktów kapitulacji, zadyktowanych przez Marszałka Focha. Niemcy zobowiązują się nietylko natychmiast opuścić terytorjum Ententy, ale i usunąć się poza wskazany im rejon neutralny, i w tejże chwili oddają: 5 tysięcy armat, przeważnie ciężkich, 30 tysięcy karabinów maszynowych, 5 tysięcy miotaczy min, 2 tysiące aeroplanów, 5 tysięcy lokomotyw, 150 tysięcy wagonów, 10 tysięcy samochodów, 100 łodzi podwodnych, 8 krążowników i 6 dreadnautów.

Następuje zawieszenie broni na 30 dni.

11 listopada w obozie przy kwaterze głównej marszałka Focha, ostatni raz trębacz daje sygnał rozpoczęcia ognia — ale strzały armatnie pierwszy raz po 52 miesiącach nie niosą śmierci i zguby, a są radosną salwą, komunikującą nietylko wojskom

Ententy, ale całemu światu, że trwający bez przerwy, przez 4 zgorą lata, przelew krwi ludzkiej zakończył się...

Miljony zabitych spoczywają, na placach walk i w głębinach morskich; pozostały zastępy kalek, niezdolnych do pracy, sieroty, wdowy...

Do chwili obecnej idzie polemika, kto był głównym winowajcą tego ogólnego nieszczęścia?

W chwili rozejmu niemiecka cesarska kwatera główna była w Spaa. Z tego, co się wie o tych przełomowych chwilach, ma się wrażenie, że cesarz Wilhelm do ostatniej chwili nie wy-czuwał całokształtu grozy położenia, chociaż już od października, na całym terenie Niemiec, wypadki przybierają coraz więcej zatrważający charakter i nietylko wśród ludności cywilnej, ale i w wojsku.

Rokosz wojskowy, na szerszą skalę, rozpoczyna się — jak i przed 20 miesiącami w Rosji — od floty.

Załoga floty, zebranej w Kilonji, w pierwszych dniach listopada, nietylko zrzuca władze naczelne swojego portu, ale i wysłała bojówki do Berlina, i właśnie ten krok był może decydującym w definitywnej decyzji, nietylko wśród wahających się mas ludności stolicy, ale i w zespole członków Reichstagu, którzy wtedy właśnie ogłaszają zmianę ustroju państwowego i detronizację Wilhelma.

7 listopada Wilhelm abdykuje i ucieka do Holandji, gdzie zamieszkuje na stałe w zamku Doorn.

W związku z biegiem wypadków rząd niemiecki decyduje się zwolnić, jak komendanta Piłsudskiego, tak i K. Sosnkowskiego, ale najpierw obu, jeszcze jako więźniów, pod eskortą przewożą do Berlina, gdzie lokują ich w prywatnym hotelu.

Prawdopodobnie miano na celu rozpocząć z Komendantem pertraktacje polityczne.

Następnego dnia po ich przybyciu urządzono dla nich śniadanie w pierwszorzędnej restauracji, przy udziale przedstawicieli rządu, i właśnie w połowie śniadania jeden z gospodarzy został wywołany do telefonu: zakomunikowano mu o wybuchu rewolucji na mieście!

Śniadanie zostało przerwane, gospodarze rozpieczęli się, a byli więźniowie Magdeburscy zostali, siłą rzeczy, wolni!

Wiadomość o oswobodzeniu więźniów i powrocie Komendanta do kraju szybko rozpowszechnia się w Warszawie. Oczekiwało przybycia Jego 9 listopada.

W Warszawie, w okolicy dworca, tłumy przez cały dzień oczekiwały nadejścia pociągu. Komendant przyjechał 10-go samochodem i zamieszkał narazie w prywatnem mieszkaniu przy ulicy Moniuszki; ponieważ mieszkaliśmy w pensjonacie Goplana, którego balkon wychodzi na plac Napoleona, mogliśmy obserwować tłumy, cisnące się do mieszkania Komendanta.

Piłsudski natychmiast wchodzi w kontakt z Regentami i w porozumieniu z nimi obejmuje kierownictwo spraw wojskowych.

Od rana 11 listopada rozpoczyna się w Warszawie — a jednocześnie i w całym kraju — żywiołowe rozbrojenie Niemców.

Zachodzi coś wprost niezrozumiałego — bezbronna ludność i nawet podrostki rozbijają uzbrojonych żołnierzy i oficerów niemieckich, którzy bez żadnego oporu porzucają broń i amunicję.

Ten objaw masowej psychozy uzbrojonego wojska tłumaczyłem sobie tem, że zaszło zjawisko, któremu ulega mocno zahartowane szkło, opierające się mocnym uderzeniom młota, a rozsypujące się w najdrobniejsze kawałki, z chwilą, kiedy zewnętrzna zahartowana skorupa zostanie rozdrapaną, chociażby cienką ostrą igłą. Tak raptownie pękł i rozsypał się „militaryzm“ niemiecki, z chwilą, kiedy dziejowe wypadki nadwyreżyły zewnętrzną skorupę tego kolosa, któremu brakło wewnętrznej spójni...

P. Porucznik K. Poraj-Koźmiński w 1927 roku, dając w prasie sprawozdanie o pierwszym wydaniu moich pamiętników pod tytułem „W Wolnej Polsce“, daje, według mego zdania, nie tylko bardzo jaskrawą, ale i poetyczną charakterystykę tego okresu:

„I oto następuje olbrzymi kataklizm dziejów. Zapada się w grób państwo carów i ich tron, pożoga łez i krwi rozpala się burza rewolucji rosyjskiej i autor książki znajduje się na ziemi polskiej.

To prawda, na ziemi tej stoi jeszcze w swych, podkutych gwoździach, butach piechur niemiecki, ziemia ta jeszcze milczy,

jeszcze obawia się odetchnąć głośniej, ale w głębi jej, jak w miąższu drzew na przedwiośnie krążą już niespokojnym nurtem ożywcze soki Wolności!

I oto pewnego dnia wiosennego staje się cud. Swych tyranów wczorajszych, od stóp aż do głów uzbrojonych, golemi rękami rozbrajają dzieci polskie!

Ten cud własnymi oczyma ogląda człowiek, co u obcych całe długie lata pracując, o Polsce wolnej od dziecka marzenia snuł, i dziś, gdy szron zimowy już mu skroń pobilił, tę marzoną Polskę własnymi oczami zobaczył, w tej Polsce wreszcie, jak inni, do pracy będzie chadzał“.

Do tego od siebie chce dodać — że takich, jak ja w tym dniu cudownym było w Warszawie i w całym kraju — dużo, dużo!...

Warszawa jest przez kilka dni odcięta od świata, telegrafy i telefony — nieczynne.

Komuniści próbują wywołać zamęt i rozruchy na ulicach Warszawy — ale wszystkie ich próby spełzają na niczem z powodu wrogiej postawy ludności.

W Krakowie tworzy się rząd tymczasowy o tendencjach prawicowych, a w Lublinie powstaje rząd lewicowy.

11 listopada Rada Regencyjna ogłasza dekret następującej treści: Wobec grożącego niebezpieczeństwa zewnętrznego i wewnętrznego dla ujednolajnienia wszelkich zarządzeń wojskowych i utrzymania porządku w kraju, Rada Regencyjna przekazuje władzę wojskową i naczelne dowództwo wojsk polskich, jej podległych, brygadjerowi Piłsudskiemu.

Po otwarciu Rządu Narodowego, brygadjer Piłsudski władzę wojskową, będącą częścią zwierzchniej władzy państwowej, temuż Rządowi Narodowemu zobowiązuje się złożyć, co stwierdza podpisem tej umowy.

12 listopada Komendant Piłsudski, jako Wódz Naczelny, ogłasza pierwszy rozkaz do wojska.

„Obejmuję nad Wami komendę w chwili, gdy serce w każdym Polaku bije silniej i żywiej, gdy dzieci naszej ziemi ujrzały słońce swobody w Jej blasku. Z Wami razem przeżywam cud godziny dziejowej, z Wami razem ślubuję życie i krew swoją poświęcić na rzecz dobra ojczyzny i szczęścia jej obywateli“...

W tym momencie siła zbrojna składała się z 10 tysięcy P. O. W.; 3.150 żołnierzy, wyćwiczonych przez Niemców (Polnische Wehrmacht), 7 tysięcy oficerów i żołnierzy z armii austriackiej i około 10 tysięcy oficerów i żołnierzy z byłego pierwszego korpusu.

(W lutym 1919 roku armja polska liczy już 8.800 oficerów i 147 tysięcy żołnierza).

Nad Polską przelatuje jakby huragan i, co jest wprost zdumiewające, ta wichura listopadowa niema wcale cech, zwiastujących zbliżającą się zimę, a naodwrot ma w sobie wszystkie cechy promiennej, rozkosznej wiosny! W całej Polsce powietrze staje się, jakby przesycone fluidami wyjątkowej mocy. Ludzie stają się inni, serca biją mocniejszym tętnem. Wzajemne nieporozumienia, kwasy, zazdrości (niestety, tylko chwilowo!!) zostają zapomniane, jakaś dziwna moc duchowa kojarzy i zbliża ludzi, różnego wieku, warstw społecznych, poglądów politycznych.

Ten, kto, jak ja, dnie te spędzał na szumnych ulicach stolicy i kogo również porwał ten ogólny wir, zrozumie, co się przeżywało wówczas! Polska zmartwychwstała!

Polska jest i będzie, na zawsze — Wolna i Niepodległa!

14 listopada Regenci definitywnie abdykują, upada i gabinet. Władzę w Warszawie i całym kraju obejmuje Komendant Józef Piłsudski, który ogłasza „Tymczasową Rzeczypospolitą Polską“ i zapowiada wybory do Sejmu Narodowego...

Pierwszy gabinet tworzą Moraczewski (premjer) i Daszyński (wicepremjer) z członkami polskiej partji socjalistycznej (P. P. S.).

Pierwszy nawskroś socjalistyczny gabinet wywołuje w Warszawie i całym kraju rozczarowanie i gorycz. W prasie pojawiają się protesty niezadowolonych partyj. W niedzielę 17 listopada demonstruje w Warszawie pochód narodowy przeciw nowemu gabinetowi. Brałem w nim również udział i byłem naocznym świadkiem, jak przed pałacem Kronenberga, w którym wtedy urzędował gabinet, tłum, gwizdząc i krzycząc, nie dał dojść do słowa Daszyńskiemu. Spędziłem wtedy w pochodzie kilka godzin i z wielką radością skonstatowałem, że ogólny nastrój tłumu był w gruncie rzeczy doniosły i poważny, wyczuwa-

ło się w nim radość, miłość, przywiązanie do kraju i nienawiść do anarchji i komunizmu.

Warszawiacy są słynni z dowcipu: wkrótce więc w klubach i salonach zaczęło krążyć sporo anegdot o nowych ministrach, mających w swoim zespole wprost analfabetów, oto jedna z nich: na pierwszej radzie nowowybranych ministrów, niektórzy z nich byli zaskoczeni niezrozumiałemi dla nich wyrazami, jak „kilogram“ i „centymetr“, i wymagali od referentów, żeby im wytłumaczono, co to jest.

Gabinet Moraczewskiego potrwał zaledwie parę miesięcy, ale zdążył wprowadzić zamęt i pozostawił po sobie smutną pamięć.

U steru stali przeważnie doktrynerzy, fanatycy, niezdolni do ujęcia całokształtu zagadnień państwowych, a traktujący sprawę tylko z partyjnego punktu widzenia.

Powtarza się to i potem: w ciągu 8-iu lat zmieniło się sporo gabinetów, dochodziła do władzy i prawica, i tak samo traktowała sprawy państwowe z punktu widzenia — własnego podwórka.

Opowiadał mi ks. prałat Chełmicki, że kiedy jeden z byłych regentów zapytał Komendanta Piłsudskiego, dlaczego powołał do pierwszego rządu samych socjalistów, ten miał odpowiedzieć, że uważał za zbawienie dla kraju zaszcześcić społeczeństwu socjalizm, aby ratować go od zarazy komunistycznej, tak, jak w okresie epidemji wstrzykuje się szczepionkę ochronną, która narazie wywołuje podniesienie temperatury i bóle — ale ratuje organizm od zarazy.

Gorączkowy stan dał się społeczeństwu we znaki bardzo namacalnie i nietylko w samej Warszawie, ale i w całym kraju, temperatura organizmu społecznego była w tym czasie stale podniesioną. Kraj zalewa fala strejków — kolejno i wspólnie strejkują: służba folwarczna, kolejarze, tramwajarze, zecerzy, usługa w szpitalach, stróże domowi, kelnerzy, poczta i t. p.

Nie strejkują tylko nasi nowi dygnitarze wszystkich szczebli, którzy obdarzają kraj foljami zarządzeń, ustaw, ułożonych przeważnie na kolanie i wzajemnie nietylko nieskoordynowanych, ale czasami i sprzecznych, ale zato pełnych rozmachu.

Rozbudowa państwowości rozpoczyna się na wielką skalę,

mało kto liczy się z tem, że skarb jest pusty, o płaceniu jakichkolwiek podatków nikt nie chce wprost myśleć. Mierzy się po prostu siły na zamiary.

Szumne kaskady wód wiosennych w zmartwychwstałej Polsce pomknęły szybko, następuje reakcja: znaczną część społeczeństwa ogarnia depresja, rozgoryczenie i strach przed niepewnem jutrem...

Jednocześnie dla każdego, kto głębiej wnikał w bieg wypadków, nie było czasu na „bezowocne zadumy“, bo do drzwi coraz natarczywiej pukali sąsiedzi.

Rząd sowiecki wmiarę likwidowania spraw z armjami Kołczaka, Judenicza i Wrangla, coraz intensywniej zalewa Polskę propagandą komunistyczną, nie szczędząc środków materialnych. Rubel rosyjski szuka lokaty wszędzie i wszędzie próbuje wzniecić pożar komunistyczny.

Zachodni zaś sąsiad, nie mogąc przeboleć straty Poznania i Pomorza, a wreszcie i części Śląska, prowokuje nas, gdzie tylko może w perfidyjny sposób i rozgłasza urbi et orbi, że Polska jest „Państwem sezonowem“.

Korzystają ze sposobności i Czechy, żeby coś w tym chaosie od nas zagarnąć.

Dzięki zabiegom naszych wrogów Litwa, która wspólnie z Polską przez 140 lat jęczała pod jarzmem rosyjskiem, staje się naszym nieprzejednanym wrogiem. Trwa to do dziś dnia, dzięki temu, że kraj, przed wojną nawskroś katolicki z inteligencją ziemiańską polską, obecnie jest narzędziem rosyjskiego rządu sowieckiego i Niemców, którym bardzo zależy na tem, żeby nie doszło do porozumienia między Polską a Litwą.

Poza Francją i Wilsonem nie mieliśmy stałych sympatyków politycznych, bo co Anglii, to od pierwszych chwil naszej państwowości wyczuwa się pewną oschłość w traktowaniu naszych spraw. Tłumaczyłem to sobie tem, że potężna Polska niezbyt odpowiada wiekowym wytycznym polityki angielskiego rządu, dla którego Francja i nadal pozostaje rywalem o hegemonję wszechświatową.. W interesie Anglii leżało osłabienie na dłuższy okres potęgi niemieckiej, jak również i Rosji, ale stworzenie nowych silnych mocarstw na Wschodzie, które mogą być sojusznikami Francji, niezbyt jej leży na sercu.

A pozatem my wcale nie próbowaliśmy poważnie i rzeczowo zainteresować naszym rynkiem kapitalistów i przemysłowców angielskich....

Nasuwało się pytanie, od czego rozpocząć państwową pracę rozbudowy Państwa?

Każdy z nas orjentował się w tem, że należy za wszelką cenę, nie zwlekając ani chwili, dążyć do stworzenia w najkrótszym okresie — armji narodowej — silnej przede wszystkim duchem! Podwalinami takiej armji muszą być praca i porządek.

W pierwszych dniach listopada złożyłem podanie do Regencji, ofiarując swoją pracę, odpowiedzi narazie nie miałem i dopiero 22 listopada kierownik ministerstwa wojny p. pułkownik Wroczyński poprosił mnie urzędowo, bym wziął udział w organizacji Departamentu Szkolnictwa Wojskowego i przybył w tym celu na posiedzenie, które miało się odbyć nazajutrz na Zamku pod jego przewodnictwem.

W kilka dni po tem posiedzeniu otrzymałem od kierownika Ministerstwa urzędowe polecenie przystąpienia do organizacji Depart. Szkolnictwa Wojskowego. Czuję się szczęśliwym!

Zostaje zrealizowaną nadzieja rozpoczęcia odpowiedzialnej, porywającej pracy — u siebie, wśród swoich, dla swojego społeczeństwa!

Nadchodzą Święta. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności w tym okresie przybywa do Warszawy kilku członków rodziny żony, tak, że Wilję spędzamy w gronie rodzinnem, ale w tej uroczystej chwili dzielenia się opłatkiem, myśl leci do naszego jedynaka, o losie którego nie wiemy nic! Noc Sylwestrową, „spotkanie Nowego Roku“ mieliśmy spędzić w gronie przyjaciół w jednej z większych restauracyj, ale to nie dochodzi do skutku z powodu strejku kelnerów. To był pierwszy sygnał, zwiastujący rozpoczęcie całego cyklu strejków w całym kraju, które w roku następnym zostają przez bolszewików zmobilizowane na bardzo szeroką skalę.

W wigilię Nowego Roku zakomunikowano mi urzędowo, że nominacja moja na Szefa Departamentu została podpisana i będzie ogłoszona w „Dzienniku Rozkazów“.

Rok 1918, tak wyjątkowo ciężki dla wielu, wielu naszych rodaków, jak również dla nas i naszej rodziny — mija!

ROZDZIAŁ II.

Rozbudowa państwowości.

Dzień Nowego Roku 1919 był dla mnie dniem, pełnym różnorodnych wrażeń. Na godzinę dwunastą, stosunkowo liczne grono oficerów szarż wyższych i delegatów garnizonu zebrało się na Zamku. Przyjechał Komendant Józef Piłsudski, któremu Kierownik Ministerstwa zaprezentował nas. Po kilku krótkich powitalnych mowach nastąpiło wspólne śniadanie, które trwało parę godzin.

Wskazano mi miejsce obok Komendanta, była to moja pierwsza z nim rozmowa. Toczyła się ona na temat przeżyć wojskowych; wkrótce odezwał się w nas obu wspólny nam „sentyment“ do „naszych stron“ — Wileńszczyzny. Wskazując na siedzących przed nami jego byłych bliższych współpracowników, Komendant opowiadał, że ci, chcąc go wyprowadzić z równowagi — napadają i krytykują naszą Litwę.

Utkwiły mi w pamięci słowa Komendanta na temat Wilna, jeszcze zajętego przez bolszewików: „Serce rwie się tam, a rozum mówi, że narazie niesposób“.

(Jak wiadomo bolszewików wypędzono z Wilna dopiero w kwietniu, w dniu Wielkiej Soboty).

W czasie śniadania zaszedł charakterystyczny szczegół — na początku śniadania adjutant kierownika ministerstwa za meldował mi, że p. minister prosi, bym powitał w imieniu wojskowości p. I. Paderewskiego, który wieczorem przyjeżdża z Poznania. W połowie śniadania zjawił się szef Sztabu General

Szeptycki. Po rozmowie jego z Komendantem i kierownikiem Ministerstwa, adjutant ministra oświadczył mi, że rozkaz został zmieniony i że p. Paderewskiego powita oficer sztabowy, a nie Generał.

Żona prosiła, bym był na spotkaniu pp. Paderewskich, jako osoba prywatna, motywując to tem, że oni bywali u nas w Petersburgu, a syn nasz w 1917 roku, jadąc z Rosji do Anglii przez Amerykę, bawił u nich w Nowym Yorku. Powiedziałem, że po tem, co zaszło na Zamku, nie uważam za wskazane jechać na dworzec, a do holu hotelu Bristol mógłbym pójść tylko w cywilnem ubraniu. Ostatecznie żona poszła do Bristolu sama, a ja chodziłem wśród tłumów, które zalewały ulice.

Byłem świadkiem żywiołowych owacyj dla Paderewskiego.

Chcę tu jeszcze wspomnieć o otrzymanym „noworocznym prezencie“.

Przysłano mi wycinek z noworocznego numeru „Gazety Warszawskiej“. Anonimowy autor wyjawiał w nim swoje oburzenie, że na czele Departamentu Szkolnictwa stoi znany „rusofil“ Generał Jacyna, który w Rosji był wrogiem polskich formacyj, a w Warszawie otacza się Rosjanami i przyjął na służbę „krewnego żony chana Makińskiego (?)“.

Zastanawiając się nad powodami wrogiego wystąpienia przeciw mnie „Gazety Warszawskiej“, pisma, reprezentującego opinię poważnych sfer naszego społeczeństwa, które bez sprawdzania faktów obrzuciło mnie kalumnjami, doszedłem do wniosku, że atak ten spotkał mnie ze względu na podkreślaną zawsze przeze mnie w Petersburgu moją nieprzynależność do żadnej z dwóch zwalczających się partyj politycznych: P. P. S. i N. D. (Endecji).

Ponadto przypisuję to zatargowi, jaki zdarzył się w Petersburgu w końcu 1917 roku między mną a szefem Misji Wojennych: Francuskiej — Generałem Nisselem i angielskiej — generałem Noksem.

W okresie formowania naszego pierwszego korpusu obaj oni dążyli do tego, byśmy wysyłali małe transporty naszych żołnierzy na front zachodni, gdzie wcielano by naszych żołnierzy do poszczególnych części armji Ententy.

Jako prezes wojskowej komisji Naczpola stale i stanowczo sprzeciwiałem się temu i trwało to do chwili, gdy otrzymaliśmy zawiadomienie, że na podstawie dekretu Prezydenta Poincaré na terenie Francji formują się samodzielne polskie formacje. Od tej chwili każdemu z pp. oficerów i żołnierzy ułatwiliśmy na życzenie wyjazd do Francji do naszych polskich formacji. A nie było to żadną tajemnicą dla mnie, że właśnie członkowie partyj N. D. (a mianowicie pp. Zdziech. i Wielow.) od pierwszej chwili robili usilne zabiegi w gronie moich kolegów z prezydium Naczpola (Naczelny Wojskowy Polski Komitet), ażebyśmy, nie zwlekając, wysyłali naszych żołnierzy, choćby i małemi garstkami do armji Ententy, dla zapelnienia luk w szeregach...

2 stycznia rano w czasie mego służbowego meldunku kierownikowi ministerstwa, zatelefonowano do Ministra, że wkrótce przyjedzie na zamek pułkownik angielskiej służby p. Woods, który przybył z Poznania razem z Paderewskim.

Pułkownik Wroczyński prosił, bym go zastąpił na śniadaniu, które miało być urządzone dla p. Woods'a ad hoc w kasynej oficerskiej.

W czasie śniadania oświadczyłem pułkownikowi Woods, że syn nasz walczy w szeregach armji angielskiej i że od dłuższego czasu nie mamy o nim żadnych wiadomości, pułkownik odpowiedział, że zajmie się tą sprawą. Gdy po powrocie z Krakowa, gdzie byłem w sprawie objęcia Korpusu Kadetów w Łobzowie, zameldowałem się znów służbowo na Zamku, zawiadomiono mnie, że nadeszło radio z Konstantynopola, iż syn mój przebywa w Teheranie, jest zdrow i przesyła pozdrowienia.

Do Krakowa wyjechałem dopiero 8 stycznia; w tym okresie tak byłem zaabsorbowany pracą, że o „zamachu stanu“, który miał miejsce w noc na 5 stycznia, dowiedziałem się dopiero podczas obiadu w pensjonacie „Goplana“. Była to niedziela, od wczesnego ranka do obiadu pracowałem w swoim biurze, korzystając z ciszy i spokoju, o umówionej godzinie spotkałem się z żoną w pensjonacie (od paru dni mieliśmy własne zarekwirowane mieszkanie, ale jadalśmy jeszcze na mieście).

Ku wielkiemu zdumieniu w czasie obiadu dowiedziałem się o zamachu. Z „najwiarogodniejszych źródeł“ opowiadano,

że premier Moraczewski aresztowany, a minister spraw wewnętrznych Thugutt — ciężko ranny. Wracając z obiadu, spotkałem ministra sprawiedliwości, p. Supińskiego, który właśnie szedł do Moraczewskiego, mieszkającego w Goplanie, i dowiedziałem się, że p. Moraczewski wcale nie był aresztowany, a p. Thugutt — cieszy się najlepszym zdrowiem...

O przebiegu zamachu krążyło dużo opowiadań „z najwiarogodniejszych źródeł“ i od „naocznych świadków“ — ostatecznie sprawdziło się przysłowie, że „łże, jak naoczny świadek“.

Ale wszystko to byłoby może i komiczne, gdyby w gruncie rzeczy nie było tak smutne i zatrważające na przyszłość!

Głównymi organizatorami tego zamachu byli: Gen. Januszajtis, ks. Sapieha i J. Zdziechowski. Narazie udało się zamachowcom rozlokować się w gmachu Komendantury i zaaresztować Komendanta miasta, pułkownika Zawadzkiego i Szefa Sztabu Generała Szeptyckiego. Zamachowcy mieli zamiar aresztować również i Naczelnika Państwa. W tym celu do Belwederu przybyła delegacja, wysłana przez organizatorów, i w rozmowie z Naczelnikiem Państwa postawiła mu pewne ultimatywne wymagania. Delegaci odjechali, a w parę godzin potem Naczelnik przyjeżdża do gmachu Komendantury, gdzie zostają aresztowani przez niego — sami zamachowcy! Na mieście złośliwie opowiadano, że jeden z prowodyrów zamachu schował się w garderobie żony, a drugiego znaleziono — pod łóżkiem...

W tym dniu Paderewskiego w Warszawie nie było, przed kilkoma dniami wyjechał do Krakowa.

Uważam za wskazane zaznaczyć, że zamach nie miał dla organizatorów żadnych konsekwencji osobistych: ks. Sapieha wkrótce po zamachu obejmuje stanowisko naszego posła w Anglii, a następnie i Ministra Spraw Zagranicznych; generał Januszajtis przez cały czas pozostaje na czynnej służbie w wojsku i (1923 r.) przez krótki okres piastuje urząd wojewody; p. J. Zdziechowski zostaje wybranym posłem do Sejmu, a następnie (w 1925 r.) przez kilka miesięcy zajmuje stanowisko ministra skarbu.

W połowie stycznia gabinet Moraczewskiego podaje się do dymisji i na czele nowego gabinetu staje Paderewski. Wahało zegaru politycznego odchyła się na prawo.

Gabinet Paderewskiego potrwał do listopada, a potem, jak już wspomniałem, w przeciągu 8-iu lat, zmieniają się w Polsce gabinety 18 razy — z kolejną zamianą: „lewo — prawo“; są próby utworzenia „urzędniczych“ czy „fachowych“ gabinetów; ogólną cechą ich wszystkich jest anemiczność i krótki żywot...

W styczniu w Berlinie wybucha zamach (Spartakusa) na tle przewrotu komunistycznego, ale zostaje prędko stłumionym.

W lutym 1919 r. rozpoczynają się pertraktacje pokojowe w Wersalu, na których ważą się i losy Polski, oraz innych nowopowstałych państw.

Dziwna jest Nemezis losu: w tych samych murach, gdzie przed 48 laty reprezentanci zwyciężonej Francji Gambetta i Thiers przyjmowali warunki, dyktowane im przez Bismarka i Moltkiego, którzy nakładają na Francję pięciomiljardową kontrybucję, zabierają jej Alzację i piątą część Lotaryngji, obecnie reprezentanci tak potężnych doniedawna Niemiec przyjmują niesłychanie ciężkie i poniżające godność narodową warunki, które dyktują im przedstawiciele Ententy z Francją na czele.

7 maja 1919 roku delegaci rządu niemieckiego hr. Rantzen i Müller (socjalista) kładą swoje podpisy, ale nie chcą używać tego pióra, jakim podpisywali się inni delegaci i podpisują swoim własnem, które natychmiast łamią...

Polska nie otrzymała na mocy traktatu w Wersalu wszystkiego, o czem marzyła. Sprawa granic naszych na zachodzie nie została rozstrzygnięta — czekają nas plebiscyty na Mazurach i na Śląsku. Nie załatwiono również sprawy granic wschodnich. Lwów osaczony, na Białej Rusi i na Polesiu ciągłe walki z czerwoną armją.

Marzenia nasze o dostępie do „polskiego morza“, również rozstrzygnięto połowicznie i niezbyt dla nas pomyślnie. Gdańsk nie został nam przyznany, dziwną się również wydaje decyzja w sprawie sławnego „kurytarza gdańskiego“.

Wybory do Sejmu odbyły się w końcu stycznia.

Sejm został otwarty w połowie lutego.

Z biegiem czasu coraz bardziej niezrozumiałe staje się dla mnie zachowanie się większej części naszej inteligencji: odniosłem wrażenie, że wielu z pośród tych, których obowiązkiem było staranie się o wejście do Sejmu, zachowało się biernie i apatycz-

nie, ustępując bez walki stanowiska posłów, bądź krzykaczom wiecowym, często i analfabetom, bądź kombinatorom i geszeftmacherom.

Wspominam ze wzruszeniem chwilę uroczystą otwarcia pierwszego Sejmu; byłem na sali i, jakby to było wczoraj, widzę sędziwą postać ks. F. Radziwiła, który jako najstarszy wiekiem, zasiada przy stole prezydjalnym i otwiera posiedzenie.

Słyszę przemówienie Komendanta Piłsudskiego, który wzruszony i przejęty uroczystością chwili, składa swoją władzę w ręce Sejmu, który go natychmiast — jednogłośnie — obiera na Naczelnika Państwa.

Przytoczę fragment z deklaracji Komendanta Piłsudskiego: „Wśród olbrzymiej zawieruchy, w której miliony ludzi rozstrzygają sprawy jedynie gwałtem i przemocą, dążyłem, by właśnie w naszej ojczyźnie, konieczne i nieuniknione tarcia społeczne były rozstrzygane w sposób jedynie demokratyczny i za pomocą praw, stanowionych przez wybrańców Narodu“.

Na marszałka Sejmu zostaje obranym były poseł w parlamencie niemieckim mecenas W. Trąmpczyński. Głosowało 304 posłów, p. Trąmpczyński otrzymał 155 głosów, a jego konkurent p. Witos — 149.

To pierwsze głosowanie było wskazówką, w jak trudnych warunkach toczyć się będzie przyszła praca Sejmu, nie mającego niezbędnej zdecydowanej większości.

I rozpoczyna się praca Sejmu, która przez cały ten 4-letni okres idzie niezbyt pomyślnie.

Sytuacja wewnętrzna jest ciężka, nie mówiąc już o coraz intensywniejszej agitacji komunistycznej, na którą nie szczędzi kosztów komunistyczny rząd Rosji, i za ich to złoto, stale, systematycznie, bez przerwy, organizują się, jak po miastach, tak i po wsiach najróżniejsze strejki, które pod względem ekonomicznym coraz bardziej dają się ludności we znaki!

W lutym dostaję dodatkową nominację na członka Wojсковей Komisji Ustawodawczej. Przewodniczył Naczelnik Państwa, członkami byli kierownik Ministerstwa Wojny, Szef Sztabu Generalnego, oraz czterej generałowie — w tej liczbie i ja. Komisja ta przekształciła się następnie w Radę Wojenną, przewodniczył jej de jure minister wojny, a faktycznie osobno mia-

nowany generał. Do Rady tej należałem do chwili wyjazdu mego do Francji na stanowisko Szefa Misji Wojskowej w 1921 r.

W tym okresie kilkakrotnie jeździłem do Krakowa w sprawach Korpusu Kadetów w Łobzowie.

W czasie jednego z tych przyjazdów otrzymałem wyjątkowo zaszczytną dla mnie misję: wręczenia w zastępstwie Naczelnika Państwa, sztandaru jednemu z pułków.

Była uroczysta msza na Wawelu, a potem w murach pra-starych z wielką wojskową ostentacją i przy bardzo licznym udziale widzów — wręczyłem klęczącemu dowódcy pułku — sztandar...

Trudno opisać wrzuszenie, jakie opanowało mnie samego w tej chwili! Zdawało mi się, że są tu na Wawelu, razem z nami, cienie tych bohaterów naszego narodu, których trumny przechowuje stary Wawel!

Były to pierwsze miesiące naszej niepodległości. Dla nas, wyrosłych poza krajem, w ucisku i prześladowaniu nie tylko ducha, ale i języka naszych praocjów — te chwile wzniosłe i uroczyste miały urok głęboki i niewysłowiony... Byłem szczęśliwym i dumnym, a już doznałbym uczucia wielkiego, pełnego szczęścia, gdyby w tym tłumie nie brakowało żony mojej i syna!

Muszę się przyznać, że z biegiem czasu reagowanie na podobne uroczystości stawało się nieco słabszem, i Bogiem a prawdą — tych pochodów, uroczystości, najróżniejszych manifestacyj, było bodaj że nawet za wiele — ale wtedy, te promienne, jasne dni naszej Wolności dały tyle chwil porywających i podnoszących ducha!

Od początku r. 1919, poza wymienionymi funkcjami służbowymi, spełniałem stale — do mego wyjazdu do Francji — funkcje asystenta przy składaniu listów uwierzytelniających Naczelnikowi Państwa, przez wszystkich przybywających do Polski ministrów pełnomocnych zagranicznych.

Francja pierwsza mianuje ministra pełnomocnego do Państwa Polskiego, a wślad za nią i wszystkie inne państwa delegują swoich pełnomocnych ministrów. Zamieszkujący w Polsce, wizytator apostolski Ratti (obecny papież Pius XI) zostaje mianowany przez Papieża Nuncjuszem.

Asystowałem przy dwudziestu dwóch takich uroczystościach. Pierwszym przedstawicielem dyplomatycznym, który przyjechał na początku 1919 r. był p. Prallon, mianowany ministrem pełnomocnym rządu francuskiego.

Narazie został ułożony improwizowany ceremoniał przyjęć, którego nie zmieniono, aż do chwili mego wyjazdu do Francji.

Przy przyjeździe każdego nowego posła i złożeniu przez niego wizyt w ministerstwie spraw zagranicznych ustalano dzień przyjęcia przez Naczelnika Państwa i uzgadniano teksty wzajemnych przemówień.

Oznaczonego dnia wyjeżdżałem z Belwederu powozem galowym, w asystencji jednego z adjutantów Naczelnika Państwa. Przy pierwszych recepcjach wyjeżdżałem z eskortą szwadronu przybocznego, potem nastąpiła zmiana w tym kierunku i szwadron czekał na mój przyjazd przed mieszkaniem posła.

Po urzędowym zaprezentowaniu się i zaznajomieniu się z jego otoczeniem witałem go i zapraszałem do Belwederu.

Jechaliśmy w dwóch powozach — nowy poseł ze mną w jednym, w drugim jego sekretarz z adjutantem Naczelnika Państwa.

Połowa szwadronu jechała przed powozami, połowa za nimi. Jechaliśmy zwykle pośród licznych tłumów, Warszawa bowiem lubi atrakcje — z początku było to tak nowe dla mieszkańców miasta!

Jadąc z p. Prallon, odniosłem wrażenie, że mój towarzysz czuł się nieco emocjonowanym (również, jak i ja) i tłumaczyłem to sobie tem, że było to jego pierwsze stanowisko ściśle dyplomatyczne — przedtem zajmował on urząd Konsula Generalnego.

Przed Belwederem witała przybywających kompanja piechoty ze sztandarem i orkiestrą, która grała na powitanie hymn narodowy odnośnego Państwa.

(W tym okresie orkiestra wojskowa pod batutą popularnego w Warszawie p. Sielskiego, miała sporo pracy, trzeba bowiem było w bardzo krótkim czasie nauczyć się najróżniejszych hymnów).

Przy wejściu do Belwederu nowego posła witali Szefer Kanclarji Cywilnej, adjutant Naczelnika Państwa i Szefer Protokołu.

Następnie poseł w mojej asystencji szedł do Sali Recepcyjnej, gdzie w otoczeniu członków gabinetu, Szefa Kancelarii Cywilnej, Adjutantów i Szefa Protokołu czekał nań Naczelnik Państwa. Minister Spraw Zagranicznych przedstawiał posła Naczelnikowi Państwa, poseł wręczał Naczelnikowi listy uwierzytelniające i odczytywał swoje przemówienie — przeważnie po francusku. (Posłowie angielski i amerykański mówili po angielsku, niemiecki — po niemiecku, a drugi z kolei poseł finlandzki p. Erström po polsku).

Na przemówienie, wygłoszone w języku francuskim, Naczelnik Państwa odpowiadał po francusku, a w innych — po polsku.

Po przemówieniach następowało przedstawienie Naczelnikowi Państwa członków legacji.

Następowała rozmowa Naczelnika Państwa z nowoprzybyłym posłem (już siedząca).

Otoczenie czekało na jej ukończenie, stojąc.

Przy wyjściu kompanja znów prezentuje broń, orkiestra gra nasz hymn — aparaty fotograficzne pracują całą parą.

Wracaliśmy w tym samym porządku, wstępowałem jeszcze na chwilę do nowego posła, poczem do powozu odprowadzali mnie członkowie legacji.

O wizycie każdego posła w Belwederze dałoby się coś charakterystycznego napisać, zatrzymam się jednak tylko na przyjęciu Nuncjusza Ratti'ego — obecnego papieża Piusa XI.

Mieszkał on na ulicy Książęcej, w mieszkaniu ks. prałata Brzezińskiego. Od pierwszej chwili byłem pod urokiem jego powagi i wybitnej inteligencji.

Szablonowa rozmowa, rozpoczynająca się, jak zwykle, od słów „z tą chwilą rozpoczyna się nowy okres w stosunkach obu naszych narodów“ — przeszła odrazu na tory poważne, serdeczne i Nuncjusz oświadczył mi, że już od dziecka, po przeczytaniu opisów znęcań się i prześladowań Polaków za ich przywiązanie do kościoła katolickiego i za narodowe ideały — poczuł dla nich szczerą sympatię. Opowiadał mi również o swoich pracach, z czasów, gdy był bibliotekarzem w Watykanie.

Asystował nam szwadron 3 pułku ułanów (Warszawskich), który ma odznaki żółto-białe, a więc podobne do kolorów

papieskich. Monsignor Ratti zauważył to i oświadczył, że jest ujęty subtelnością władz polskich. Odpowiedziałem mu na to, że Polska przez 140 lat czekała na tę doniosłą chwilę!

Po powrocie z Belwederu, przed wyjściem z powozu, wstał i ze wzruszeniem pobłogosławił szwadron, mówiąc głośno po polsku: W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego“...

Wspomnieć tu muszę o pierwszym szefie francuskiej misji wojskowej Generale Henrys.

W osobie jego ma Polska szczerego i oddanego przyjaciela, który i obecnie interesuje się żywo naszymi sprawami.

Przed wojną wszechświatową zajmował on wybitne stanowisko w Marokko; w okresie wojny dowodził armją aljantów w Macedonji.

Z powodu tarć, o ile wiem na tle osobistem, zostali odwołani z Polski: najpierw p. Prallon — którego zastąpił p. Panafieu, a zaraz po ukończeniu wojny 1920 r. i Generał Henrys.

Pisząc o generale Henrys, przypomina mi się fakt następujący: w dniu jego przyjazdu zatelefonowano do mnie z gabinetu Ministra, że p. Minister poleca mi spotkać i przywitać Generała.

Kiedy pożegnałem się z Generałem, oficer z jego otoczenia zawiadomił mnie, że przywieziono dla mnie pakunek, który w każdej chwili mogę odebrać. Oglądam — duża paka, oszyta ceratą. Proszę mego adjutanta, aby sprawdził jej zawartość — okazuje się, że jest tam kilka sztuk najlepszej jedwabnej materji i nawet z plombami. Narazie nie mogłem zrozumieć, o co chodzi, ale przypomniała mi się wizyta pewnej Pani, która miała miejsce poprzedniego dnia. Doręczyła ona mojej żonie list od p. B. z Paryża (do którego nigdy nie miałem zaufania). Po powrocie od Generała Henrysa piszę list do p. Dyrektora komory i odsyłam wraz z otrzymanym na moje imię materiałem do ocenia. Po południu zjawia się znów owa Pani i oświadcza, że „zaszła pomyłka“: dla mojej żony p. B. przesyła pudełeczko ciukierków, które ona załącza, a ta druga „paczuszka“, którą ja otrzymałem, przysłana jest dla niej. W odpowiedzi na to, dałem jej adres naszej komory celnej, gdzie po opłacie należnego cła będzie mogła otrzymać swoją „paczuszkę“...

Dla ścisłości muszę dodać, że od tego pana żona moja nie otrzymywała więcej już żadnych „paczuszek“...

W roku 1923 Prezydent Wojciechowski skasował eskortę szwadronu i słyszałem osobiście od jednego z posłów, delegowanych do Polski, że to skasowanie eskorty dotknęło go niemile, gdyż na dzień przyjazdu do Belwederu zamówił operatora filmowego, chcąc dla popularyzacji Polski przesłać zdjęcia do swojej dalekiej ojczyzny.

Wracam do kroniki zdarzeń.

Życie moje bije silnem tempem. Pracuję od wczesnego rana (nieraz od 7-ej) do późnego wieczora.

Bardzo wiele czasu zabierają konferencje, posiedzenia, gdyż nikt nie przychodzi na oznaczony czas, wszyscy spóźniają się „obowiązkowo“.

Zebrań, które sam zwoływałem, rozpoczynałem punktualnie, bez względu na ilość zebranych, i ponadto prosiłem mówców o streszczanie się. Słuchając nieraz zbyt długich przemówień, wspominałem ów list filozofa do przyjaciela, w którym tłumaczy rozwlekłość tego pisma, tem, że nie miał czasu na napisanie krótszego.

Usprawiedliwieniem może tu być ta okoliczność, że społeczeństwo nasze nie przywykło do publicznych wystąpień. Ja sam pamiętam, jak przy pierwszych wykładach trudno mi było być zwięzłym i ścisłym.

Poza zajęciami urzędowemi, obowiązkowemi — zwiększa się z miesiąca na miesiąc szereg — że tak powiem — zajęć półurzędowych, jak konieczne bywanie na balach dobroczynnych, przyjęciach i t. p. uroczystościach.

W Warszawie po ciężkich latach wojny i okupacji, życie towarzyskie było bardzo ożywione, koło naszych znajomych stale się zwiększało, chociażby już z tego powodu, że każdy z nowo przybywających posłów zagranicznych składał nam wizyty i zapraszał do siebie.

Święta Wielkanocne przyniosły radosną wieść — zajęcie Wilna, i przeszły bardzo miło. Pamiętam uroczyste nabożeństwo w kościele garnizonowym, byłem soborze. W uroczystej procesji dookoła kościoła, a prócz wojska brały udział tłumy publiczności, zalegającej Plac Saski.

W nocy zbudziła mnie wiadomość, że coś się dzieje na mieście. Okazało się jednak, że niepokój żony, wyczerpanej przejściami w Rosji, był tym razem najzupełniej nieuzasadniony: to „łobuzy“ warszawskie święcą Wielkanoc rzucaniem petard.

Nadchodzą 1 i 3 Maja. Na ulicach Warszawy defilują liczne pochody.

W święto 1 Maja, organizowane przez naszych socjalistów (P. P. S.) demonstruje lud pracujący, manifestując swą solidarność z kosmopolitycznemi hasłami socjalistycznymi—„Czerwonym sztandarem“, czerwonymi chorągwiami.

Patrząc na przesuwający się tłum, nasuwała się mimowoli myśl, że sporo tych pocziwców znalazło się tu pod wpływem pewnej hypnozy czy przymusu i, że, kto wie, czy w pochodach 3 maja nie znajdą się znów częściowo ci sami i z tym samym zapalem śpiewać będą hymny narodowe.

Uroczystość ku czci 3 maja odbyła się na stokach cytadeli pod krzyżem Traugutta. Dzień był bardzo piękny, niezliczone tłumy wyległy na Plac Broni.

Była msza polowa, defilada wojsk, delegacje szkół — wrażenie było b. silne.

W tym okresie poraz pierwszy, w towarzystwie oficerów, zwiedziłem byłe więzienie polityczne Cytadeli oraz mogiły ofiar; nastrój podczas zwiedzania panował uroczysty i rzewny; nikt z zebranych nie zdradził odruch kilku osób, kiedy uklękły pod tem drzewem, — pod którym obok zwyczajnych bandytów, przez długie szeregi lat rozstrzeliwano i najlepszych synów Ojczyzny.

Lato spędziłem częściowo w Warszawie, częściowo na rozjazdach służbowych po różnych dzielnicach.

Byłem w Poznaniu, Biedrusku, Wilnie, Brześciu, Krakowie i Lwowie.

W Warszawie przed powrotem z Rosji bywałem bardzo rzadko, tylko przejazdami, jadąc lub wracając z zagranicy, gdzie z Petersburga najczęściej jeździło się przez Wierbołowo.

Spędzając pierwszy raz lato w Warszawie, tęskniłem za naturą, bo okolic malowniczych Warszawie brak.

Kiedyś, wracając z Pragi z przedstawienia żołnierskiego, jechałem powozem przez most kolejowy i wprost zapatrzyłem

się na ładną, oryginalną panoramę — na tle księżycowej nocy oświetlone miasto wyglądało cudownie.

Ciepły letni wietrzyk przynosił tajemniczy szmer i zdawało się, że nie są to odgłosy ulicznego życia dużego miasta — a nasze rodzime radio rozsyła przez powietrzne fale opowiadania o przeżyciach i mękach Narodu.

W Poznaniu bawiłem poraz pierwszy, jak również i we Lwowie.

Wszędzie spotykałem życzliwe poparcie i zrozumienie dla naszych intencji i planów.

W Poznaniu dowódcą okręgu był wówczas generał Józef Dowbór Muśnicki, szefem sztabu b. kierownik ministerstwa pułkownik Wroczyński. Na wiosnę ministrem wojny mianowany został generał Leśniewski, wice-ministrami generałowie Sosnkowski i Majewski.

W sprawach szkolnych stykałem się bezpośrednio z generałem Sosnkowskim.

W Poznaniu natrafiłem na uroczystość otwarcia szkoły lotników i udekorowanie generała Dowbora orderem włoskim.

Uroczystość dekorowania odbyła się na byłym zamku królewskim przy udziale licznie zebranego towarzystwa poznańskiego.

Zamek zrobił na mnie nieco komiczne wrażenie — całość pretensjonalna, nieestetyczna, robi wrażenie nieodłącznego w każdym niemieckim mieście „Rathauskellera“.

W Warszawie uczestniczyłem również w prześlizgniętej tradycyjnej uroczystości rzucania wianków na Wiśle.

Wraz z wiankami popłynęła myśl ku „naszemu“ Pomorzu, „naszemu“ Gdańskowi i również „naszemu“ morzu...

14 lipca w dniu narodowego święta francuskiego odbył się cały szereg uroczystości w stolicy: nabożeństwo w Katedrze, przyjęcie u posła Prallona, akademja w Ratuszu, galowe przedstawienie, w przystrojonym w chorągwie polskie i francuskie, teatrze. Podczas pierwszego antraktu p. Prallon wygłosił przemówienie na temat przyjaźni obu narodów. Dzień zakończył się balem w lokalu hr. Zamoyskiego, na który przybył i Naczelnik Państwa.

Jesienią odbył się szereg uroczystości w Wilnie, z powodu otwarcia uniwersytetu Stefana Batorego.

Dnie te miały dla mnie — syna tej ziemi — bo ród nasz od szeregu wieków zamieszkiwał w Wileńszczyźnie, Mińszczyźnie i Witebszczyźnie — urok specjalny.

Nie będę się zatrzymywał na szczegółach, ale każdy z nich, bądź solenne wieczorne nabożeństwo, przy udziale tysięcznych tłumów, w Ostrej Bramie, bądź uroczystości w gmachu Uniwersytetu — wszystko to miało dla mnie swoisty czar.

W listopadzie ustępuje Paderewski, gabinet tworzy pan Skulski. Panuje coraz większe rozgoryczenie na tle spraw ekonomicznych i politycznych.

W drugiej połowie listopada komisja wojskowa pod mojem przewodnictwem wyjeżdża do Francji, w celu zaznajomienia się z jej powojennem szkolnictwem, a ja mam sprawdzić, jak posuwają się studia delegowanych do Francji naszych oficerów.

Wyjazd zdecydowano tak nagle, że nie mieliśmy czasu (a coprawda krucho było i z pieniędzmi) na sprawienie cywilnych ubrań.

Jechać trzeba było drogą okrężną przez Czechy i Szwajcarję, podróż z Warszawy do Paryża trwała ze trzy doby.

Władze francuskie udzieliły w Paryżu całkowitego poparcia naszej pracy.

W Paryżu spotkałem się ze synem, który przygotowywał się do objęcia placówki dyplomatycznej w Waszyngtonie.

Jesienią wyjechać miało do Ameryki nasze pierwsze poselstwo: poseł ks. K. Lubomirski i jego zastępca p. F. Puławski nalegali, by mój syn pojechał również. Jak już wzmiankowałem, syn mój służył w armji angielskiej w Mezopotamji, nie więc dziwnego, że jako Polak, mówiący expedite po angielsku, z ukończonym wydziałem prawnym, przedstawiał kandydaturę pierwszorzędną.

Przekonałem się przy tej okazji naocznie, jak trudno było dostać bilet na statek, odchodzący do Ameryki; obeszlśmy z synem sporo biur, wszędzie odpowiadano, że trzeba czekać w kolejce — przez kilka tygodni i jedynie dzięki francuskiemu Mi-

nisterstwu Wojny, syn mój otrzymał kabinę na jednym z lepszych parostatków, który wkrótce odchodził.

Jeszcze w Warszawie uprzedzono mnie, że sprawa naszego wyjazdu z Paryża, w określonym terminie, nie jest tak prosta, ponieważ w naszym poselstwie wydawano wizy wyjazdowe ni- byto na podstawie kolejności zgłoszeń.

Pociągi z Paryża do Warszawy odchodziły dwa razy tygodniowo. Wiedząc o tem, że miejsca trzeba zamówić zgóry, już w dniu przyjazdu — 16 listopada — prosiłem o zarezerwowanie 4 miejsc dla Komisji na 8 grudnia, przyczem oświadczono mi, że miejsca napewno będą dla nas zarezerwowane.

Bywając w poselstwie, spotykałem stale w poczekalni szeregi czekających na zawiadomienie o dniu wyjazdu; widywałem ludzi do najwyższego stopnia zdenerwowanych, płaczące kobiety: stale przed odejściem pociągu, w ostatniej chwili dowiadywano się, że trzeba czekać następnego pociągu.

Coś podobnego miało spotkać i nas: na parę dni przed terminem wyjazdu dowiadujemy się, że otrzymamy tylko 3 miejsca, a oznaczonego dnia było jeszcze gorzej. 7 grudnia powiedziano, żeby adjutant zgłosił się po bilety „jutro“, a nazajutrz zakomunikowano mu, że „dziś“ biuro nieczynne, bo to kościelne święto i że „Komisja pojedzie następnym pociągiem“. Miałem z tego powodu przykrą rozmowę z radcą poselstwa p. Jurystowskim i byłem zmuszony oświadczyć mu, że o ile Komisja nie otrzyma miejsc, zwrócę się natychmiast bezpośrednio do marszałka Focha. Ostatecznie wyjechaliśmy. Następnym pociągiem wyjechał tylko sekretarz Komisji, mój adjutant, który, zdaje się, z takiego obrotu sprawy wcale nie był niezadowolonym.

Przybywszy do Warszawy złożyłem z przebiegu tych spraw meldunek p. ministrowi, odpis zaś sprawozdania posłałem naszemu posłowi w Paryżu do wiadomości.

Dowiedziałem się później, że urzędnika poselstwa, który zarządzał temi wyjazdami — usunięto.

Muszę dodać, że na miejscach, zarezerwowanych dla naszego poselstwa znajdowały się i osoby, nietylko nie piastujące żadnego urzędu, ale i nie mające prawdopodobnie nic wspólnego — z polskością.

Wracam do wrażeń z podróży.

Nie mówiąc już o wyraźnych śladach wojny, widocznych na terenie Francji, choćby tylko przez okna wagonu, Paryż, na pierwszy rzut oka, mało się zmienił w czasie tych sześciu lat, kiedy go nie widziałem.

Miałem wrażenie, że odwiedzam starego przyjaciela, który po bardzo ciężkiej chorobie, powraca do zdrowia. Nad ludnością miasta wisiała zasłona smutku, nieznana temu Paryżowi, który oglądałem przez długi szereg lat przedwojennych.

Nawet przedmieście, pełne cudzoziemców, zalane wieczorami potokami światła — wyglądało ponuro i smutno.

Poza wielką ilością kobiet w ciężkiej żałobie oraz mnóstwem snujących się tu i ówdzie kalek, samo życie Paryża, w jego choćby tylko zewnętrznych przejawach, wydawało się innem, nieznane mi dotąd.

Wprawdzie Paryż, wierny swej tradycji — „bawił się“ i na licznych dancingach i na prastarym Monmartrze — ale sam przejazd po słabo oświetlonych ulicach — bo nie zdążono jeszcze wszędzie usunąć ciemno fioletowych zasłon przed ewentualnymi atakami samolotów — nie był zbyt przyjemny i ponadto wszystkie lokale zamykano już o północy, podczas kiedy w czasach przedwojennych, właśnie o tej porze rozpoczynał swój żywot „nocny Paryż“.

Ale używano i w tych warunkach, specjalnie bawili się cudzoziemcy-aljanci, rzucając się po trudach wojny w wir zabaw i uciech.

Opowiadano sobie w Paryżu, że wojska amerykańskie, wracając do kraju, zabrały z sobą w postaci łupów — kilkadziesiąt tysięcy Paryżanek z Monmartru i dancingów.

Cała Francja jednakże, nie wyłączając Paryża, pogrążona była w głębokiej żałobie i smutku, a co jest charakterystyczne, szczególnie dla Paryża, w święta kościoły przepełnione były, i to nie tylko przez kobiety, ale i przez mężczyzn.

Nie będę zatrzymywał się na szczegółowych opisach inspekcji szkół i instytucyj, i na opowiadaniach o życiu naszych oficerów, wspomnę tylko, że większość z nich pracowała świetnie i zdobyła sobie szacunek dowództwa i kolegów; mieli oni kłopoty finansowe, gdyż życie znacznie zdrożało, a większość z nich przebywała zagranicą poraz pierwszy. Niejeden więc mu-

siał zapłacić daninę za naukę praktycznego urządzenia życia, ponadto każdy miał wydatki reprezentacyjne — bo prawie w każdej szkole witano ich przyjęciami, za które trzeba było się rewanżować.

Przed wyjazdem z Paryża zaprosiłem na śniadanie dowódców szkół wojskowych, w których studjowali nasi oficerowie i kilka godzin upłynęło nam na rzeczowej, miłej pogawędce.

Z Paryża wyjechałem na kilka dni do Włoch — do Turynu, celem zwiedzenia Szkoły Sztabu Generalnego i Politechniki Wojskowej. Zwiedziłem również znaną szkołę jazdy w Pinarello.

Jechałem przez Modenę, wracałem przez Niceę.

(Dla ścisłości zaznaczam, że wojskowi w mundurze mieli w tym okresie zagranicą bilety kolejowe bezpłatne).

Był to koniec listopada, Włochy przeżywały dnie bardzo ciężkie i burzliwe, zbliżył się termin pierwszych po wojnie wyborów do parlamentu, wszędzie kipiała agitacja, już nietylko skrajnie lewicowa, ale nawet i komunistyczna.

Podczas zwiedzania szkoły politechnicznej, na której dziedzińcu stało wojsko, na placu zaczął się zbierać liczny tłum; nastrój był podniecony, czuło się, że wojsko jest niepewne. Dowódca szkoły, proponował mi pozostanie w gmachu, aż się tłumy rozjeżdżą. Podziękowałem uprzejmie, ale nie pozostałem.

Zacząłem iść wśród tłumów: zachowywano się względem nas nawet uprzejmie, padło kilka przyjaznych okrzyków: „Generale Polacco“ — okazało się potem, że polski orzeł był znany w Turynie, gdyż pod miastem (w Santa Anna) mieści się obóz jeńców Polaków, z armij centralnych; większość ich zgłosiła się do naszych formacji i nosiła orzelki.

Jakże inaczej znalazłem Włochy, gdy w roku 1923 pojechał do Rzymu — ile zmian zasadniczych. Dokonało tego gorące umiłowanie Ojczyzny przez umiejętnego i energicznego kierownika nawy państwowej.

W powrotnej drodze z Włoch dzień był pochmurny; w Nicei postanowiłem zanocować.

Rano podchodzę do okna, podnoszę storę i w jednej chwili literalnie zalewa mnie słońce: przed oczyma wspaniała panorama błękitnego morza i nieba.

Oczarowany widokiem chwilowo nie zdawałem sobie sprawy — czy to sen, czy rzeczywistość?

Nie chciało się wierzyć, że gdzieś na dalekich biegunach północy, żyją bez światła i słońca miliony ludzi, nie chciało się wierzyć, że po tych bagnach nadal snuje się krwawy koszmar terroru.

Z Paryża wracaliśmy inną drogą — nie przez Pragę, a przez Wiedeń, gdzie zatrzymywaliśmy się tylko od pociągu do pociągu.

W mieście pełno było wojska włoskiego, które je okupowało: naogół widziało się przygnębienie, ani śladu dawnej jowialności, i dobroduszości wiedeńskiej.

Do Warszawy zdążyłem wrócić na nasze tradycyjne do-
roczne przyjęcie 12 grudnia. Mieszkaliśmy w obszernym zare-
kwirowanym mieszkaniu (niech Bóg dobry ratuje każdego od
tego nieszczęścia), można więc było poprosić dużo gości.

Córki francuskiego generała Spire i paru oficerów fran-
cuskich urządzili żonie mojej miłą niespodziankę: odegrano
w czasie przyjęcia komedijkę. Wspominam o tem dlatego, po-
nieważ na przyjęciu był i nuncjusz Ratti, którego ten improwi-
zowany spektakl bardzo ubawił.

Nuncjusz oświadczył przy tej okazji, że ostatni raz był
w teatrze jako dziecko.

Święta spędziliśmy w szczupłym gronie rodzinnym i mo-
ich najbliższych współpracowników, z którymi łączyła nas ścisła
przyjaźń.

Nie zatrzymuję się nad całokształtem prac sejmowych
w okresie roku 1919, o sprawach sejmowych będę mówił dalej,
ale zaznaczę tylko, że w społeczeństwie wzmaga się coraz więk-
sze rozczarowanie i rozgoryczenie.

Dla charakterystyki przytoczę wyniki 2 głosowań: sprawa
tak doniosła i obfita w skutki na długą, długą metę — bo prze-
dewszystkiem odstrasza „kapitał“ od lokaty w Polsce: sprawa
o reformie rolnej — przechodzi w Sejmie większością jednego
głosu. Ale zato sprawa dyjet poselskich (w rozmiarze uposażeń
wiceministrów) przechodzi — jednogłośnie!...

ROZDZIAŁ III.

Rok 1920... Wówczas to Polska, ta sama, która pokonała wrogów swoich na Psim Polu, pod Grunwaldem, pod Kłuszynem, pod Wiedniem—ta sama Polska raz jeszcze rzuciła zdziwione-
mu światu: Jestem i zwyciężam...

J. Rembeliński: *Dniepr i Wisła*.

Rok Cudu nad Wisłą.

Przystępuję do opisu biegu wypadków i przeżyć w roku знамениym i doniosłym, nietylko dla Polski, ale i dla całej Europy.

W roku 1920 próba rozszerzenia, nietylko już hasła, ale — za pomocą bagnatów, i rządów komunistycznych poza obręb b. Rosji w kierunku na zachód została wstrzymana przez Polskę.

Na litewskich, poleskich i mazurskich polach lawina fal bolszewickich napotkała tamę.

Urosły wały ochronne, a za materiał posłużyły nie żelazo i beton, ale tysiące piersi naszych najlepszych synów Ojczyzny—którzy swoją serdeczną krwią zcementowali te wały i obronili nietylko swój kraj rodzinny, ale i Europę od wylewu, groźniejszego od wulkanu, bo ten niszczy tylko obszary lub martwe przedmioty: tu szło o wprowadzenie terroru komunistycznego, o przymusowe narzucenie najpierw Polsce, a następnie i dalej, jak najdalej na Zachód ideologii „raju komunistycznego“, szło o zagładę kultury świata, o zatrucie dusz...

Lawina ta szybkim pędem przez cztery miesiące rozlewała się po znacznej części kraju i w połowie sierpnia sięga prawie przedmieścia Warszawy i nawet dalej — pod Płock.

Obficie lała się polska krew i ginął dobytek, ale ci biedacy, którzy chociaż chwilowo zaznali na własnej skórze, czym są w rzeczywistości „rządy komunistyczne“ — na zawsze przestali dążyć do „raju bolszewickiego“!

Przeżycia naszego narodu w tym wyjątkowym roku będą przez długie szeregi lat źródłem licznych studjów i pamiętników, obecnie mojem zadaniem jest tylko wyświetlenie, w grubszych zarysach, kroniki dziejowej i to w ramach osobistych przeżyć.

Poruszając ten temat, uważam za niezbędne zaznaczyć, że w okresie tych przełomowych tygodni, kiedy armje bolszewickie szybko zbliżały się ku Warszawie, namacalnie poprostu przejawiał się patryjotyzm i wielka, duchowa moc Narodu naszego!

„Duszę polską porwała w ramiona radość przeogromna i napelniła ją szlachetnością. Chciałoby się powiedzieć, w odruchu szczerości, iż Polacy w owych dniach byli najlepszymi Polakami w ostatnim dziesięcioleciu“¹⁾.

Coprawda i u nas nie obeszło się bez tego, że niektórzy z tych, których obowiązkiem było pozostanie na posterunku, pod najróżniejszymi pretekstami nagwałt uciekali ze stolicy, ale dominująca większość społeczeństwa znalazła się na wysokości poczucia obowiązku i honoru narodowego.

W pierwszych dniach sierpnia, kiedy czołowe jacejki tej szarańczy już podpełzały do okolic stolicy, mieszkańcy Warszawy byli zdecydowani niemal na to, że każdy dom, każdy zaułek stanie się czasową fortecą...

Widząc to i porównyując z tem, co się działo na terenach b. Rosji w latach 1917 i 1918 — „serce rośło“. W obu stolicach b. Rosji i większych miastach, jak Kijów i inne, ludność, zaopatrzona nawet obficie w broń, nietylko, że nie stawiała żadnego oporu, ale dawała się bezwolnie rozbrajać małym grupkom lichu uzbrojonych bandytów.

Na terenach b. Rosji zachodziły fakty jeszcze mniej zrozumiałe i wprost straszne, bo nietylko cywilna ludność pozwa-

¹⁾ Wojciech Stpiczyński: Krwawy, pracowity Cud 1920 roku.

łała bezkarnie znęcać się nad sobą, ale równie posłusznie i bez oporu szła pod mury i liczna młodzież wojskowa, inteligentna, którą zabijano nieraz jej własną bronią!...

Urzędowe noworoczne uroczystości w Warszawie, odbyły się w Belwederze, ale kiedy rok temu na Zamku zebrali się tylko wojskowi, teraz przybyli do Łazienek przedstawiciele Sejmu, rządu, duchowieństwo, korpus dyplomatyczny, władze wojskowe i cywilne delegacje. Wygłoszono szereg urzędowych mów.

Podczas przyjęcia w Łazienkach zwolennicy byłego pre-mjera p. Paderewskiego urządzą demonstracyjną owację przed jego mieszkaniem, podkreślając tem swój protest przeciw obecnemu rządowi. Miało się to powtórzyć i wieczorem w czasie galowego przedstawienia w Teatrze Wielkim, ale plan ten spalił na panewce.

Styczeń mija spokojnie, i mimo, że na horyzoncie politycznym Wschodu chmury zgęszczają się coraz więcej, nie przeszkadza to Warszawie bawić się bardzo szumnie!

Coprawda, pewna część społeczeństwa była tem oburzona. Opowiadano, że w czasie jednej z licznych i hucznych zabaw tanecznych, na salę wniesiono — trumnę.

Młode nasze wojska w tym okresie prawie że bez przerwy, prowadziły wojnę, nietylko na froncie lwowskim przeciw bandom ukraińskim, ale i z bolszewikami.

Przyszły historyk szczegółowo i jaskrawo opisze i wyświełli cały szereg bohaterskich wysiłków naszych wojsk, do zespołu którego wstąpiła gremjalnie i nasza szlachetna, odważna młodzież ze wszystkich szkół wyższych w kraju.

W Warszawie opowiadano, że na frontach czasami brak środków sanitarnych był tak wielki, że na opatrunki ran brano i — gazety...

Ubrań i obuwia brakło, jak na froncie, tak i w Warszawie, gdzie ogólnej musztry większych bojowych jednostek nie można było odbywać z powodu braku — obuwia.

Jednocześnie coraz intensywniejszą staje się agitacja bolszewicka; w różnych dzielnicach kraju powstaje wprost kalendarzowa kolejka strajków; widocznie środków materialnych nie braknie, bo agitacja uprawiana jest nietylko w prasie komunistycznej i na wiecach, ale nawet i na scenach niektórych kaba-

retów, gdzie systematycznie ośmiesza się wszystko, co jest swoje, polskie — fala komunizmu dociera nawet i do ław sejmowych, gdzie fluidy haseł komunistycznych znajdują płatnych adeptów — na szczęście bardzo nielicznych.

Życie w Warszawie było wtedy stosunkowo tanie, korzystają z tego coraz liczniejsze kolonie obcokrajowców, nie tylko robiąc wielkie oszczędności, ale, korzystając z naszej niskiej waluty, skupują zabezpieczenia i wywożą zagranicę dzieła sztuki, bądź też biżuterię.

Naogół w początku roku nastrój w stolicy był dobry, bawiono się, dowcipkowano.

W kółkach wojskowych tematem dowcipów była często słaba znajomość języka polskiego wśród oficerów z byłych zaborów.

Krażyła historyjka o żonie pewnego oficera z zaboru rosyjskiego, która opowiadała przybyłym na jej imieniny gościom, że mąż w prezencie — „podniósł jej sukienkę“ (po rosyjsku „podniósł“ znaczy „podaował, ofiarował“).

Kursowało jeszcze opowiadanie o jednym z wyższych dygnitarzy również z b. zaboru rosyjskiego, iż, nie mając czasu udzielić dłuższej osobistej audjencji pewnej pani, zaproponował jej, aby zwróciła się ze swą sprawą do jego adjutanta, temi, ni mniej ni więcej, słowami: „On wszystko, co Pani ma, rozbierze, i Pani może zupełnie spokojnie położyć się na niego, bo potem on wszystko dołoży mnie“.

I w gronie wojskowych z b. zaboru austriackiego byli również tacy, którzy z niemalą trudnością mogli rozmówić się po polsku i poza służbą chętnie posługiwali się językiem niemieckim. Na temat oficerów b. austriackiego zaboru również kursowały odpisy „kawałków“ i „konceptów“, składających się ze słów i wyrazów, których z pewnością nie znał ani Mickiewicz, ani Krasiński, ani Sienkiewicz. Np. „Koncept jego miałem na ewidencji i dałem szefowi do wglądu“.

Naogół żartowano dobroduszenie, czasami tylko zdarzały się nieporozumienia i „kawały“ więcej dotkliwe.

Nie wiem do jakiej kategorii „nieporozumień“ zaliczyć to, co mnie spotkało.

Od 14 lat życia byłem bez przerwy zawodowym wojskowym, z początku jako kadet szkoły marynarki, potem przez 37 lat bez przerwy pozostawałem na służbie czynnej jako oficer, w tem od r. 1911 jako generał.

Tymczasem w Polsce przy pierwszej weryfikacji wiosną 1920 r. odmłodzono mnie do tego stopnia, że znalazłem się na liście najmłodszych generałów. Generałami „starszymi“ ode mnie zostają „młodszy“ nie tylko wiekiem, ale i służbą, bo wtedy, kiedy ja byłem już profesorem artylerji, w randze kapitana, niektórzy z nich ledwie zaczynali studjować — abecadło!

Rozumiałem, że przy układaniu spisu „starszeństwa“ kilku tysięcy ludzi, z których znaczna część służyła w różnych zaborach, albo odbyła służbę w różnych formacjach, utworzonych podczas wojny, — mogły zajść i omyłki, i niedopatrzienia.

Rozumiałem i to, że przy tej pierwszej weryfikacji, więcej praw, przedewszystkiem moralnych, musieli mieć ci, którzy lata całe pracowali i walczyli o niepodległość narodu, ponosząc wszelkie życiowe konsekwencje, nie tylko względem siebie, ale i swoich najdroższych, aniżeli ci Polacy, wojskowi obcych zaborów, którzy, przybywszy do Polski (nawet i niezawsze dobrowolnie) żądali dla siebie „starszeństwa“ i wyższych, kierowniczych stanowisk.

W tych warunkach pewien „klucz“ miał tu rację bytu, ale przy jednym zastrzeżeniu: podstawą układu nowych stosunków winna być bezwzględna sprawiedliwość, a przyszła praca winna być mieć za podłoże ogólne cele państwowe i oprzeć się na wiedzy fachowej, a nie na przynależności jednostek do pewnych ugrupowań!

Jako wojskowy, nie uważam za wskazane dłużej zatrzymywać się nad tem, pragnę zaznaczyć tylko, że oficerowie b. zaboru rosyjskiego, stosunkowo mniej znani ówczesnemu wyższemu kierownictwu wojskowemu, odczuli tę krzywdę najdotkliwiej.

Wracając jeszcze raz do moich spraw osobistych, muszę zaznaczyć, że mimo, iż kilkakrotnie prosiłem służbowo o skorygowanie pomyłki, zostaję w 1922 r. zwolniony w stan spoczynku z powodów czysto formalnych: skończyłem 57 lat — wiek prekluzyjny dla generała Brygady.

Dla ścisłości muszę tu wspomnieć o pewnym fakcie: przed moim odjazdem na stanowisko Szefa Misji Wojskowej we Francji, pułkownik Frölich z Wydziału Personalnego uprzedził mnie o tem, że w 22 r. — o ile pomyłka z moją weryfikacją nie zostanie skorygowana — zostanę zwolnionym na emeryturę, przyczem proponował mi, abym podał prośbę o przyznanie mi „venia aetatis“ — t. zn. prawo pozostania na służbie po upływie wieku prekluzyjnego. Ponieważ byłem pewny, że to rażące przeoczenie musi być, i to w najkrótszym czasie, samo przez się skorygowane, a za ubliżające uważałem prośbę o prawo pracy — więc żadnego podania nie złożyłem.

Będąc przytem pochłoniętym najróżnorodniejszą pracą, Bogiem a prawdą, zapomniałem o tej rozmowie!

Po upływie ledwie paru dni po ogłoszeniu rozkazu o mojej dymisji, która miała nastąpić w przeciągu kilku miesięcy, bez żadnych z mojej strony zabiegów — otrzymuję pismo Ministra o ponownem powołaniu do służby czynnej na zajmowanym dotąd stanowisku i pozostaję na niej do końca 1924 r.

Jednocześnie spotkał mnie i bardzo poważny zaszczyt: przy tajnych wyborach do pierwszego generalskiego sądu honorowego otrzymałem największą ilość głosów...

Zbliża się Wielkanoc. Od lat dziecińczych było to dla mnie święto wyjątkowo radosne. Przypisuję to okoliczności, że większą część życia spędziłem w ponurym i mroźnym Petersburgu, w którym nadchodząca wiosna, z budzącą się z letargu naturą jest czemś specjalnie miłym i radosnym.

We środę Wielkiego Tygodnia zawiadomił mnie Szef Sztabu, że wybrano mnie za przewodniczącego komisji, która musi jak najprędzej wyjechać na front do kwatery głównej generała Iwaszkiewicza.

Wyjechaliśmy w piątek po południu. Skład Komisji był mieszany — polscy i francuscy oficerowie; przyczyną stworzenia Komisji był meldunek oficera sztabu marszałka d'Esperay, o tem, że obrażono go na terytorjum polskiem. O zajściu tem marszałek bezpośrednio zawiadomił ministerstwo wojny w Paryżu, skąd przyszło poniekąd ultymatywne wymaganie niezwłocznej satysfakcji.

Komisja miała do swej dyspozycji specjalny pociąg, składający się z wagonu salonowego, sypialnego, lory na samochody i wagonu pieca.

Do Lwowa przybyliśmy w Wielką Sobotę rano.

Korzystając z kilkogodzinnego pobytu, odwiedziłem podchorążego, który zapadł na tyfus.

Muszę tu wyrazić swe głębokie uznanie dla pełnej poświęcenia pracy lekarzy szpitalnych.

Instytucjom wojskowym było wtedy ciasno i niewygodnie! W tym samym Lwowie dla jednego z naszych kursów dla żołnierzy, przydzielono lokal gdzieś na krańcu miasta, w wąskiej uliczce; gdy przy inspekcji zapytałem, dlaczego okna frontowe zamalowano białą farbą, odpowiedziano mi, że powodem tego zarządzenia jest mieszczący się naprzeciw — dom rozpusty.

Dość obfity materiał przestudjowaliśmy w pociągu, pracę przedwstępną ukończyliśmy w sobotę wieczór i dość późno rozeszliśmy się do swoich przedziałów.

Zbliżała się uroczna noc wielkanocna. Tłoczą się wspomnienia o okolicznościach, w jakich spędzałem tę noc uroczystą i sięgają, aż het, do lat dziecinnych! Płyną wspomnienia... Korpus Kadetów, „zautrenia“ (jutrznia) w otoczeniu kolegów, przytulne i miłe nasze kościółki bądź litewskie, bądź petersbuskie...

A potem, naprzemian, ten przepych i pompa na uroczystych przyjęciach w noc Wielkanocną w pałacu zimowym cara lub w pałacu Wielkiego Księcia Włodzimierza...

Po ożenieniu się niejedną noc Wielkanocną spędziłem w Moskwie. Byłem i na Kremlu, powodowany ciekawością, i wspominałem nieraz ten feerycznie oświetlony Kreml, tysiączne tłumy z duchowieństwem w bogatych ornatach na czele, solenne śpiewy „Chrystus zmartwychwstał“ i radosny głos dzwonów całej Moskwy z „Carem dzwonów“ na czele...

Wszystko to należy do przeszłości, jak przeszłością niepowrotną są czasy Skrzetuskich, Wołodyjowskich, Podbipiętów...

Rozglądając się wokoło po malowniczej okolicy, oświetlonej bladym blaskiem księżyca, przenosiłem się myślą do tych czasów, kiedy po tych właśnie oczeretach i jarach gnało raz nasze rycerstwo, raz hordy tatarskie...

Wczesnym rankiem przybyliśmy do Tarnopola.

Po wyczerpującej konferencji z generałem Iwaszkiewiczem i jego Szefem Sztabu, udaliśmy się z nim razem, najpierw na nabożeństwo, a potem na rewję. Czuło się najwyraźniej, że generał ma wielki mir u żołnierzy.

Po spożyciu święconego udaliśmy się w dalszą drogę do Kamieńca Podolskiego, do sztabu dywizji generała Krajewskiego.

Pochłonięci pilną pracą, nie znaleźliśmy czasu na dłuższe zwiedzanie tego historycznego miasta, widocznem jednak było, że element polski nie jest w Kamieńcu dominujący.

Komisja załatwiła swą pracę nietylko szybko, ale i pod każdym względem dla nas pomyślnie.

Wracając we wtorek wieczór do Lwowa, podpisaliśmy wspólny protokół, w którym jednomyślnie wyświetliliśmy całą sprawę zupełnie na naszą korzyść. Protokół był zredagowany w języku polskim i francuskim. Do Warszawy wróciliśmy we środę. Tego samego dnia złożyłem miarodajnym czynnikom odpowiedni raport...

Chmury na horyzoncie politycznym zaczynają gęstnieć: staje się jawnem, że wojna z bolszewją jest nieunikniona.

Czynnego udziału w wojnie nie brałem, nie będę więc opisywać dziejów tych kilku miesięcy, tak dobrze znanych większości mych czytelników.

Poważniejsze działania wojenne rozpoczynają się w początkach maja.

Wiadomość o zajęciu przez nasze wojska Kijowa rozeszła się radosnem echem po całym kraju.

Do dziś dnia niezupełnie wyraźnie zdaję sobie sprawę z przyczyn rozpoczęcia akcji na froncie południowym. Nie będąc wtajemniczonym w treść układów z Petlurą, który miał z Ukrainy stworzyć zator między Polską a Bolszewją, rozumowałem w ten sposób: szło o to, aby nie dać się połączyć dwóm armjom bolszewickim — południowej i północnej, która przez całą zimę formowała się tajemnie aż w dalekiej Wołodzie.

Mojem osobistem zdaniem najważniejszym punktem naszych strategicznych operacyj w każdym razie powinien być przedewszystkiem front północny.

Akcję wojenną na froncie południowym rozpoczęto 25-go kwietnia, a w pierwszych dniach maja Kijów już był zajęty przez nasze wojska.

4 maja Marszałek Sejmu Trąpczyński wysłał do Naczelnika Państwa, Józefa Piłsudskiego następujący telegram: „Wieżę o świetnem zwycięstwie, jakie odnosi żołnierz polski pod Twojem naczelnem dowództwem, napawa radosną dumą cały naród polski. Za ten krwawy i bohaterski trud, który zbliża nas do upragnionego pokoju i kładzie nowe podwaliny pod potęgę państwa polskiego, Sejm w imieniu wdzięcznej Ojczyzny, śle Tobie, Wodzu Naczelnym, i bohaterskiej armji serdeczną podziękę“.

Naczelnik Państwa wraca do Warszawy i po jego powrocie w dniu 11 maja odbyło się uroczyste nabożeństwo w kościele św. Aleksandra; ogólny zapał był tak wielki, że młodzież wyprężyła konie z powozu Naczelnika Państwa i wśród entuzjastycznych okrzyków bardzo licznego tłumu zawiozła go do Belwederu, gdzie zebrali się członkowie Sejmu, generalicja i przedstawiciele stronnictw politycznych. Naczelnik opowiadał nam o swoim pobycie w Kijowie, gdzie bawił incognito.

Ale wtedy, kiedy Warszawa triumfuje z powodu kijowskiego zwycięstwa, na północnym (wileńskim) froncie sprawy wojenne przyjmują wprost katastrofalny obrót. Armja Generała Majewskiego od pierwszej chwili i w dalszym ciągu stale, nietylko ani razu nie stawia należnego oporu, ale bezustannie cofa się i to coraz szybciej!

Wilno nietylko zostaje oddane bolszewikom bez strzału, ale do ostatniej chwili mury miasta są pozalepiane urzędowymi ogłoszeniami ówczesnych władz lokalnych, że ludność może zachować zupełny spokój, bo noga bolszewika w Wilnie nie po-
stanie...

Następuje ogólne cofanie się wszystkich sił zbrojnych na froncie północnym, a dowodzący tym frontem Generał Szeptycki, w najkrytyczniejszej chwili, z powodu choroby, składa dowództwo...

Wojska nasze przy tem gwałtownem cofaniu się nie zatrzymują się nawet i na znakomitej „pozycji Hindenburga“,

którą Niemcy w okresie lat 1915 — 1917 doskonale ufortyfikowali.

Wkrótce i na kijowskim froncie bolszewicka kawalerja pod dowództwem Budennego (w okresie wojny wszechświatowej Budenny był wachmistrzem w jednym z pułków rosyjskiej gwardji) przełamuje zadaleko posunięty i bardzo słaby nasz południowy front.

Rozpoczyna się cofanie i południowej armji. Kijów jeszcze w maju zostaje opuszczony przez wojska polskie.

Zajęcie Kijowa przez nas, niestety na krótką metę, miało poważne konsekwencje dla całokształtu przebiegu wojny: fakt zajęcia przez wojska polskie „pramatieri ruskich gorodow“ (najdawniejszego miasta rosyjskiego) wywołał wielkie poruszenie wśród wszystkich warstw społeczeństwa rosyjskiego, nawet i nie należących do komunistów. Rząd sowiecki potrafił zręcznie wykorzystać tę okazję: od tej chwili wojna polsko-rosyjska staje się czemś w rodzaju wojny narodowej i wielu wrogów rządu komunistycznego z generałem Brusilowym na czele zgłasza się do szeregów armji komunistycznej!

Należy przyjąć pod uwagę i tę okoliczność, że dla rządu Sowieców konjunktura polityczna wojny z Polską, wiosną 1920 roku, była wyjątkowo pomyślną:

W listopadzie 1919 r. zostaje rozbita i zlikwidowana północna armja Generała Judenicza (która w sierpniu zbliżała się już do przedmieść Petersburga, w grudniu 1919 r. południowa armja Denikina ponosi szereg ciężkich klęsk. W marcu 1920 r. admirał Kołczak zostaje rozstrzelany przez bolszewików (nie mam dokumentów, ale ogólna opinja głosi, że został sprzedany za wagon złota), armja jego idzie w rozsypkę i przestaje być groźną.

W ten sposób Sowiety już w marcu mogą wysłać na front polski do 25 dywizyj, a w sierpniu zwiększyć tę ilość do 40.

Wogóle rząd Sowieców nie ukrywał swoich zamiarów rozpoczęcia wojny z Polską, co swoją drogą nie przeszkadzało sferom urzędowym jednocześnie robić perfidyjne propozycje rządowi polskiemu zawarcia traktatu pokojowego; Trockij w swoim liście do komunistów francuskich, ogłoszonym w prasie ko-

munistycznej jeszcze w grudniu 1919 r., otwarcie zapowiada rozpoczęcie w najbliższym czasie wojny z Polską.

Narazie ja, i zapewne większa część społeczeństwa nie przypuszczała, że już w początku sierpnia fale wojsk bolszewickich zaleją kraj i dojdą aż pod Radzymin — a więc tuż pod Warszawę...

Tak byłem daleki od tych myśli, że w lipcu wyjechałem do Francji.

Poza inspekcją naszych oficerów, pragnąłem na miejscu zasięgnąć opinii Francuzów o opracowanym przez nas planie szkolnictwa wojskowego.

W dniu przyjazdu do Paryża dowiedziałem się, że minąłem się w drodze z synem, który wobec wypadków na froncie, wracał do kraju, żeby wstąpić w szeregi armii czynnej.

Spędziłem we Francji dwa tygodnie, przez cały czas bardzo zdenerwowany; ten sam nastrój widocznym był wśród studujących oficerów, których większość rwała się na front.

Przyjechałem do Paryża w wilgę dnia święta Narodowego. Dzień zdobycia Bastylji nieraz już wypadło mi spędzić we Francji, ale jakże inaczej reagowało się kiedyś, za dawnych przedwojennych czasów, a jak inaczej dzisiaj i tem bardziej, kiedy byłem tak niespokojny i moralnie przybity!

W Paryżu zastałem pp. Paderewskich, Piltców, ministra Patka, gen. Rozwadowskiego, który w tym okresie został wezwany do Spaa, skąd tylko co przyjechał p. Patek, który wedle jego słów, nie zgadzając się z bawiącym w Spaa p. premierem W. Grabskim co do podstaw naszych pertraktacyj z Bolszewją, które narzucał Polsce obecny tam premier angielski Lloyd George (w sprawie smutnej pamięci „linji Cursona“), jako minister spraw zagranicznych, podał się do dymisji.

10 lipca obecny w Spaa premier W. Grabski podpisuje umowę z Koalicją, mocą której Polska zgadza się wycofać wojska na tak zwaną „linję Cursona“ (która obejmowała b. Kongresówkę, bez północnej części Suwalszczyzny oraz trzech powiatów b. gubernij Grodzieńskich), zgadza się na oddanie Wilna Litwinom i na wysłanie pełnomocników na konferencję do Londynu, w której równocześnie wezmą udział delegaci Sowietów, Finlandji, Łotwy i Litwy, наконец Polska zobowiązuje się przy-

jąć decyzję Rady Najwyższej w sprawie granic litewskich, jak również przyszłości politycznej Galicji Wschodniej, Cieszyzna i przyszłego paktu górnośląskiego.

W razie odmowy Sowietów podpisania rozejmu, koalicja da Polsce wszelką pomoc, nie wykluczając i wojskowej.

Nietylko ja jeden, ale my wszyscy Polacy, będący podczas tych dni, pełnych grozy, poza krajem — czuliśmy się tem wszystkim mocno przygnębieni...

Spieszyłem z powrotem do kraju; gdym przybył na Gare du Nord, w samochodzie naszej Misji Wojskowej, ozdobionym orłami polskimi, kilka osób, znajdujących się na peronie, rzuciło mi, żebym nie wracał do Polski, bo — Warszawa będzie za kilka dni zajęta!

Wróciłem 3 sierpnia i zaraz na wstępie spotkała mnie wielka radość: zastałem syna swego w mundurze oficera artylerji, w sztabie dowódcy pierwszej armji (Generała Latinika).

Od chwili jednak powrotu do kraju czułem się dziwnie zdenerwowany i trudno mi było określić, czy mam to własnym moim nerwom przypisać, czy znalazłem się może w otoczeniu ludzi, niezupełnie normalnych...

Wielu zdradzało zatrzważające przygnębienie, nastrój panował ciężki.

Bolszewicy byli już o kilkadziesiąt kilometrów od Warszawy. Rozpoczęło się paniczne wprost i niezbyt chwalebne dezertowanie, co prawda jedynie „sfer towarzyskich“ i częściowo tych, którzy zaznali już na sobie skutków „raju komunistycznego“ w b. Rosji.

Poza sferami towarzyskimi, jak już zaznaczyłem, ludność Warszawy składała na każdym kroku dowody głębokiego patriotyzmu i poczucia obywatelskiego.

Jestem przekonany, że gdyby los dopuścił hordy bolszewickie do Warszawy, — to napotkałyby one najostrzejszy opór „trzeciego stanu“, pełnego patriotyzmu!

W parę dni po moim powrocie przybywa do Warszawy Szef Sztabu marszałka Focha — generał Weygand.

W nocy, z 12 na 13 sierpnia miały wybuchnąć w Warszawie rozruchy komunistyczne; z wielką trwogą oczekiwaliśmy

powrotu syna — wrócił nad ranem i oświadczył nam, że brał udział w aresztowaniu komunistów w ich mieszkaniach.

Miasto z godziny na godzinę pustoszeje. Na ulicach — oddziały wojskowe z taborami i zapasami amunicji dążą na wschód. Most Kierbedzia szczelnie wypełniony posuwającymi się taborami. Z drugiej strony przez rogatki miejskie posuwają się w kierunku zachodnim transporty opuszczających Warszawę.

Do wagonów odchodzących pociągów niesposób się wtłoczyć: przepełnione korytarze, wrzask, harmider...

Prawie cały korpus dyplomatyczny opuścił Warszawę, tylko nuncjusz papieski Ratti pozostaje na swoim posterunku i nie opuszcza stolicy...

Jednocześnie do armji ochotniczej, na czele której stanął Generał Józef Haller, cisną się liczne zastępy szlachetnych, prawdziwych patriotów. Góruje młodzież, ale przesuwa się i ludzie wiekowi, dobrze sytuowani społecznie i materialnie. Porównując to z tem, co się widziało w byłej Rosji, otucha i nadzieja ostatecznego zwycięstwa wstępuje w serca...

„Przed siebie wprost, przez obłąkane drogi,
Przez mrok i deszcz, przez krwi opary,
Ja polski piechur, jako ziemia szary,
Umęczone wlokę nogi *).“

Na okolicznych cmentarzach Warszawy (Radzymin i w. in.) i na Powązkach spoczywają prochy tej ideowej, szlachetnej młodzieży — a między nimi grób bohatera — księdza Skorupki, który padł z krzyżem w dłoni, którym błogosławił idących do ataku żołnierzy.

9 Sierpnia formuje się nowy bezpartyjny gabinet wspólnej obrony narodowej. Ministrem wojny zostaje mianowany generał Sosnkowski.

Rozpoczęła się decydująca walka pod Radzyminem.

W przełomowy dzień 15 Sierpnia w czasie bardzo wczesnego posiedzenia, które odbyło się w gabinecie ministra, dowiedzieliśmy się od niego o przebiegu operacji pod Radzyminem

*) Piosenki żołnierskie — Kornel Makuszyński.

i o pierwszych decydująco pomyślnych dla nas wyników walki — nie trzeba chyba dodawać, że ogarnęło nas wszystkich uczucie szczerej, głębokiej radości...

Pod wieczór na placu Saskim stały oddziały jeńców bolszewickich; przyglądałem się uważnie tym ordynarnym twarzom, których prośbą i groźbą dopchano pod mury warszawskie, obiecując im, że można będzie „pohulać” w Warszawie...

Dowiedziałem się później, że naszym więźniom politycznym w Butyrskim więzieniu w Moskwie opowiadano tego dnia, że Warszawa wzięta i w Moskwie wiwatowano z okazji tego zwycięstwa.

Minął wielki dzień „cudu nad Wisłą”...

Od tej chwili coraz szybciej odpływały fale szarańczy i nie tylko już od Warszawy, Grodna, Brześcia, a dalej aż — pod Dźwinę, Dniepr...

Działania wojenne trwają jeszcze do października, pókój zostaje zawarty w Rydze 12 października.

Przypominam sobie, jak w okresie pierwszych dziesięciu dni po 15-ym sierpnia były modne wyjazdy w okolice Radzimina, „na front” (odległy o kilka kilometrów od przedmieść Warszawy).

Powoli Warszawa zapełnia się powracającymi uciekinierami, którzy, narazie czują się może nieco zdetonowani, ale w bardzo szybkim czasie nabierają tupetu i zaczynają wszystko w najlepsze — krytykować!

W październiku działania wojenne ustają zupełnie, poczem w Rydze zostaje podpisany rozejm (na czele naszej Komisji stał poseł Dąbski, przedstawicielem Sowietów był Joffe).

Znaczna część społeczeństwa (inteligencji) uważała, że nie tylko mogliśmy, ale powinniśmy byli osiągnąć znacznie korzystniejsze warunki pokojowe, i to nie tylko z Sowietami — którzy w tym okresie znów mieli „nóż na gardle”, i pragnęli za wszelką cenę zlikwidować sprawę z armją Wrangla, na Krymie. Zdaniem b. wielu osób to był właśnie najodpowiedniejszy moment dla decydującego rozstrzygnięcia również kwestji litewskiej... Zwycięzców nie sądzą...

Praca moja płynie trybem normalnym.

W pierwszych dniach października wyjeżdżam do Poznania, skąd dalej samochodem przez Gniezno do Bydgoszczy.

Poraz pierwszy zwiedzałem te okolice wraz z jeziorem Gopłem.

Zwiedzając katedrę w Gnieźnie, byłem zaskoczony tem, że, będąc tu poraz pierwszy, widzę rzeczy najwyraźniej mi znane. Starając się zdać sobie z tego sprawę, uświadomiłem sobie, że żyją we mnie rysunki katedry, naszkicowanej podczas jednego z wykładów na kursach pedagogicznych przez prof. Noakowskiego.

Po zwiedzeniu katedry poleciłem szoferowi, by zawiózł nas do restauracji na śniadanie, wówczas ten zwraca się nieoczekiwanie z prośbą, bym zechciał swą osobą zaszczyścić jego rodzinę, która mieszka o 20 kilometrów od Gniezna, po drodze do Bydgoszczy. Zgadzałem się chętnie.

Przyjeżdżamy. Wprowadzają nas do widnego, miłego pokoju, na którego czysto wybielonych ścianach wiszą fotografie w ramkach, a nawet i portret Kościuszki!

Na stole, przykrytym czystym i cienkim obrusem, zjawia się jajecznica z szynką, kurczęta i inne wiejskie przysmaki; z wielkim trudem udaje mi się namówić uprzejmą gospodynię, teściową naszego szofera, by zasiadła z nami do stołu (jechałem z adjutantem).

Po chwili nadchodzi z pola mąż — właściciel 100 morgowego gospodarstwa; mimo zaproszeń staje we drzwiach i — nie chce usiąść przy stole.

Wszystko tu okazywało dobrobyt i pewną kulturę. Jakże daleko od tego nie tylko naszym białoruskim chatom, i dzisiaj jeszcze gdzieś niegdzie „kurnym“ (bez komina), ale i niektórym naszym wiekowym, przytulnym dworkom litewskiej zaściankowej szlachty! Ileż to tych ostatnich zniknęło bez śladu w czasie wszechświatowej zawieruchy i pożogi terroru komunistycznego!

Rozumie się, że o żadnej zapłacie nie mogło być nawet mowy, nawet i nazajutrz, przed wyjazdem do Warszawy, ledwie mi się udało, i to z wielkim trudem, wręczyć gościnnemu gospodarzowi-szoferowi — suty napiwek.

Do Bydgoszczy przyjechałem około 4-ej. W Poznaniu burmistrz Bydgoszczy (p. Maciaszek) zaprosił mnie na obiad, urządzony przez miasto na cześć kardynała Dalbora.

Przy obiedzie siedziałem obok kardynała. Opowiadał, że akurat cztery lata temu, z racji wyświęcenia go na arcybiskupa, w tejże samej sali, przy tym samym stole, wydano również obiad na jego cześć; taka sama mniej więcej była liczba gości, tak samo ogłoszono szereg przemówień i śpiewały chóry, nawet obok również siedział generał — ale mowy wygłaszane były w języku niemieckim, chóry śpiewały po niemiecku, a sąsiadem był — generał pruski...

Następny dzień mego pobytu w Bydgoszczy był rekordem ruchliwości: o g. 7-ej rano powitałem na stacji ministra spraw wojskowych generała Sosnkowskiego, od którego dowiedziałem się, że zajęliśmy Wilno.

Potem, jeszcze przed nabożeństwem, oglądałem szczegółowo gmach, w którym miał być umieszczony korpus kadetów, następnie msza polowa, rewja, popisy sportowe, śniadanie dla ministra w kasynie wojskowem, wizyty urzędowe, koncert popołudniowy i obiad w szkole oficerskiej, przedstawienie w teatrze miejskim, na które zaprosiła mnie delegacja artystów, przedstawienie w świetlicy żołnierskiej, kolacja w licznej gronie oficerów i o 2-ej w nocy odjazd do Warszawy...

18 października Naczelný Wódz ogłasza rozkaz do Wojsk, z którego przytoczę kilka fragmentów:

żołnierze!

Dwa długie, pierwsze lata istnienia Polski spędziliście w ciężkiej pracy i krwawym znoju. Kończycie wojnę wspaniałymi zwycięstwami: nieprzyjaciół, złamanych przez Was, zgodził się na podpisanie pierwszych i głównych zasad upragnionego pokoju.

żołnierze! Nie napróżno i nie na marne poszedł Wasz trud!

...Zadanie Wasze dobiega do końca. Nie było ono łatwym. Nieraz, żołnierze, lzy cisnęły mi się do oczu, gdy widział wśród szeregów wojsk, prowadzonych przeze mnie, Wasze bose, pokaleczone stopy, gdy widział brudne łachmany, pokrywające Wa-

sze ciała, gdy musiał obrywać Wasze skromne racje żołnierskie i żądać często, byście o głodzie i chłodzie szli do krwawego boju...

Żołnierze! Zrobiliście Polskę mocną, pewną siebie i swobodną. Możecie być dumni ze spełnienia swego obowiązku. Kraj, co w dwa lata potrafił wytworzyć takiego żołnierza, jakim Wy jesteście, może spokojnie patrzeć w przyszłość...

W końcu roku, resztki byłych armji rosyjskich, antybolszewickich, pod dowództwem Wrangla zostają zmuszone do opuszczenia ostatniego skrawka ziemi ojczystej — Odesy i półwyspu Krymskiego.

Zwalczeni zostali nietyle przez armję czerwoną i jej wodzów, jak częściowo przez zręczną agitację wśród żołnierzy, jak, sądząc z licznej literatury w tej sprawie, przez chaos, bezprzeglądny bezład, intrygi i nikczemności, obok niezrozumiałej wprost nieudolności wyższego kierownictwa na wszystkich placówkach. W grudniu armji niebolszewickiej na terenie Rosji już nie ma. W okresie tak krótkim cały szereg zmian w wyższym dowództwie. Poza rozstrzelanym admirałem Kołczakiem, który operował do wiosny 1920 r. na Wschodzie i przy wszystkich swoich zaletach osobistych, nie wykazywał odpowiednich cech dowódcy i administratora (znałem go dobrze osobiście: od szeregu lat ojciec jego, generał artylerji morskiej, był moim starszym kolegą, a on sam przez dwa lata słuchał moich wykładów artylerji w korpusie morskim. Jako człowiek był on mi zawsze sympatyczny — po nim utalentowanego zastępcy w szeregach jego armji już nie było).

Na południowym froncie zachodziły ustawiczne zmiany na stanowiskach wyższego dowództwa: najpierw umiera były szef sztabu, z okresu dowództwa Mikołaja II, generał Aleksiejew, następnie usuwa się generał Kaledin (zastrzelił się), na czoło armji wysuwa się generał Denikin i ostatnim głównodowodzącym jest generał Wrangel (rodziców tego ostatniego znałem osobiście — spotykaliśmy się w towarzystwie). W chwili rozpoczęcia wojny wszechświatowej, był on zupełnie tuzinkowym rotmistrzem pułku gwardji konnej i tak wyjątkowe wysunięcie jego osoby na czoło głównego dowództwa nie miało według mnie należnych podstaw.

Na początku wojny był on dowódcą szwadronu pułku gwardji konnej, a stał się głośnym dzięki brawurowemu atakowi na pozycję niemiecką, ogrodzoną drutem kolczastym.

Bolszewicy stają się panami położenia na całym obszarze byłej Rosji. „Krew stygnie“ przy czytaniu i słuchaniu opowiadań o mordach i krwawym terrorze, jaki się srożył w Odesie i Krymie — strumienie krwi lały się do Czarnego morza!...

W Warszawie życie powoli wchodzi w normalne tryby.

Z wielkim entuzjazmem i radością wita stolica wracające z wschodniego frontu zwycięskie wojska.

Rozpoczyna się okres pracy sejmowej.

Z powodu przyjęcia przez Sejm przy układaniu Konstytucji dwuizbowości, przez miasto ciągną się pochody, lewica protestuje, prawica wyraża zadowolenie.

Nietylko wojna, ale tryb życia państwowego nad stan, daje się coraz bardziej we znaki.

Waluta nasza spada w coraz szybszem tempie; w grudniu 1919 r. płaciłem za frank francuski około 3-ch naszych marek, a w grudniu 1920 r. zgórą 40. Ale czy można było przypuszczać, jakie ciężkie próby czekają nas jeszcze w tej dziedzinie i to już w najbliższej przyszłości?

W końcu listopada ustępuje minister skarbu p. Wł. Grabski, tekę obejmuje p. Steczkowski.

W grudniu poseł francuski zakomunikował Naczelnikowi Państwa, iż Prezydent Rzeczypospolitej oraz rząd byliby szczęśliwi, gdyby zechciał w pierwszej połowie stycznia przybyć do Paryża.

Wizyta ta, w mniemaniu rządu francuskiego, leżałaby w interesie obu państw.

Pozwoliłaby ona mianowicie na wymianę poglądów w różnorodnych sprawach, a między innemi, ułatwiłaby przeprowadzenie rozmów bezpośrednich na tle zawarcia umowy politycznej i ekonomicznej między Polską a Francją.

Pozwoliłaby zarazem Marszałkowi Piłsudskiemu zwiedzić pola bitew i przekonać się osobiście o popularności, jaką we Francji cieszy się Naczelnny Wódz armji polskiej, który oswobo-

dził Ojczyznę swoją, wieńcząc w ten sposób dzieło sprawiedliwości, spełnione przez Francję i jej sprzymierzeńców w drodze przywrócenia niepodległości Polski.

Ażeby nie powracać do tej wizyty, zaznaczę, że wypadła ona pomyślnie pod każdym względem — przez cały czas tego krótkiego pobytu nie było żadnych zgrzytów. Naczelnikowi Państwa asystowali ministrowie: wojny — Gen. Sosnkowski i spraw zagranicznych — ks. Sapieha (ten sam, który w styczniu 1919 r. był jednym z organizatorów spisku, mającego na celu aresztowanie Marszałka Piłsudskiego).

Po opuszczeniu przez Marszałka Paryża, Prezydent Ministrów Briand komunikuje ministrom Ententy o zawarciu między Francją a Polską następującej umowy:

1). Oba rządy zobowiązują się porozumiewać się we wszystkich sprawach polityki zagranicznej, interesujących oba państwa, a dotyczących uregulowania stosunków międzynarodowych w duchu traktatu i zgodnie z układem Ligi Narodów.

2). Oba rządy będą się porozumiewały co do wspólnej akcji i wzajemnej pomocy pod względem ekonomicznym. W tym celu będą dodatkowo zawarte specjalne układy oraz konwencja handlowa.

3). W razie, gdyby oba państwa, albo jedno z nich zostało zaatakowane, nie sprowokowawszy ataku, oba rządy porozumiewają się w celu obrony swojego terytorjum oraz słusznych swoich interesów w granicach, określonych na wstępie.

4). Oba rządy zobowiązują się porozumiewać się przed zawarciem nowych układów, dotyczących ich polityki w Europie Środkowej i Wschodniej.

5). Umowa niniejsza wejdzie w życie dopiero po podpisaniu umów handlowych, będących obecnie przedmiotem obrad...

Historyczny w dziejach naszego narodu rok 1920 zbliża się ku końcowi.

I zdawałoby się, że nastąpi teraz spokojny okres wyężonej pracy, od rozbudowy podstaw życia państwowego, tymczasem, niestety, tak nie jest...

W Sejmie zaciętrzewienie partyjne dochodzi nieraz do brutalnych, niesłychanych scen; na jednym z plenarnych posiedzeń poseł, były premier Moraczewski, nietylko hałasuje, ale,

kopując najskrajniejssze elementy, przywykłe do ustawicznych burd i skandali, nie ogranicza się do bicia w pulpit i t. p., ale wyjmując przyniesiony ze sobą instrument i, w czasie przemówień przeciwników politycznych — gra na piszczałce!...

Wzajemna partyjna animozja wzmagą się i poza murami Sejmu — w prasie, na zebraniach...

W dniu doręczenia Naczelnikowi Państwa przez delegacje wojskowe buławy marszałkowskiej prasa prawicowa występuje z szeregiem ostrych artykułów przeciw niemu. Na urzędzonej tegoż dnia „akademji“ poseł (ksiądz Lutosławski) nie waha się wystąpić jawnie z gwałtowną krytyką osoby Naczelnika Państwa oraz Rządu.

W pewnych — niestety nawet i licznych warstwach społeczeństwa — perspektywa łatwych zarobków posiada wzrastającą z dniem każdym siłę przyciągającą. Jak grzyby po deszczu rosną najróżnorodniejsze przedsiębiorstwa bez kapitału, bez konkretnych podstaw.

Nietylko na giełdzie lub w bankach, ale w restauracjach i cukierniach roi się od geszefciarzy. Pełno ich i w poczekalniach wyższych urzędników... i w tym bujnym zespole jest i znaczny procent „ojców Narodu“ — posłów...

Przytoczę tu jeden według mnie charakterystyczny fakt: ktoś zaproponował nabycie od niego wagonu świec, który miał być wysłany do Warszawy. Nim wagon ten zjawił się ostatecznie, został kolejno odkupywany przez cały szereg osób, przechodził z rąk do rąk po coraz to wyższej cenie. Kiedy ostatni nabywca doczekał się przybycia wagonu — okazało się, że świece nie mają knotów!

Nadchodzą święta! Po 5 latach znów razem z naszym jeźdźcą, który już wrócił z frontu, siadamy do stołu Wigilijnego. Ale już nazajutrz wieczór wyjechał on na Śląsk, jako jeden z delegatów komisji przy pośle Korfantym.

Rok „Cudu nad Wisłą“ skończony! Dla charakterystyki tego roku przytoczę ustęp z odczytu generała Weyganda w Brukseli „Bitwa o Warszawę“:

...Cud Wisły, powiedziano. Cud, czy to znaczy zdarzenie, w którym objawia się ręka Opatrzności? Nie będę temu przeczył, bo podziwiałem, w owym sierpniu r. 1920, z jaką żarliwo-

ścią naród polski padał na kolana w kościołach i szedł w procesjach po ulicach Warszawy. A zresztą, czyż przygotowaniem tego drugiego cudu nie był już pierwszy, gdy po wojnie światowej widziało się, pod skrzydłami Orła Białego, zrośnięcie trzech części rozdartych...

O ile wojnę zewnętrzną zakończono naogół pomyślnie, o tyle zatrważającym staje się widmo poważnych wewnętrznych wstrząsów, bądź na tle ekonomicznym, bądź też na tle nieustających walk partyjnych.

Opracowanie Konstytucji

Plebiscyt na Śląsku

Na nowych placówkach służbowych.

Władza noworodząca uroczystości 1 stycznia 1921 roku obchodziła nie w pałacu Łazienkowskim.

W drodze do Łazienek, gdzie pojechał z Gieppensem W. i innymi adiutantami, zdarzył się nam taki wypadek: przejeżdżając przez Kierów, jedyną drogą, na spory łódź wychodziła z kolumny, która szła, była była przetrącała, naraz strzaskiwało — pociąg jechał pomału, a widać było na ulicy, że ktoś przewodził. Zatrzymaliśmy się, ponieważ nie mieliśmy czasu i miejsca. Widać było, że ktoś jest w drodze. W tym czasie ktoś szedł na ulicę i mówił: „nie pozwalam, bo nie jestem brzojskim” — na szczęście się już w tym czasie przejechało, a na ulicy nie było już nikogo. W tym czasie ktoś szedł na ulicę i mówił: „nie pozwalam, bo nie jestem brzojskim” — na szczęście się już w tym czasie przejechało, a na ulicy nie było już nikogo.

Władza noworodząca uroczystości 1 stycznia 1921 roku obchodziła nie w pałacu Łazienkowskim.

ROZDZIAŁ IV.

Opracowanie Konstytucji. Plebiscyt na Śląsku.

Na nowych placówkach służbowych.

Urzędowe noworoczne uroczystości 1 stycznia 1921 roku, odbyły się znów w pałacu Łazienkowskim.

W drodze do Łazienek, gdzie jechałem z Generałem W. i moim adjutantem, zdarzył się nam taki wypadek: przez plac Trzech Krzyży jechaliśmy stępą, bo sporo ludzi wychodziło z kościoła; padał deszcz, buda była opuszczona, naraz słyszę krzyk, — patrzę, jakaś pani w żałobie leży na ziemi, tuż koło powozu. Zatrzymaliśmy powóz, pomogliśmy nieznajomej wstać i zanieśliśmy ją do apteki. W aptece pani chwytła mnie za rękę i mówi, że ma — złamaną kość pacierzową... Chcemy jej zdjąć kapelusz — nie pozwala, bo: „nie jestem uczesana“; nie martwię się już o stan jej kręgosłupa, a uspakajam się zupełnie, gdy przypomniawszy ją sobie (była to wdowa po zabitym przez bolszewików poruczniku L.) i, wiedząc, że ma syna lat około 17, na zapytanie przy spisywaniu protokołu, wiele lat ma ta pani, powiedziałem „ogłędnie“ — 36, uspakajam się, powtarzam, zupełnie, gdy pani ta przerywa mi gorąco: nie, panie generale, tylko 33“!

Odwieźliśmy ją do szpitala, skąd po kilku dniach wyszła zupełnie zdrowa, ponieważ żadnych uszkodzeń nie odniosła.

W okresie pierwszych trzech miesięcy społeczeństwo zaabsorbowane było trzema sprawami: ogłoszeniem Konstytucji, sprawą plebiscytu na Śląsku oraz ratyfikacją pokoju z Sowieciami.

Przebieg debatów w Sejmie na tle spraw konstytucyjnych wzbudzał ogólne wielkie zainteresowanie. Zażarta polemika „na Wiejskiej” i w prasie szła o redakcję większości paragrafów, w tem i o sprawę „dwuizbowości”. Zasadniczy § 35 — o Senacie — został przyjęty większością tylko 11 głosów (195 : 184).

Pozatem kością niezgody szczególnie były kwestje uprawnień Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, które chciano zmniejszyć do minimum. Dla wielu jasnem było, że w tym wypadku szło nie o zasady i przekonania, a raczej główną rolę grała tu obawa przed indywidualnością ówczesnego Naczelnika Państwa oraz chęć jak największego ograniczenia jego prerogatyw, o ileby w przyszłości kandydował na stanowisko Prezydenta Rzeczypospolitej.

Wśród wielu osób objawy te i im podobne wywoływały smutek i rozgoryczenie.

Reasumując to, można powiedzieć, że nasz projekt tak wyjątkowo doniosłej Ustawy dla Państwa, został załatwiony „na kolanie”, pod naciskiem zaciętrzewionych wąsko partyjnych doktrynerów, bądź geszeftmacherów politycznych — ludzi przeważnie z bardzo ograniczonymi horyzontami i którym widocznie nieznanem było mądre, staro-rzymskie upomnienie — „respice finem”. Egzystuje zresztą i nasze przysłowie: Dłużej klasztora, jak przeora!...

O jakże inaczej do tej, tak doniosłej sprawy, odnosiły się inne państwa z wiekową kulturą. Jeżeli kto miał możliwość oglądać w British Museum w Londynie, czy również w Paryżu sale, gdzie przechowują całe biblioteki materiałów i prac przygotowawczych najwybitniejszych ludzi nauki i instytucyj tych epok — na tle opracowania najsobtelniejszych szczegółów poszczególnych paragrafów projektu Konstytucji. U nas grupa, składająca się z przypadkowej większości, przeforsowała projekt, który, jak pokazało się w najkrótszym czasie, musiałby mieć nagłówek: „Co nagle, to po djable“!...

Nie zatrzymując się dłużej na szczegółach, pragnę jeszcze wskazać, że załatwienie sprawy ordynacji wyborczej w ten sposób, że wybory nastąpią podług list, zamknęło możność wejścia do Sejmu i Senatu nawet najwybitniejszym w kraju jednostkom — o ile nie zgodzą się zgóry na bezwzględną niewolę duchową u prowodyrów, układających partyjne listy.

16 Marca skończyło się trzecie czytanie projektu Ustawy konstytucyjnej i głosowanie wszystkich 120 paragrafów.

17 Marca odbyło się formalne głosowanie naszej Konstytucji, rozpoczynające się od wstępnych słów: „W Imię Boga Wszechmogącego“...

Tegoż dnia odbyła się wspaniała procesja posłów i ludności do Katedry. Nie mogłem wziąć w niej udziału z powodu zajęć służbowych, ale myślą i sercem byłem razem z tymi, którzy w niej uczestniczyli...

18 Marca został podpisany w Rydze traktat pokojowy z Bolszewją.

Co do spraw naszych na Śląsku, to wmiarę zbliżania się terminu plebiscytu powiększało się ogólne podniecenie. Powodem podniecenia były smutne wyniki plebiscytu na Mazurach; ponadto społeczeństwo czuło, że wobec silnego i dobrze zorganizowanego przeciwnika, walka będzie bardzo ciężka, tem bardziej, że poza Francją, musimy liczyć niemal tylko na własne siły. Anglja z Llojd George'em na czele nie należała do naszych zwolenniczek na Śląsku, a słaby rząd Nitti'ego we Włoszech — chwiejący się przed widmem komunizmu, nie dawał żadnej nadziei, że Włosi będą nam rzeczowo pomagać.

O przebiegu kampanji plebiscytowej opowiadał mi syn, który od świąt Bożego Narodzenia, aż do ostatnich dni wyjazdu naszej delegacji jesienią, przebywał na Śląsku (w Opolu).

Pamiętam jego opowiadanie o spotkaniu Nowego Roku: Polscy delegaci witali go w Opolu, uzbrojeni w rewolwery i granaty ręczne, gdyż tłum zbrojnych szowinistów niemieckich przyjął groźną, zaczepną postawę, i licznie zebrany u zamkniętej bramy, miał włamać się wewnątrz, ale został rozpędzony przez oddział wojsk międzysojusznicznych państw Ententy.

Dla zorientowania się czytelników w przebiegu spraw, połączonych z naszą kampanją plebiscytową, przytaczam — z me-

go punktu widzenia bardzo ciekawy i rzeczowy dokument — odpis meldunku mojego syna do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, wysłany przez niego w początku 1921 r. w tej sprawie:

1. Szanse głosowania są uzależnione od zatwierdzenia Konstytucji i wewnętrznego stanu w kraju.

Każdy strejk, zamęt wewnętrzny, a szczególnie administracyjny, upadek waluty — zmniejsza poważnie nasze szanse.

Jako przykład — jednym z głównych środków propagandy niemieckiej jest stałe, systematyczne przedrukowywanie artykułów z prasy polskiej w całej prasie niemieckiej na Górnym Śląsku i w wybitniejszych pismach wpływowych. Drukuje się je bez komentarzy, ale zestawienia mówią same za siebie, przedstawiając anormalny stan w różnorodnych dziedzinach naszego życia, odmalowany w kolorach polemiki partyjnej.

2. Każde przedłużenie terminu zmniejsza szanse plebiscytu.

3. W komisji międzynarodowej mamy bezwzględnie po naszej stronie przedstawiciela Francji z generałem Le Rond na czele.

Misja angielska jest bezwzględnie przeciw nam. Włosi — względnie neutralni, są jednak obiektami stałych zabiegów Anglików, dążących do pozyskania ich dla siebie.

Niemcy otaczają i Anglików, i Włochów agentami i agentkami w najróżnorodniejszych postaciach.

4. Główny punkt uwagi obecnie musi być zwrócony na Włochów, tak na Górnym Śląsku, jak również w Warszawie, Paryżu i Rzymie, gdyż głos ich już dziś decyduje w Opolu i będzie bezwzględnie decydował w Paryżu w Radzie Ambasadorów — o ile przedstawiciel Japonii, jak już były tego przykłady, wstrzyma się od głosowania.

5. Całą naszą organizacją plebiscytową, koordynując wysiłki wszystkich bez wyjątku elementów polskich na Górnym Śląsku, utrzymuje w dyscyplinie i kieruje p. Korfanty.

Niemcy, licząc się z tem, wyasygnowali pół miliona marek niemieckich za głowę p. Korfantego, a cała bez wyjątku prasa niemiecka atakuje go systematycznie pod każdym względem.

Jednocześnie Niemcy, za pomocą Anglików, starają się wpłynąć na urobienie opinii Rady Ambasadorów o konieczności wydalenia p. Korfantego z Górnego Śląska.

6. Daje się we znaki zbyt mała dbałość nasza o zainteresowanie prasy zagranicznej naszymi sprawami, tak na przykład przedstawicielom prasy zagranicznej, głównie zaś amerykańskiej nie udziela się odpowiedniej uwagi.

7. Lud polski na Śląsku przywiązuje wielką wagę do mającego nastąpić wyjazdu Naczelnika Państwa do Francji i pokłada w nim nieograniczone nadzieje...

19 Marca odbył się plebiscyt na Śląsku, z którego wyszliśmy, bądź co bądź, zwycięsko, jeżeli weźmiemy pod uwagę obfitą w środki materialne, planową i systematyczną agitację niemiecką.

W dniu 21 Marca jestem obecnym na nabożeństwie dziękczynnym z okazji pomyślnych wyników plebiscytu.

Entuzjazm mój stłumił nieco marszałek Sejmu Trąmpczyński, mający cały szereg zastrzeżeń i obaw.

Tak, czy inaczej przyznać trzeba, że osiągnęliśmy „na froncie śląskim“ wielkie zwycięstwo, uzyskując kraj bogaty, uprzemysłowiony.

Naprężenie nerwowe mija, życie wchodzi w normalne tryby.

Praca idzie po dawnemu, ale są i zmiany: szkolnictwo wojskowe przechodzi pod kompetencję Szefa Sztabu (Departament Szkolnictwa Wojskowego przekształca się w Oddział III Sztabu Generalnego).

W tym to właśnie czasie jeden z dyrektorów Banku, sam z własnej inicjatywy zaproponował mi zajęcie się moimi interesami finansowymi, a mianowicie, przyrzeka mi, że, o ile dostanę większą sumę kredytu, operując kupnem i sprzedażą akcji, zarobi dla mnie krocie!

Dodać muszę, że na sobie skonstatowałem, jak łatwo bierze się ludzi — na pochlebstwa. Ten mój przyszły „ptak błękitny“ zaczął od tego: że „o ludziach takiej miary, jak p. Generał, pracujących dla społeczeństwa—musimy myśleć—my“...

Poszedłem i ja „za duchem czasu“—kredyt znalazłem, ale pożyczka ta dała mi się bardzo we znaki, bo mój opiekun kupo-

wał akcje tylko tych przedsiębiorstw, w których sam był w zarządzie i które, jedno po drugim, przeważnie z powodu braku środków obrotowych, szybko kończyły swój krótkotrwały anemiczny żywot...

5 Maja odbył się uroczysty obchód stulecia śmierci Napoleona; całość wypadła bardzo imponująco i godnie.

Uroczystość rozpoczęła się od mszy polowej na placu Saskim, zapelnionym wojskiem i publicznością; w górze krążyły aeroplany.

Po nabożeństwie salwa armatnia (w ogrodzie Saskim) i rewja (na placu Napoleona — byłym Wareckim), następnie akademja w Radzie Miejskiej i przedstawienie w Teatrze Wielkim.

Kult Napoleona nawet do dziś dnia ma wielu zwolenników w Polsce; z jego epopeją są związane wspomnienia o naszych legjonach, o wybitnych bohaterach, o przeżyciach narodowych w okresie 1805 — 1812 lat; nawet powstanie 1830 r. było przecież w pewnej mierze połączone z tym kultem.

W tym czasie została ogłoszona pierwsza lista wojskowych Polaków, odznaczonych Legją Honorową, w liczbie 60 zgórą osób — mnie na niej nie było; zabolalo mnie to, choć znałem dobrze przyczyny pominięcia mojej osoby: układał ją generał Nissel, z którym (jak już wspomniałem), miałem szereg nieporozumień w roku 1917 w Piotrogradzie: na temat zasilania oddziałów frontowych aljantów naszymi żołnierzami.

11 maja dowiedziałem się, że w sprawie podziału terenów na Śląsku — Niemcy zgodzili się na warunki, które im poddyktowała Ententa — ogólne zdenerwowanie mija, bo są podstawy do przypuszczenia, że na Śląsku będzie przyjęta „linja Korfanteo“.

Jako przykład ogólnego przejęcia się sprawą mogę przytoczyć fakt, że kiedy w pierwszych dniach maja przyszła do Warszawy wiadomość, że komisja międzysojusznicza w Opolu ma zdecydować na naszą niekorzyść sporną kwestję podziału — w Warszawie odbyły się pochody protestu, tłum gwizdał i krzyczał przed poselstwami: angielskim i włoskim.

Jako jeden jeszcze przykład mogę przytoczyć fakt, że w maju z korpusu Kadetów we Lwowie uciekło 47 na Śląsk,

do oddziałów frontowych, połowę zatrzymano w drodze, a połowa dotarła i walczyła na froncie.

W Ministerstwie Spraw Wojskowych przystąpiono do szeregu reform; zakres mojej działalności i kompetencji w sprawach szkolnictwa wojskowego ulega poważnej redukcji...

W początku czerwca wyjeżdża z Polski nuncjusz Papieski monsignor Ratti, obecny Papież Pius XI.

W czasie jego pobytu w stolicy mieliśmy wielki zaszczyt przyjmować go u nas w domu.

W Warszawie odbyło się Jego wyświęcenie na arcybiskupa; brałem w tej uroczystości udział, gdyż nuncjusz sam ułożył listę osób, które miały wziąć udział w czasie konsekracji; byli na niej przedstawiciele ziemianstwa, włościaństwa, mieszczaństwa i wojskowości; hr. M. Sobański i ja nieśliśmy w czasie procesji „dary Boże“.

Ostatni raz nuncjusz celebrował mszę w katedrze w dniu Bożego Ciała, a następnie szedł na czele procesji.

Tłumy zalewały ulice.

Obok nuncjusza, niosącego dość ciężką monstrancję, szła asysta, która zmieniała się przy każdym z czterech ołtarzy; w liczbie jej byli: Marszałek Sejmu Trąmpczyński, premier p. Witos, prezydent miasta p. Drzewiecki, prezes Rady Miejskiej p. Baliński, dwóch ministrów i dwóch generałów, w liczbie ich i ja. Szliśmy od ostatniego ołtarza do katedry, na placu Zamkowym procesja zatrzymała się i nuncjusz pobłogosławił zebranych podniesioną monstrancją. Dzień był bardzo upalny. Miałem wrażenie, że poza wielkiem zmęczeniem, na twarzy jego malowało się głębokie wzruszenie.

Kiedy ruszyliśmy dalej, czuję, że nuncjusz przyciska mą rękę, trzymającą go pod łokieć — trzymałem ją jeszcze mocniej, w przekonaniu, że jest to odruch zmęczenia.

Nazajutrz byłem na pożegnalnym śniadaniu, wydanym dla niego przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Śniadanie trwało zgorą dwie godziny, siedziałem obok nuncjusza, który rozmawiał ze mną bardzo długo. Zaczął od tego: „com myślał wczoraj, gdy w czasie procesji na placu Zamkowym przycisnął mą rękę“: odpowiedziałem, że byłem przekonany, iż był bardzo zmęczony i że stało się to odruchowo. „Wcale nie ze zmęcze-

nia“ — odpowiedział, — „ale, błogosławiąc w ten sposób po raz ostatni Warszawę i kraj, który tak pokochałem — i z którego wyjeżdżam przez wielu niezrozumiany“ (niektórzy działacze sarkali, na rzekomo niezyczliwe zachowanie się nuncjusza podczas plebiscytu na Śląsku) „byłem bardzo wzruszony w tak uroczystej dla mnie chwili“ i, mówił dalej, „i właśnie wtedy ujrzałem obok mnie generała Jacynę — tego samego, z którym pierwszy raz urzędowo jechałem do Naczelnika Państwa“; kończąc rozmowę powiedział, „będę bardzo szczęśliwy, jeżeli Opatrzność Boska pozwoli mi dać dowody, jak bardzo pokochałem Polskę“...

W lipcu ze słów mego zastępcy pułkownika M. Kukieła, dowiedziałem się, że z chwilą rozpoczęcia reorganizacji urzędów ministerstwa, ma on stanąć na czele szkolnictwa, a ja mam być wyznaczonym na inne stanowisko.

Nie będąc poinformowany bezpośrednio przez ministra i nie wiedząc ściśle, kiedy ta reorganizacja ma nastąpić — pracowałem, jak dotychczas i tak byłem pochłonięty pracą, że w czerwcu i lipcu mogłem sobie pozwolić jedynie na kilkogodzinny pobyt w Ciechocinku, gdzie bawiła na kuracji moja żona — ułożyłem plan inspekcji szkół w Bydgoszczy i Chełmnie, w ten sposób, by mieć wolną niedzielę i spędzić ją w Ciechocinku, gdzie byłem po raz pierwszy. Dotychczas znałem miejscowości zagraniczne: Karlsbad, Marienbad, Wiesbaden, Baden-Baden i Contrexeville. Ciechocinek zrobił na mnie wrażenie bardzo dodatnie. Ułatwienia, poczynione przez ministerstwo dla wojskowych i ich rodzin, przyczyniły się do stworzenia niedrogich i kulturalnych warunków życia oraz dobrej kuracji; żona moja była bardzo zadowolona z pobytu w willi dla rodzin wojskowych.

Inspekcja szkół wchodziła w zakres moich służbowych obowiązków; zwiedzanie ich było dla mnie pewnym odpoczynkiem i jednocześnie wielką moralną przyjemnością.

Zawsze lubiłem młodzież — w gronie młodych — człowiek sam staje się młodszym...

Na pożegnalnej kolacji, wydanej przez grono oficerów w Bydgoszczy, na pożegnanie zaśpiewano mi znany toast „sto lat, sto lat“ — na to zapytałem: „dlaczego mi tak źle życzyacie — dla mnie to za mało, mam już prawie sześćdziesiątkę“. Na ten

mój protest, chór oficerski dodał życzliwie: „jeszcze sto, jeszcze sto“...

Trzeba było widzieć, jakie ożywienie i wesołość panowały nie tylko wśród kadetów, ale i ich rodziców i krewnych, w czasie uroczystości zakończenia roku szkolnego.

Jak już wspomniałem, wielu kadetów dostało się na front, zachowywali się tam godnie i zasłużyli się Ojczyźnie, kilku złożyło w ofierze wszystko, co mieli, bo własne życie.

W pamięci utkwiło mi kilka faktów: w roku 1920 jedynak generałostwa Majewskich zginął na froncie bolszewickim. Co zaś w tem było najtragiczniejszego — to to, że rodzice nie dowiedzieli się o losie swojego dziecka: czy był zabitym, czy umarł od ran, czy zginął w niewoli. Jak dziś, widzę przed oczyma sympatyczną i miłą twarz tego młodzieńca. Miałem i inne ciężkie przejścia — sam mam jedynaka i dlatego z takim zrozumieniem bólu i męki jechałem do mieszkania pp. Chodkiewiczów, rodziców kadeta jedynaka, zabitego na Śląsku w czasie walk, by wyrazić im moje współczucie. Był i taki wypadek — urzędowo zawiadomiono mnie, że kadet N. został zabitym. Matka pojechała na Śląsk szukać trupa — widziała dużo ofiar, ale trupa syna nie znalazła — wróciła rozbita i znękana, a po kilku tygodniach syn jej wrócił żywy i zdrowy — sprytnie uciekły z niemieckiego obozu jeńców.

W tym okresie w Warszawie wypadało brać udział w całym szeregu uroczystości — powrót wojsk z frontu, zamknięcie kursów szkolnych — w korpusach, na różnych kursach oficerskich i w podchorążówce, zjazd sokołów, obchód narodowego święta francuskiego 14 lipca, zjazdy — Towarzystwa Wiedzy Wojskowej i Naczpola (Naczelny Wojskowy Polski Komitet) — prawie wszędzie musiałem mieć urzędowe przemówienia.

Poważny i miły charakter miały uroczystości promocji na oficerów w Szkole Podchorążych.

Te kilka miesięcy, które spędzili w murach szkolnych były trudne, nie tylko z powodu intensywnej i ciężkiej pracy — bo od rana do nocy czas był wypełniony wykładami i musztrą — ale i ze względu na specjalny tryb życia i te surowe karby, w które od pierwszego dnia byli wzięci.

Ale, nie zważając na to wszystko — młodość i szlachetna ideowość brały górę — w tym licznym zespole, który zmieniał się co 3 — 5 miesięcy, wyczuwało się młodzieńczy zapał i serdeczne umiłowanie kraju.

Chwile święta promocyj, a często i pożegnalne obiady w ich gronie — były dla mnie nie tylko przyjemnym wypoczynkiem, ale i duchową przyjemnością...

Tysiące ich pracuje w wojsku, rozsiani po całym kraju. Ale wielu już i brakuje — kilka tablic marmurowych w szkole wskazuje nazwiska tych, którzy na polach walk ponieśli w ofierze Ojczyźnie swoje młode życie.

Kiedy piszę o tem, staje mi przed oczyma obiad młodzieży oficerskiej z lata 1920 r.: „prymus“ kursu — młody Grabski — siedzi naprzeciw nas i w połowie obiadu, w imieniu całego kursu przemawia.

W kilka tygodni przychodzi wiadomość, że został zabity na froncie...

Muszę się przyznać, że przez te pierwsze trzy lata pracy w kraju, wypadało mi sporo nie tylko mówić, ale i jeść „ku chwale Ojczyzny“, bo wielu uroczystościom towarzyszyły przemówienia „przy stole“...

Dobrze, a czasami i porywająco przemawiali: z grona duchowieństwa — biskupi Teodorowicz, Bandurski, Szlagowski i prałat Nowakowski, posłowie A. Wierzbicki, Daszyński, literaci Rabski i Niemojewski.

Rzeczowo i dobrze przemawiał ś. p. kardynał Dalbor, przypominam sobie jedno z jego przemówień w Poznaniu po mszy polowej i dość zabawny w związku z niem szczegół: Ustawiona kazalnica widocznie była świeżo pomalowana, bo kiedy w czasie przemowy, opierał się o pulpit, a potem przykładł ręce do piersi — na czerwonej sutannie pozostawały czarne ślady rąk...

Z grona wojskowych wybitnych mówców, zdolnych do porwania audytorjum nie było, ale trzeba przyznać, że rzeczowych i podstawowych przemówień w Sejmie, wygłaszanych przez przedstawicieli wojskowości w komisjach i na plenum przeważnie słuchano z powagą.

Rozkład dnia 14 lipca był następujący: do 10 zajęcia w biurze, o 10 uroczyste nabożeństwo w Katedrze, o 11 udekorowanie orderami — Polaków francuskimi i Francuzów polskimi, następnie wojskowa rewja.

Od 1 do 2 przyjęcie u posła francuskiego Panafieu, od 2½ do 4 pracowałem w biurze. Po 4-ej odbyło się przyjęcie w francuskim kasynie wojskowym, o 6-ej poświęcenie parostatku i przejażdżka Wisłą, w obecności posła francuskiego, przedstawicieli wojskowości francuskiej i kolonji francuskiej, o 8½ galowe przedstawienie w teatrze „Pomarańczowym” — w Łazienkach, o 10½ raut u hr. Zamoyskich...

Dopiero w drugiej połowie lipca dowiedziałem się bezpośrednio od p. ministra generała Sosnkowskiego, że mam być w bliskiej przyszłości mianowanym Generalnym Adjutantem Państwa, narazie zaś mam objąć stanowisko Szefa Misji Wojskowej we Francji. Obie te nominacje były dla mnie zupełną niespodzianką.

Desygnacja do Francji była dla mnie niespodzianką tem większą, gdyż wiadomem było powszechnie, żeznaczono tam generała Majewskiego, który już zaczął składać wizyty pożegnane.

Wkrótce dowiedziałem się, że było to wywołane pewnemi obiekcjami Ministerstwa Wojny we Francji, które dało do zrozumienia, że chciałoby widzieć na tem stanowisku nietylko samych oficerów z byłej armji austriackiej — stanowisko to piastowali dotychczas generałowie Romer, Rozwadowski i Pomiankowski. (Wszyscy trzej przyjmowali czynny udział w wojnie przeciwko Entencie). Chociaż nie wiem, czy te informacje były podstawowo słuszne, gdyż w listopadzie, kiedy odwołano mnie na stanowisko Generalnego Adjutanta, następcą moim miał zostać tenże generał Majewski, nie stało to się jedynie dlatego, że ówczesny minister skarbu (p. Michalski) wymógł, z powodów oszczędnościowych, zupełne skasowanie tego stanowiska.

W krótkim czasie po mojej rozmowie z p. ministrem znów zawezwał mnie do siebie i zakomunikował, że muszę przyspieszyć odjazd i niezwłocznie jechać do Paryża.

Po kilku dniach żegnała mnie na dworcu liczna gromadka bliskich, współpracowników i przyjaciół.

Z bólem i żalem rozstawałem się z tem, co przez przeciąg 32 miesiące tak mnie pochłaniało, porywało...

Ostatnie słowa pożegnania, pociąg rusza powoli...

Jeszcze jeden okres życia skończony!

Co będzie dalej?

Nie marnuj życia na skargi, zwątpienia,

Na bezowocne zadumy,

Świat pójdzie drogą swego przeznaczenia

I pójdą za światem tłumy...

W Paryżu odrazu pochłonął mnie wir życia służbowego i społecznego.

Dziwnie się plecie na tym bożym świecie.

Znów jestem w tym Paryżu, który znałem tak dobrze z czasów przedwojennych, z którym łączyło mnie i łączy tyle wspomnień z lat minionych.

Przedziwne to miasto spleta w sobie harmonijnie — wielką, wytężoną pracę z lekkością i frywolnością, z tem czemś, co nazwać można — beztroską...

W pierwszym okresie sporo czasu zabierały urzędowe wizyty. Pocziwy mój nowy adjutant porucznik Castelas, od dłuższego czasu przydzielony do misji, obstałował odrazu kilkaset biletów wizytowych; już po paru miesiącach zabrakło mi ich. Nie w tem dziwnego, musiałem przedstawić się wszystkim marszałkom, władzom wojskowym, korpusowi dyplomatycznemu, który w Paryżu jest tak liczny!

Misja moja miała poza charakterem czysto wojskowym, charakter techniczno-ekonomiczny, a mianowicie: kontrolowanie dostaw amunicji bojowej, którą w poważnej ilości sprowadzaliśmy wtedy z Francji, ponadto była w toku likwidacja rozrachunków, wynikłych z wydatków formowania armji pod dowództwem generała Hallera i transportu jej z Francji do Polski.

Miałem 2 bezpośrednich pomocników: w sprawach rozrachunków i zakupów wybitnego pracownika pułk. Łojko; i specjalnie dla spraw wojskowych rotmistrza Dowbor Muśnickiego.

Po zlikwidowaniu Misji w listopadzie, pułkownik Łojko przez szereg lat pozostaje jako kierownik wydziału zakupów, a attaché wojskowym po moim odjeździe zostaje mianowany major Beck.

Trudniej szło z wymaganą ode mnie gwałtowną redukcją personelu i zwinięciem lokalnych placówek — oficerowie niezbyt kwapili się do powrotu.

Wkrótce po przyjeździe, pojechałem z naszymi oficerami na manewry w Camp Mailly.

Trwały one 3 dni. Rozpoczynały się 4½ rano i trwały do 11 rano; od 3 do 6 odbywały się odczyty informacyjne i omawiano plany manewrów.

Były to pierwsze po wojnie manewry na wielką skalę.

Główne kierownictwo spoczywało w rękach generała Boriscu, byłego Szefa Sztabu marszałka Petain w Verdun.

Jako widzowie brała udział cała ucząca się wojskowa młodzież Francji, która przybyła w ilości 2.300 osób.

Manewry udały się nadzwyczajnie.

W czasie wykonania, wydawanych przez generała Boriscu rozkazów, generał podchodził do różnych grup widzów i zadawał lotne pytania o celowości wydawanych zarządzeń.

Pierwszy raz w życiu brałem udział w operacjach, zbliżonych do obecnych warunków bojowych — i, wyznam szczerze, że potem, com zobaczył, nigdy nie podjąłbym się samodzielnego dowództwa większą jednostką bojową...

Zwiedziłem naszą bazę morską w Cherburgu, skąd szły nasze transporty i amunicja do Gdańska.

Byłem tylko parę dni i nic ciekawego w pamięci nie pozostało, chyba to, że miała przyjechać z Ameryki „znakomitość filmowa“ p. Chaplin i o tym „doniosłym“ wypadku pełno było w prasie, a do naszego hotelu sporo osób przybyło specjalnie z tej racji.

Żeby podkreślić kurtuazję wojskowych władz francuskich, muszę wspomnieć, że arsenał i wejście do kasern w Cherburgu były udekorowane flagami na naszą cześć.

Po powrocie wziąłem udział w uroczystym bankiecie pożegnalnym na cześć kilkudziesięciu naszych oficerów, którzy po

przebyciu dwumiesięcznego kursu wyszkolenia wracali do kraju. Bankiet odbył się w Cercle Militaire, wydawał go Szef Sztabu.

Rzecz charakterystyczna, że w sali bankietowej wisiał portret b. cesarza rosyjskiego Aleksandra III. Czy spodziewał się kiedy car wielkiej Rosji, że kiedyś, po jego śmierci pod portretem jego będą stali w licznym gronie oficerowie wolnej niepodległej Polski, którą on ściskał żelaznymi obręczami, dusząc wszelki odruch wolności...

We wrześniu zaproszono mnie na obchód 7-lecia zwycięskiej bitwy nad Marną.

O 8 wyjechaliśmy specjalnym pociągami do miasta Meau. Pociągami tym jechali: marszałek Joffre, reprezentant rządu minister Bartoux, kilku biskupów, posłów, przedstawiciele wojskowi państw zagranicznych i wyżsi wojskowi francuscy. Uroczystość miała charakter podniosły.

Odbyło się nabożeństwo, ze zbyt długim — bo godzinę trwającym, przemówieniem biskupa Strasburga.

Następnie odbył się bankiet na 400 zgórą osób, a na nim szereg przemówień. W jednym z nich mer miasta Meau, wyliczając w swej mowie sojuszników Francji, zapomniał o Polakach (wymieniając w szeregu innych i Czechów).

Siedziałem niedaleko marszałka Joffra, między posłem z tego okręgu i biskupem Baudilare (który potem przyjeżdżał do Polski z delegacją francuskich biskupów z kardynałem Dubois na czele).

Żartobliwie zwróciłem ich uwagę, że p. mer widocznie jest bardzo zdenerwowany, bo nie mogę przypuszczać, że nie jest o tyle mocnym w historii — by wymieniając przyjaciół Francji — mógł zapomnieć o narodzie polskim.

Sąsiad mój, deputowany, był tem bardzo przejęty i przyrzekł mi, że podczas objazdu mogił poległych (na czterech cmentarzach) pierwszą swą mowę poświęci przyjaźni francusko-polskiej.

W czasie tej mowy stanąłem blisko mera i po skończeniu jej głośno powiedziałem sąsiadowi, że mówca dobrze zna wiernych przyjaciół Francji, widocznie p. mer to posłyszał, bo natychmiast podszedł do mnie i zaczął tłumaczyć się z mimowolnego zapomnienia, przyczem prosił, bym pozostał do końca uro-

czystości, gdyż przy ostatnim etapie mógł ma zamiar wygłosić jeszcze jedno przemówienie, w którym postara się naprawić swój błąd...

W czasie bankietu podziwiałem łatwość, z jaką p. Bartoux wygłosił aż 4 przemówienia na różne tematy. Jaka zwięzłość, logika, co za styl!...

W wagonie toczyła się rozmowa na temat przeżyć w sztabie marszałka w czasie znamiennych 11 dni trwania walki. Zapytałem marszałka, jak on mógł wytrwać bez wypoczynku przy tak wielkiem napięciu nerwów przez 11 — 12 dób, na to odpowiedział, że codzień od 11½ wieczór do 5 rano zamykał się u siebie i nie przyjmował żadnych meldunków...

Była ładna jesień.

Prawie co wieczór odbywałem dalekie spacer — z hotelu (Continental) przez plac „Concorde“ na Champs Elisée, aż do Arc de Triomphe. Nie mogłem narazie przyjmować zaproszeń na obiady — bo nie miałem jeszcze smokingu. Przy wyjeździe z Warszawy „na cywilne ubranie“, otrzymałem tak minimalną sumę, że wystarczyła ona jedynie na kupno — jednego tandetnego garnituru, kapelusza i kilku drobiazgów...

Przechodząc przez plac, widziałem oświetlone okna w Hotel de Grillon; mieszkał tam Llojd George i toczyła się wtedy między nim a Briandem dyplomatyczna walka na temat ostatecznej decyzji co do Śląska. Francuzi i reszta cudzoziemców śledziła przebieg jej z zaciekawieniem, kolonja polska z trwogą i niepokojem.

Opowiadano na mieście, że jednego wieczoru dyskusja między premierami francuskim i angielskim doszła do takiego napięcia, że snujący się po korytarzach liczni korespondenci, wyraźnie słyszeli głośnie krzyki.

„Teza polska“ powoli brała górę, pod wpływem przesunięcia się na naszą stronę Włoch i Ameryki.

Wiadomość o znacznem zwiększeniu sił zbrojnych Ententy, pozostających pod rozkazami przewodniczącego komisji sojuszniczej generała Lerond, wywarła na nas duże wrażenie.

Przez krótki czas naszego pobytu w Paryżu, nie miałem sposobności poznać osobiście p. Brianda, ale z wielką ciekawością słuchałem parę razy jego przemówień w parlamencie, szcze-

gólnie zaś utkwilo mi w pamieci posiedzenie w przeddzień jego wyjazdu do Waszyngtonu.

Zakończenie jego przemówienia było mniej więcej takie: „mam jechać do Waszyngtonu, mam już spakowane walizki, ale nie pojadę, nim nie otrzymam od Was, Panowie, votum zaufania, i zgóry oświadczam, nie byle jakiego, a znaczną większością głosów; bez tego nie odjadę“ — i odjechał rzeczywiście po otrzymaniu votum zaufania z wymaganą poważną większością głosów...

Wspominając o tych kilku miesiącach, spędzonych w Paryżu, przypominam sobie, że nieraz, idąc wieczorem przez plac Concorde, jak i przed wojną zalany morzem światła i obecnie prawie stale wypełniony lecącymi autami — czuło się, że jest się w stolicy świata, gdzie są skoncentrowane nerwy kultury, nie tylko całej Francji, że tu bije puls świata: w zakresie wiedzy, pracy, postępu, a obok tego również — używania i rozpusty...

W Paryżu znaczna większość przyjezdnych czuje się, jak u siebie.

Można urządzić sobie życie wedle każdego budżetu, ale przedewszystkiem trzeba mieć pieniądze, bo dla obcokrajowców znaleźć zarobek bardzo trudno.

Wypadki rewolucyjne w Rosji wyrzuciły na bruki paryskie zastępy emigrantów z b. Rosji i ten proletarijat inteligencji obecnie przeżywa ciężkie i trudne okresy. Tak samo było ciężko i naszym emigrantom w 1830, 1864 latach...

Zakres mej pracy w Paryżu rozszerza się coraz bardziej; muszę tu zaznaczyć, że stosunki służbowe z urzędami francuskimi przez cały czas mego pobytu były jak najlepsze.

W II Oddziale Sztabu Generalnego byliśmy, jak u siebie w domu, pułkownicy Fournier i Constantin, zawsze szli nam we wszystkim na rękę, a to samo mogę powiedzieć i o generale Seregni, Szefie Szkolnictwa Wojskowego.

Praca moja w Paryżu nie odbywała się jednak w warunkach normalnych. Miałem ciągle poczucie prowizorium, nie wiedziałem, jak długo zostanę na stanowisku.

W parę tygodni po przyjeździe, zawiadomiono mnie, że zastępca mój przyjedzie 15-go września. Potem oświadczono, że zjawi się 1-go października, potem, że przyjedzie napewno w po-

łowie października — w rezultacie nie przyjechał wcale. Oczywiście praca planowa była w tych warunkach niezmiernie ciężka.

Trudno byłoby wytłumaczyć miejscowym władzom, dlaczego na to stanowisko wyznaczono mnie na sześć tygodni i napewno większość z nich byłaby przekonana, że najwidoczniej moja władza uznawała mnie za nieodpowiedniego.

We wrześniu przyjechała do Paryża moja żona. Bawiła przez miesiąc, złożyliśmy kilka urzędowych wizyt, zaczęto nas zapraszać, musieliśmy się również rewanżować, a moje warunki materialne w Paryżu nie były zbyt świetne. Otrzymywałem 100 franków dziennie, oprócz tego dwa tysiące franków miesięcznie na koszty reprezentacyjne. A poza wydatkami, połączonymi z wyjazdem żony z kraju, w „Continental“ za dwa pokoje tylko i utrzymanie pokojowej żony płaciłem 150 franków dziennie, pozatem wydatki na życie nasze codzienne i pewną reprezentację były b. wysokie.

Mimo tych materialnych kłopotów pobyt w Paryżu nawać mogę miłym.

Spotkałem wielu ciekawych ludzi, doznałem wielu wrażeń, o których nie mogę tu pisać, bo zajęłoby to zbyt wiele miejsca.

Wspomnę tylko o tych chwilach zdenerwowania, które my, Polacy w Paryżu, przeżywaliliśmy z powodu sprawy Śląska, która dopiero w połowie października została definitywnie zdecydowana, w związku ze sprawą Jaworzyny (zatarg na tle terytorjalnym na granicy Czech). W niektórych konferencjach z władzami francuskimi, dotyczących następnie Jaworzyny brałem sam udział.

Byłem na przyjęciu u księżnej d'Uses, na którym był obecny najstarszy przedstawiciel dynastji Bonapartów, syn Rolanda Bonaparta — przyjaciel Polaków. Czytałem, że parę lat temu umarł.

W końcu października minister zawiadomił mnie telegraficznie, że zostałem mianowany Generalnym Adjutantem Naczelnika Państwa.

Gdy w kilka dni później przybył do Ministerstwa Spraw Wojskowych, by się pożegnać, oficerowie prosili mię gorąco, bym im poświęcił ten wieczór przed wyjazdem.

Okazało się, że wszystkie wieczory mam zajęte. Wtedy oficerowie francuscy, zajęci w ministerstwie, stante pede — tegoż wieczora — wydali improwizowany obiad pożegnalny, który do dziś dnia wspominam bardzo mile.

Na zakończenie mych wspomnień o Paryżu muszę jeszcze kilka słów poświęcić gościnnemu domowi Władysławostwa Mickiewiczów. Urządzane u nich poniedziałkowe herbatki gromadziły zawsze sporą liczbę rodaków, tworzących drobną wysepkę w ogromnem obcym morzu.

Już wchodząc do mieszkania, miało się wrażenie, że się jest gdzieś w „starej Warszawie“, czy na litewskich kresach.

Dom, w którym od pół wieku mieszkali czcigodni gospodarze mieści się na małej uliczce, na lewym brzegu Sekwany, wąskie, słabo oświetlone schody, prowadzą do małego mieszkania, w którym niema nawet — elektryczności. Całość robi wrażenie muzeum narodowego, pełnego pamiątek historycznych.

Jakkolwiek emigracja paryska obecnie już faktycznie nie istnieje, tam zawsze było ludno i gwarno, treść rozmów była zazwyczaj rzeczowa i ciekawa, i widocznie bywano tu z przyjemnością.

Dom państwa Mickiewiczów, miał dla mnie jeszcze specjalny urok ze względu na moją małżonkę. Rodzice wychowywali ją w Paryżu, w jednym z klasztorów (Couvent des Oiseaux), święta czasami spędzała w domu potomka wieszczki. Odwiedzając dom ten po tylu latach, żona moja stwierdziła, że jest to ten sam szlachecki dworek litewski, przeniesiony z Wileńszczyzny nad Sekwanę, jak było za jej panieńskich czasów...

Na dworzec odprowadziła mnie znów liczna gromadka, składająca się z urzędników poselstwa, moich współpracowników, wojskowych, wysłanych do szkół i moich osobistych przyjaciół.

Wróciłem w pierwszej połowie listopada i do 12 grudnia „wisiałem w powietrzu“, gdyż do 12-go grudnia nominacja moja na Generalnego Adjutanta Naczelnika Państwa nie była podpisana.

Nowy okres służby i pracy rozpoczyna się w Warszawie niewyraźnie.

W tym „powietrznym“ okresie otrzymywałem jedynie funkcje czysto reprezentacyjne—zastępowanie Ministra na różnych uroczystościach, przeważnie wojskowych, oraz w Komitecie dla rezerwistów i inwalidów.

Treść, wysłanej do mnie do Paryża depeszy ministra była tego rodzaju, że nie tylko ja, ale i nasze poselstwo było przekonane, że już zostałem mianowany Generalnym Adjutantem.

Z tego powodu przed odjazdem z Paryża chciałem szczegółowo zaznajomić się z zakresem funkcji Szefa Gabinetu Wojskowego Prezydenta Rzeczypospolitej we Francji.

Ponieważ funkcje, które miałem objąć, były dla mnie terra incognita, poświęciłem tej sprawie ostatnie dni pobytu w Paryżu. W tym celu, korzystając z tego, że w uczelniach wojskowych w Paryżu było dwóch byłych adjutantów Naczelnika Państwa, wspólnie z nimi opracowałem projekt organizacji Gabinetu Wojskowego u nas, wzorując się na istniejącej ustawie we Francji, szło mi również o podział zakresu kompetencji gabinetów wojskowego i cywilnego.

Pozatem zwróciłem się do ówczesnego Szefa gabinetu wojskowego przy Prezydencie, generała Lassona, z którym wspólnie omawiałem sprawę przyszłych obowiązków i prac.

Faktycznie praca ta okazała się w Polsce niepotrzebną i opracowany projekt... pozostał u mnie w biurku...

Nastrój w stolicy był podniecony, sprawa przyłączenia do obwodu województwa wileńskiego dwóch powiatów zaogniła się. Atmosfera sejmowa była duszna, w kuluarach Sejmu mówiono, że Naczelnik Państwa poda się do dymisji.

Prawdopodobnie i podpisanie mojej nominacji miało z tem związek.

Wobec trwającego już przez 3 tygodnie nieokreślonego mego stanu służbowego, w początku grudnia złożyłem ministrowi w tej sprawie meldunek na piśmie. 12 grudnia zawiadomiono mnie telefonicznie, że rozkaz został podpisany przez Naczelnika Państwa.

Nazajutrz — muszę przyznać — z napięciem nerwów i pewnem wzruszeniem — wjeżdżałem do Belwederu już jako Generalny Adjutant Naczelnika Państwa.

Wielokrotnie bywałem w tych murach, ale zawsze na kilka chwil, urzędowo — asystując posłom zagranicznym, albo służbowo na uroczystościach i na paru meldunkach i posiedzeniach.

Teraz mam spędzać dni całe w tych znanych każdemu Polakowi murach.

Belweder zewnętrznie nie wygląda imponująco; ostatni nasz król, estetyk, który pozostawił po sobie tyle śladów w dziedzinie sztuki i artyzmu w budynkach Łazienkowskich i zbiorach artystycznych, co do murów Belwederu nie zaznaczył tu swojego wybitnego śladu; o ile wiem, mury te budowano dla fabryki porcelany.

Ale od chwili zamieszkania w tych murach w. ks. Konstantego — prawdopodobnie niezupełnie normalnego — starszego syna cesarza Pawła, z temi ścianami w Polsce złączono tyle przeżyć i wypadków — i dziwnym zbiegiem, trwa to do dziś dnia.

Przez 13 miesięcy miałem swój gabinet biurowy w znanym „zielonym“ pokoju, który ongiś był sypialnią żony Konstantego — księżnej Łowickiej.

W historyczną noc listopadową w 1830 r. wielki książę schował się w tym pokoju, przed szukającymi go podchorążymi.

Do dziś dnia pozostały dawne obicia ścian — z zielonkawego jedwabiu i zachował się portret księżnej, której los, w tej złoczonej klatce nie był wesoły.

Nie znam dokładnie historii jej życia.

Kiedy, jako młody chłopiec, w kościele w Carskim Siole, odczytywałem tablicę, głoszącą, że tu spoczywa księżna Łowicka, fantazja młodzieńcza roiła różne przypuszczenia: czy to był pewien sentyment, czy tylko bierność i brak woli wywołały zgodę na małżeństwo, które wydaje się tak anormalnem, czy ją rodzina zmusiła — tylko przez próżność i chciwość?!...

W suterrenach Belwederu i obecnie znać ślady kaplicy, gdzie ta zagadkowa i prawdopodobnie niezbyt szczęśliwa kobieta u stóp ołtarza szukała ulgi i sił...

Okna tego pokoju wychodzą na park Łazienkowski i widać stąd rozrosłe drzewo, pod którym na ławce kamiennej przesiadywał wielki książę—słuchając śpiewu słowików. Jakżeż ten jego

sentymtalny rys był sprzecznym z całokształtem jego czynów w Polsce i brutalnością charakteru.

W okresie mojego urzędowania wewnętrzne urządzenie domu było przygodne, bez wytrzymania stylu nawet w meblach i ozdobach, nie mówiąc już o zaopatrzeniu gospodarczem, które, można powiedzieć, narazie nie istniało wcale. Nie posiadano nietylko chociażby najskromniejszego serwisu srebra, ale nawet i platerów przyzwoitych.

Sala reprezentacyjna była jedna, obszerniejszy nieco pokój stołowy, pozatem na parterze był rząd pokoi mniejszych, zajętych przez biura. Naczelnik Państwa — sam bez rodziny — mieszkał na górze, w niewielkim lokalu, składającym się z czterech pokoi.

Ale prawdziwem upiększeniem domu był stary park Łazienkowski...

Pierwsze dnię zajęły formalności — objęcie stanowiska, zaznajomienie się ze sprawami i nowym personelem, składanie urzędowych wizyt.

Nadeszły święta.

24 grudnia dla całego otoczenia Naczelnika Państwa odbyła się wigilja w Belwederze, poczem Naczelnik Państwa w mojej asystencji objechał garnizony i szpitale wojskowe, dzieląc się wszędzie opłatkiem z żołnierzami: trwało to do późnego wieczora, objechaliśmy całą Warszawę od końca Pragi do Lotniska.

Marszruta była zgóry ułożona, wszędzie czekano na nas z choinkami, wygłaszano mowy, deklamowano, zasiadaliśmy na chwilę do stołów. Wszystko miało charakter bardzo miły i sympatyczny.

Zdarzyło się tylko małe nieporozumienie na Lotnisku, gdzie przez pomyłkę zatrzymaliśmy się nie przed kasynem oficerskiem, w którym czekali zebrani oficerowie, a przed koszarami jednej z kompanji, gdzie nas wcale nie czekano; gawęda z żołnierzami, spożywającymi wigilję i nieprzygotowanymi na odwiedziny Naczelnika, zajęła tyle czasu, że nie mieliśmy już czasu zajechać do kasyna oficerskiego.

26 Grudnia Naczelnik Państwa wyjechał po raz pierwszy do Poznania.

Dwudniowy pobyt w Poznaniu odznaczał się niezwykłą ruchliwością.

Na stacji odbyło się uroczyste powitanie ze strony władz wojskowych i cywilnych.

Odjechaliśmy na zamek, w którym Naczelnik Państwa zamieszkał; zajmowałem pokój tuż obok jego apartamentów. Podobno w pokoju tym zwykle mieszkała przed wojną cesarzowa Augusta.

Zamek, o którym już pisałem wyżej, zrobił na mnie, jak i podczas pierwszego pobytu w Poznaniu, niemiłe wrażenie pretenjonalnego domu ambitnego satrapy.

Przyjechaliśmy o 9-ej. O 10-ej odbyło się w katedrze nabożeństwo, celebrowane przez prymasa kardynała Dalbora.

Po nabożeństwie Naczelnik Państwa udekorował krzyżami — *Virtuti Militari* i Krzyżem Walecznych szereg wojskowych, a także i byłych powstańców.

Krzyżami *Virtuti Militari* Naczelnik Państwa dekorował osobiście, a Krzyżami Walecznych częściowo także dowódca Okręgu, generał Raszewski i ja.

Przez cały czas pobytu zwracała uwagę dyscyplina tłumu, wzorowy porządek i ład, panujący wszędzie.

Następnie odbyła się wojskowa rewja — wypadła doskonale; był mroźny, ale ładny słoneczny dzień.

Po rewji odbyło się wojskowe śniadanie na kilkadziesiąt osób.

Po śniadaniu składałem oficjalne wizyty.

O 4-ej Naczelnik Państwa przybył do ratusza, wygłoszono szereg przemówień, śpiewały chóry, był tłum ludzi, ale zapału nie było.

Następnie byliśmy króciutko w operze, dawano „Halke”. Naczelnik Państwa zauważył żartobliwie, że z galowych przedstawień, każdą arję „Halki” zna już napamięć. Zrozumiałem doskonale tę uwagę. Tyle razy bowiem sam, w ciągu roku, byłem z urzędu na balecie „Pan Twardowski”, że w ostatecznym razie mógłbym — tak mi się zdaje — zastąpić utalentowanego p. Zejlichę, grającego milczącą rolę Twardowskiego...

Następnie odbył się urzędowy obiad. Nie powiem, by był on zbyt ożywiony; skonstatowałem sporo miejsc niezajętych.

To samo powiedziałbym o raucie, który się odbył po obiedzie i na który przybyły również i panie. Osób było wiele, ale czuło się, że całość „nie klei się“.

Nie znaczy to, by w czemkolwiek uchybiono obowiązującym formom urzędowych przyjęć.

Należy tu zaznaczyć, że dominująca część społeczeństwa dzielnicy Poznańskiej, w tym okresie, w stosunku do kierunku politycznego rządu zachowywała stanowisko opozycyjne.

Następny dzień od wczesnego ranka do wieczora upłynął poza Poznaniem.

Rano wyjechaliśmy samochodami do Racoty — przytulnego pałacyku, należącego dawniej do dworu niemieckiego, położonego w okolicy, bardzo nadającej się na polowania. Przyjęto nas śniadaniem, w którym wzięło udział grono obywateli ziemskich. Gospodarzem był p. Chłapowski, obecny nasz ambasador we Francji.

Następnie odwiedziliśmy Leszno, Radzyn, wszędzie przyjmowano nas uroczyście, parę razy zatrzymywaliśmy się po drodze celem wysłuchania przywitań.

Nie wszyscy radzili sobie dobrze z językiem polskim, np. w Radzynie miejscowy proboszcz wygłosił przemówienie, któremu pod względem językowym bardzo dużo możnaby zarzucić.

Ale ogólne wrażenie było bardzo dodatnie, wszędzie spotykaliśmy się z objawami kultury, lojalności i poszanowania władzy.

Przygnębiające wrażenie zrobił tylko były pałac rodziny ks. Sułkowskich, gdzie ostatnia spadkobierczyni, wdowa — z pochodzenia nie Polka, — której pozostawiono pałac ten, jako dożywocie, wyprzedawała literalnie wszystko, co się dało, nawet fragmenty do okien, posadzki, piece.

29 grudnia rano wróciliśmy do Warszawy. Wieczorem tego dnia udałem się na dworzec, by w imieniu Naczelnika Państwa pożegnać generała Nissela, który opuszczał Polskę na stałe. (Zastępcą jego w charakterze Szefa francuskiej misji wojskowej został generał Dupont, który przebył w Polsce kilka lat i cieszył się ogólną sympatją).

Następnego dnia odbył się ślub córki Duńskiego posła z Polakiem (p. Dębmskim). Naczelnik Państwa był nie tylko w kościele, ale i na przyjęciu w Poselstwie.

Chcę tu jeszcze wspomnieć o pewnej bardzo dla mnie miłej uroczystości.

15 Grudnia otrzymałem od Generała Nissela list, w którym generał zawiadamia „Chère Camrade“ — że jutro wręczy mi order oficerskiego krzyża Legji Honorowej. W kilka miesięcy potem, zastępca generała Nissela, generał Dupont znów dekorował mnie — z wielką uroczystością — Komandorskim Krzyżem Legji Honorowej.

Uroczystość, która się odbyła nazajutrz na placu Teatralnym, pozostawiła mi bardzo piękne wspomnienie.

W tej drugiej serji zostało dekorowanych, o ile przypominam sobie, około 15 oficerów.

Od lat dziecinnych rosłem w kulcie dla epopeji Napoleońskiej i naszych bohaterów Polaków w armji Napoleona, to też marzeniem mojem było zawsze noszenie na piersi tego krzyża, który dla nas Polaków jest tak cenny...

O przebiegu spraw wewnętrznych i o pracach sejmowych w drugiej połowie 1921 r. w tym rozdziale nie piszę, ponieważ będąc kilka miesięcy poza krajem, systematycznie za tem nie śledziłem, ale w jednym z następnych rozdziałów obszerniej omówię całokształt tych spraw.

Na zakończenie zanotuję jeszcze pewien wypadek, który w zabawny sposób charakteryzuje nastroje ówczesnej praworządności. Otóż w przeddzień wigilji jeden z wysoko postawionych dygnitarzy z zespołu obrońców prawa, pojechał z córką i służącym do parku Paderewskiego i „w biały dzień“ wyrębał sobie młode drzewko — w dodatku okazowy egzemplarz — i najspokojniej zawiózł je do domu.

„Choinka“ jednak skończyła się dla niego smutno — bo po 24 godzinach otrzymał dymisję...

Rok 1921 pełen nieoczekiwanych przeżyć minął. Nowy 1922 Rok szczęśliwie spotykamy — żona, ja i syn razem!...

ROZDZIAŁ V.

„Wszakżeż nie to mi dzieło, kto
z nas rychlej zginie, ale żeby się po-
kazać dzielnym w żywym czynie!”

„Warszawianka“ — St. Wyspiański.

Szkolnictwo wojskowe.

Przypada mi trudne zadanie: mam mówić o sprawach z dziedziny, gdzie siłą okoliczności, zmuszony będę wchodzić w szczegóły swej własnej działalności, a zatem zachodzi tu obawa i ryzyko autoreklamy!

Proszę zatem o łaskawe względy, ponieważ uważam, że materiał, odnoszący się do prac w zakresie szkolnictwa wojskowego nie może i nie powinien być w moich pamiętnikach pominięty. W pierwszym okresie rozbudowy państwowości, w zakresie pracy szkolnictwa wojskowego, łączyły się w wspólnych wysiłkach podniesienia poziomu umysłowego i moralnego żołnierza, i urzędy rządowe (wojsko), i szerokie warstwy naszej inteligencji, wyczuwając to, że szkoła ludowa tyłkoco rozpoczyna swoją działalność, a zespół wojskowych składa się z młodzieży najrozmaitszych orientacji; że wojsko poza swoim zadaniem fachowem, w okresie tych wyjątkowych wstrząsów społecznych siłą faktu powinno być kuźnią ducha i dążyć do tego, aby żołnierz polski, prosty szary żołnierz, wracał do domu jako uświadomiony obywatel kraju.

23 listopada 1918 r. odbyło się na Zamku w gabinecie kierownika Ministerstwa Wojny pierwsze posiedzenie komisji w sprawie organizacji szkolnictwa wojskowego w Polsce. Kierownik ministerstwa p. pułkownik Wroczyński, w powitalnej mowie podkreślił konieczność opracowania programów i planów organizacji przyszłego szkolnictwa i oświadczył, że wykonanie tej pracy poleci osobnej komisji.

Poprosiłem o głos i oświadczyłem, że według mego zdania, w obecnych warunkach niema czasu na akademickie debaty w komisjach, że zająć się tem winna jedna osoba, o ile się uzna, że zaproponowany przez tę osobę plan jest logiczny; programy, podręczniki, instrukcje w najkrótszym czasie będą wypracowane, bo życie robi swoje.

Członkowie komisji, w zasadzie, zgodzili się ze mną, i pan minister zapytał mnie, czy zgodziłbym się zorganizować szkolnictwo wojskowe, o ileby mi je powierzono urzędowo.

Odpowiedziałem, że uważałbym to za wielkie szczęście dla siebie, ale że mogę podjąć się tej misji tylko wtedy, gdy moje zasadnicze tezy zostaną zaaprobowane.

Kierownik ministerstwa zaproponował mi, bym je przedstawił zebraniu.

Zacząłem od tego, że w państwach centralnych szkolnictwo wojskowe stało na wysokim poziomie, były doskonałe szkoły, doborowy skład profesorów, świetne podręczniki, systematyczność w metodach szkolenia, a mimo to — wszystko pierzchło, zniknęło w najkrótszym czasie.

Mojem zdaniem krach systemu militarystycznego nastąpił dlatego, że *wojsko nie było narodowe*, że wojskowi stanowili odrębną kastę, oddzieloną chińskim murem od społeczeństwa, a w samym wojsku była przepaść między żołnierzem i oficerem — i zemściło się to: najprzód w byłej Rosji, potem zaś w państwach centralnych.

My Polacy, pozatem musimy liczyć się z tem, że u nas w pierwszym okresie wojsko będzie się formowało z ludzi z byłych trzech zaborów, jeżeli już nie z różną ideologją, to w każdym razie wyrosłych w odmiennych warunkach i przedewszystkiem trzeba ich będzie duchowo zespolić — zcementować!

Zadaniem szkolnictwa wojskowego w Polsce musi być nie tylko fachowe wykształcenie, ale jednocześnie i ideowe, żeby żołnierz polski wrócił z wojska uświadomionym obywatelem. Do wykonania tych zadań musi być jak najprędzej przygotowany zespół oficerów i podoficerów.

Wszyscy zebrani zgodzili się ze mną.

W parę dni później otrzymałem urzędowy list od kierownika ministerstwa, w którym polecono mi przystąpić do organizacji Departamentu Szkolnictwa Wojskowego.

Do najbliższej współpracy zaprosiłem znanych mi w Warszawie fachowców w tej dziedzinie: generałów Latura i Romiszewskiego i profesora p. Lucjana Zarzeckiego.

Generał Latur przeszedł w Rosji w szkolnictwie wszystkie stopnie od korepetytora wychowawcy do dowódcy kompanji i dyrektora korpusu kadetów; pracy w szkolnictwie poświęcił kilkadziesiąt lat; był dużo starszym ode mnie, ale przystąpił do organizacji korpusu kadetów z młodzieńczym zapałem.

Generał Romiszewski, również starszy ode mnie wiekiem, jakkolwiek nie był fachowym pedagogiem, ale zajmował w Rosji wyższe stanowisko w artylerji, odbył wojnę wszechświatową, ukończył akademię wojskową prawną; w naszym szkolnictwie miał objąć oddział wykształcenia oficerów i podoficerów i opracowanie projektu politechniki wojskowej.

Znany w kraju nie tylko jako utalentowany profesor, ale jako wybitny pedagog i administrator profesor L. Zarzecki objął oddziały: pedagogiczny i kulturalno-oświatowy i w najkrótszym czasie zorganizował dla przyszłych wychowawców i wykładowców kursa pedagogiczne przy Warszawskim Uniwersytecie oraz kursa dla referentów oświatowych...

Przytoczę fragment z mego pierwszego rozkazu: „Szkółka Wojskowa o tyle wypełni swoje zadanie, o ile my, starsi strażnicy, potrafimy młodszą brać naszą ściśle zespolić z Narodem—o ile szkoła wojskowa będzie umiała wpoić w ucznia swego zrozumienie, że każdy żołnierz, że każdy oficer jest kością z kości i krwią z krwi ludu polskiego i jest sługą swego Narodu“.

Muszę tu stwierdzić, że ówczesny kierownik ministerstwa, pułk. Wroczyński udzielał mi stale poparcia i moralnego kredytu, tak samo, jak następnie generał Sosnkowski.

Na pierwszym planie stało zorganizowanie kursów pedagogicznych, które zostały utworzone już w styczniu 1919 r. i na których wykładały tak wybitne siły, jak prof. Smoleński (Historja Polski), pr. Thur (Biologja) pr. Szober (Język polski) pr. Radziszewski (Ekonomja Polityczna), ks. Nowakowski (Etyka), pr. Noakowski (Historja Sztuki), pr. Tatarkiewicz (Logika), pr. Gubrynowicz II (Literatura polska), pr. Z. Zarzecki (Pedagogika).

Nie przytaczam szeregu innych nazwisk profesorów, którzy z wielkiem zrozumieniem znaczenia tej pracy, przeważnie bezinteresownie, poświęcali swój czas i pracę. Wykładano poza wspomnianymi przedmiotami — Historję Wojny, Geografję Polski, Statystykę, Encyklopedję Matematyki.

Wykłady odbywały się codzień od 7 do 9 rano i od 5 do 8 wieczór. Poza wykładami odbywały się colloquia. Kursy trwały narazie 4 miesiące, a następnych lat 6. Starłem się wmiarę możliwości bywać na wykładach pierwszego kursu jak najczęściej.

Z serdeczną wdzięcznością wspominam cały szereg tych ideowych ludzi i nietylko z pośród całego zespołu profesorów, ale i słuchaczy.

Poza opracowaniem programów i instrukcyj dla przyszłych naszych uczelni wojskowych, pracowaliśmy nad organizacją kursów kulturalno-oświatowych dla przyszłych referentów w pułkach i nad stworzeniem kursów wychowania fizycznego.

Została pozatem opracowana organizacja kursów maturalnych; narazie w gmachach szkół powszechnych odbywały się wieczorne wykłady dla wojskowej młodzieży, która z powodu wojny nie zdążyła otrzymać matury; dzięki tym kursom parę tysięcy wojskowej młodzieży uzyskało świadectwa.

Zorganizowaliśmy również wykłady, mające ułatwić byłym studentom wyższych uczelni, którzy wstąpili do wojska — dokończenie fachowego wykształcenia; oficerów takich było kilkuset. Ministerstwo Wojny udzielało im płatnych, nawet i paroletnich urlopów, ale zobowiązując ich jednocześnie do zwracania kosztów, albo odsłużenia każdego roku płatnego urlopu.

Po upływie kilku miesięcy został ułożony polsko-rosyjski słownik technicznych wyrazów i zwrotów; zawierał zgórá 6 ty-

sięcy słów, była to poniekąd pierwsza urzędowa terminologia, wyrazy ustalało się w lotnych komisjach, złożonych z fachowców poszczególnych broni; ostateczne sankcje dawali życzliwie — lingwiści, profesorowie Szober i Kryński, którzy nigdy nie odmawiali nam pomocy.

Zasadą naszej pracy była wybitna apolityczność, w zespole naszym pracowali ludzie odrębnych zapatrywań i przekonań, łączyła nas jedna wspólna platforma — oświata żołnierza polskiego.

Na konferencje w Departamencie Szkolnictwa w sprawach zaznajomienia społeczeństwa z rozwojem naszych prac przybywali przedstawiciele najskrajniejszych orjentacji — przy jednym stole siedzieli redaktorzy „Kurjera Warszawskiego“, „Robotnika“, „Kurjera Porannego“ i „Gazety Warszawskiej“. Naczelną troską wszystkich było zwalczenie w wojsku analfabetyzmu.

Społeczeństwo chętnie nam pomagało, urządzając świetlice żołnierskie, zakładając biblioteki i t. p.

Pozatem urządzaliśmy w pułkach amatorskie przedstawienia, koncerty orkiestr — nawet i kwartety smyczkowe, popisy chóralne. Na frontowe pozycje wysyłaliśmy zespoły artystyczne z repertuarem przeważnie patryjotycznym.

Nieznani szerszemu społeczeństwu pracownicy, referenci i referentki oświatowe włożyli dużo długotrwałej pracy...

Dla ścisłego stwierdzenia, co uczyniono właśnie w tym zakresie przytaczam in extenso treść sprawozdania z działalności sekcji oświaty i kultury, złożonej mi przez kierownika sekcji oświaty i kultury (por. Kornilowicza) w końcu lipca 1921 r. — przed moim odjazdem do Francji, na nowe służbowe stanowisko.

OBSADA OŚWIATOWA WOJSKA.

Pracuje na etatowych stanowiskach oświatowych 600 oficerów (z których 30 — 40% pełni jeszcze inne funkcje) i 1.500 podoficerów oświatowych, z których ukończyło 350 kurs szkoły podoficerów oświatowych. Nadto pracuje 120 instruktorek oświatowych i 160 pracowników cywilnych, zakontraktowanych w szpitalach i zakładach karnych.

NAUCZANIE POWSZECHNE. (Zwalczanie analfabetyzmu).

Zależnie od miejscowości, z której się dany oddział rekrutuje liczy on 40 — 60% analfabetów. (Wyjątek stanowi Poznańskie — poniżej 10%. Nauczaniu podlegało przeciętnie od 35.000 do 40.000 miesięcznie (w roku 1921 do 70.000 miesięcznie).

DOKSZTAŁCANIE OGÓLNE. (Odczyty i pogadanki).

W roku 1919 i 1920 było przeciętnie 5.000 pogadanek i odczytów miesięcznie: o Polsce i na tematy wojskowe, ekonomiczne, higieniczne i t. p. (w czasie inwazji bolszewickiej do 7.000 miesięcznie, w roku 1921 — 8.000 miesięcznie).

DOKSZTAŁCANIE W ZAKRESIE SZKÓŁ ŚREDNICH.

Dla żołnierzy-ochotników, b. uczniów szkół średnich zorganizowano 11 kursów o 1119 uczniach. Świadectw maturalnych do 1 lipca 1921 r. wydano 305. W przygotowaniu otwarcie 2-ch nowych kursów.

DOKSZTAŁCANIE W RZEMIOSŁACH. (Kursa zawodowe).

Uruchomiono kursa koszykarskie, szewckie, introligatorskie, stolarskie, krawieckie, ślusarskie, zdobnictwa ludowego i t. p. Obecnie istnieją 62 kursy o 782 uczniach. Wystawa prac tych uczniów w przygotowaniu.

DOKSZTAŁCANIE W ROLNICTWIE.

Odczyty o rolnictwie. Tworzenie bibliotekzek rolniczych i rozsyłanie po rozdziałach. Dotychczas liczą one 30.000 tomów. Rozsyłano czasopisma rolnicze. Zakładanie ogródków na gruntach koszarowych. W przygotowaniu otwarcie 4-ch kursów ogrodniczo-hodowlanych dla żołnierzy-osadników. (Jeden kurs ogrodniczo-hodowlany w Sokołównu funkcjonuje od 1-go lipca r. 1930).

SZKOLENIE PERSONELU OŚWIATOWEGO W WOJSKU. (Kursa instruktorskie).

Kilkomiesięczne kursa metodyczno-pedagogiczne dla oficerów oświatowych i instruktoerek oświatowych. Dla podoficerów oświatowych istnieją stałe szkoły przy każdym D. O. Genie.

PODRĘCZNIKI I POMOCE SZKOLNE.

Dostarczono: 250.000 podręczników, 8.405 map, tablic historycznych i geograficznych. Inne pomoce szkolne w mniejszych ilościach. Materiały piśmienne (zeszyty, ołówki, pióra i t. p.) w stosunku przeciętnie po 2 szt. miesięcznie na uczącego się żołnierza.

BIBLIOTEKI I CZYTELNICTWO.

Utworzono biblj. ruchomych, w szafkach, 1.060 o 114.180 książkach i bibliotek stałych przy oddziałach 600 o 263.684 książkach. Razem biblioteki obejmują 377.684 książki. Korzysta z nich przeciętnie 60.000 — 70.000 czytelników miesięcznie.

ŚWIETLICE.

Urządzono i udekorowano około 700 świetlic w oddziałach. Dostarczono dla nich 35.000 obrazów i portretów. Z tych część wzorowo urządzono przez pracownię dekoracyjną Sekcji O. K.

TEATRY ŻOŁNIERSKIE AMATORSKIE.

Istnieje około 300 zespołów amatorskich żołnierskich. Przeciętnie 1 występ w miesiącu. Przy Sekcji O. K. istnieje centralna kostjumernia, licząca 2.000 egz. kostjumów i biblioteczka teatralna, licząca 600 tomów. Od sierpnia 1920 roku do czerwca 1921 r. istniało 6 teatrów objazdowych fachowych.

KINOTEATRY.

Istnieje około 50. Niektóre dają kilka przedstawień miesięcznie, inne grają codziennie, zależnie od warunków miejscowych.

LATARNIE PROJEKCYJNE. (Dla ilustrowania odczytów i pogadanek).

Istnieje 50, każda czynna od 5 — 10 razy miesięcznie.

ORKIESTRY I ZESPOŁY SMYCZKOWE.

Orkiestr skompletowano 80, kwartetów smyczkowych 20.

CHORY.

Zależnie od warunków miejscowych i od obecności odpowiednich kierowników istnieje od 100 — 200 zespołów, występujących minimum raz w miesiącu.

SKLEPY ŻOŁNIERSKIE (Kooperatywy).

Istnieje 416 sklepów żołnierskich, w tem 40%, ujętych w ramy kooperatyw. Hurtowni 14, w organizacji 8. Kapitał własny tych sklepów wynosi 90 milionów marek. Razem z centralną składnicą spółdzielni obrót miesięczny $\frac{1}{2}$ miljarda marek. 5% czystego zysku przeznacza się na cele oświatowe w wojsku.

KOLPORTAŻ CZASOPISM.

W roku 1919 i 1920 kolportaż dziennie wynosił od 20.000 do 30.000 egz. dziennie. W czasie inwazji bolszewickiej od 120.000 do 130.000 egz. dziennie. Od 1/X 1920 r. oddziały same zaopatrują się w czasopisma.

„ŻOŁNIERZ POLSKI“.

Sekcja O. K. wydaje „Żołnierza Polskiego“, jako czasopismo dla wojska 2 razy tygodniowo w nakładzie 30.000 egz. Obecnie z powodu trudności finansowych ograniczony będzie nakład do 20.000, wydanie raz w tygodniu.

WŁASNE WYDAWNICTWA.

Dla celów oświaty w wojsku wydano 63 tomiki własnych wydawnictw. (Biblioteka referenta oświatowego, podoficera oświatowego, czytanki żołnierskie, biblioteka żołnierza-obywatela i t. p.).

RUCHOME KOLUMNY OŚWIATOWE.

W czasie inwazji bolszewickiej zorganizowano 10 Ruchomych Kolumn Oświatowych, t. zw. „Czołówek“, które były przydzielane do oddziałów frontowych na przeciąg paru miesięcy.

BUDŻET MIESIĘCZNY.

W roku 1919 i 1920 6 do 7 milionów miesięcznie. W roku 1921 przeciętnie 5 milionów miesięcznie, w czerwcu prawie tylko 3 miliony marek, dlatego też najpilniejsze potrzeby pokrywa się z dochodów własnych poszczególnych referatów oświatowych, a przede wszystkim z dochodów kooperatyw żołnierskich.

O ile praca wewnątrz departamentu była nie tylko łatwa, ale wprost porywająca, o tyle na zewnątrz kolce życia kłuły chwilami boleśnie.

Zacząło się od tego, że do końca grudnia 1918 r. nie było rozkazu, nie tylko o mianowaniu mnie Szefem Departamentu, ale nawet i o przyjęciu mnie i moich najbliższych pomocników generałów do wojska polskiego.

Wychodząc z założenia, że byłem i jestem na służbie czynnej, nie chciałem zajmować wyższych władz osobistymi sprawami. Urzędowo też w tej sprawie nikogo nie pytałem, ale z prywatnych opowiadań przyjaciół dowiedziałem się, że coś tam — gdzieś rozpatrują. Radzono mi nawet nie spieszyć z obstalowaniem munduru, bo kto wie, czy wyjdzie wogóle rozkaz o moim przyjęciu do służby czynnej. Mówiono, że stawiają mi przede wszystkim zarzut, że nalegam na przyjęcie do służby czynnej zbyt wiekowych generałów, pozatem opowiadano, że moi koledzy — z zaboru austriackiego — kwestjonują nawet: moją polskość!

Może było w tych informacjach nieco „przyjacielskiej” przesady, ale fakt faktem, że rozkaz o moim przyjęciu do Wojska Polskiego został ogłoszony dopiero w końcu grudnia, a szefem Szkolnictwa Wojskowego zostałem mianowanym dopiero w styczniu 1919 r., pozatem na własne oczy widziałem schemat organizacji centralnych urzędów ministerstwa, podpisany przez Szefa Sztabu, generała Szeptyckiego, w którym, jako Szef Departamentu Szkolnictwa wpisanym był ktoś inny (oficer z byłego austriackiego zaboru).

Dziś o tem, co przeszło, piszę spokojnie — ale nie bez pewnego smutku; ale wtedy, gdym to przeżywał, nerwy często drżały od napięcia...

Pracowałem w szkolnictwie 32 miesiące bez przerwy; w całokształcie tej pracy było coś porywającego i sympatycznego, otaczał mnie zespół ludzi przeważnie ideowych, pracujących nie dla kariery i zysków, a przez zamiłowanie i zrozumienie doniosłości zadania.

Ten okres mojego życia zaliczam do najprzyjemniejszych z całego długiego szeregu lat pracy na najróżniejszych stanowiskach, przedtem w Rosji, i obecnie w kraju.

O okresie tym możnaby napisać niejedną setkę stronic, ale przytoczę tylko kilka charakterystyczniejszych wspomnień.

Dla zorientowania się w schemacie szkolnictwa wojennego muszę zaznaczyć, że do początku 1920 r. poza Departamentem Szkolnictwa przy Sztapie Generalnym był osobny wydział szkolny, podlegający bezpośrednio Szefowi Sztabu, oddział ten zarządzał Szkołą Podchorążych, od niego również był uzależniony Instytut Naukowo Wydawniczy.

W 1920 r. nastąpiła reorganizacja — wyżej wskazane instytucje przeszły do kompetencji Departamentu. Pod zarządem Sztabu Generalnego pozostały tylko Szkoła Sztabu Generalnego i Instytut Geograficzny.

W pierwszych dniach stycznia 1919 r. pojechałem do Krakowa na inspekcję naszego pierwszego korpusu w Łobzowie i spędziłem tam kilka dni.

Chodziło o jak najrychlejsze rozpoczęcie systematycznych normalnych zajęć i spolonizowanie korpusu, bo komplet kadetów stanowili przeważnie kadeci Polacy, zebrani ze wszystkich korpusów byłej Austrii. Znaczny procent chłopców słabo władał językiem polskim, trzeba ich było podzielić na grupy, zależnie od znajomości języka.

Gmach był budowany jeszcze za Kazimierza Wielkiego, dla ukochanej Esterki. Było nam w nim ciasno, ale zato przez cały rok można było korzystać ze wspianego parku. Codziennie rano kadeci, niezależnie od pogody, musieli obieć cały park; w parku odbywały się ćwiczenia fizyczne i gimnastyka. Latem korzystano z bardzo dużego basenu do pływania, który również urządzony był w parku. Warunki hygieniczne doskonałe. Latem na dorocznych promocjach, podczas popisu, rodzice uczniów nie szczędzili słów zachwyty dla szkoły. Przypominam sobie, jak

entuzjazmował się p. Tetmajer, który oświadczył mi, że korpus zmienił zupełnie jego syna, który urósł, stał się sportsmanem, zmeżniał.

Poza nauką w zakresie programu państwowych szkół średnich, kadeci uczyli się musztry, ponadto postanowiliśmy wprowadzić obowiązkową naukę rzemiosł—zależnie od własnego wyboru kadeta. Nowy zespół pedagogiczny, również częściowo zmieniony, z zapalem zabrał się do pracy.

W Departamencie postanowiliśmy jak najprędzej utworzyć cztery szkoły kadetów — w Krakowie, Warszawie, Wilnie i Poznaniu; udało się sformować tylko dwie—w Krakowie (która następnie została przeniesiona do Lwowa) i w Modlinie (obecnie w Radzynie). W Wilnie i Poznaniu nie mogłem dostać odpowiednich gmachów. W Modlinie również niezbyt nadawały się gmachy — ale wyboru nie było i zwlekać nie uważaliśmy za wskazane.

Co do politechniki wojskowej, to postanowiliśmy zorganizować przy politechnice Lwowskiej dodatkowy wydział wojsko-inżynieryjny. Szczegóły tego projektu opracowywał generał Romiszewski. W tym celu byłem dwukrotnie we Lwowie dla porozumienia się z Senatem politechniki, ale definitywnie skutku nie osiągnięto.

Centralna szkoła dla podoficerów miała być założona w Brześciu, żadne jednak koszary, jako zbyt zniszczone w okresie wojny nie nadawały się do tego celu.

Gdym był w tej sprawie w Brześciu, pokazano mi w kasy nie oficerskiej tablicę, ze znanym aforyzmem Trockiego „ani pokoju, ani wojny“, wypowiedzianym w czasie pertraktacji pokojowych rządu komunistycznego z rządem niemieckim, które odbywały się w Brześciu w początkach 1918 r.

W większych garnizonach urządziliśmy obowiązkowe kursy polonistyczne dla tych oficerów, którzy bardzo słabo władali językiem polskim, albo nie posiadali matury przy wstąpieniu do wojska polskiego.

Kilkakrotnie zaznajamialiśmy społeczeństwo z organizacją i rozwojem naszej pracy kulturalno-oświatowej, zapraszając w tym celu bądź do Departamentu, bądź do szkół i instytucji

przedstawicieli najróżniejszych odłamów prasy i informując ich o wszystkich poczynaniach.

W 1920 r. zakończyliśmy opracowanie projektu całokształtu szkolnictwa wojskowego; w pracy tej na naszych posiedzeniach brał stały udział i generał francuski Spire, który stał przez kilka lat w Polsce na czele francuskich wykładowców i instruktorów.

Latem 1920 r. byłem w Paryżu dla zaznajomienia z projektem naszym w szczegółach kierowników szkolnictwa wojskowego we Francji. Projekt nasz nie tylko został zaaprobowany przez nich w zasadzie (kurtuazyjnie mówili mi, że projekt ten jest — „jajkiem Columba“), ale mieli nawet zasady projektu stosować i u siebie.

W założeniu projektu był plan, że wszyscy przyszli oficerowie, obowiązkowo maturzyści, albo wybitniejsi podoficerowie po ukończeniu organizowanych dla nich specjalnych ogólnie kształcących kursów, wstępują do jednej wspólnej szkoły podchorążych i dopiero po roku wspólnych studjów — segregują się na dalsze dwa lata studjów wedle zdolności i potrzeby ministerstwa, do oficerskich szkół fachowych — artylerji, saperów, lotnictwa, jazdy, piechoty.

Z początkiem roku szkolnego w 1919 r. chciałem wysłać możliwie największą ilość naszych oficerów do szkół oficerskich we Francji, a mianowicie: do wyższej szkoły Sztabu Generalnego — Ecole de guerre, do szkół piechoty St. Cyr w Wersalu i St. Mexain w Bretanji, do szkoły artylerji w Fontainebleau, na kurs saperów — w Wersalu, na kurs jazdy — w Saumur, na kursa intendenty, do szkoły inżynierów konstruktorów lotnictwa, do szkoły służby administracyjnej — wszystkie w Paryżu i do szkoły sportu — w Joazeville. Władze francuskie szły nam bardzo na rękę, znacznie jednak trudniej było z kredytami.

Marzyłem o wysłaniu co najmniej 100 oficerów, ale Ministerstwo Skarbu nie zgadzało się na ryczałtowe dyjety ponad 25 franków na osobę.

Znając dobrze warunki życia zagranicą znalazłem się przed dwiema alternatywami: albo narazić oficerów na ciężkie warunki materialne, albo zdecydować się na znaczne zmniejszenie ilości wysyłanych zagranicę oficerów.

Kiedy z polecenia p. vice-ministra generała Sosnkowskiego osobiście przedstawiłem Naczelnikowi Państwa dwie warunkowo ułożone listy — całą i skróconą, oświadczyłem mu, że, zdaniem mojem, minimalne dyjety dla kawalerów powinny być 40 franków, dla żonatych zaś 50.

Naczelnik Państwa, najzupełniej niespodzianie zaproponował, bym użył na ten cel dodatkowo zgórą 100 tysięcy franków, które on tylkoco otrzymał od Polaków z Ameryki i którymi rozporządzać może według własnego uznania. Trudno opisać moją radość — byłem ogromnie wzruszonym, miałem wrażenie, że otrzymałem bardzo wielkie osobiste odznaczenie...

Żegnając się z oficerami, zwracałem ich uwagę, że właśnie francuskie szkoły powinny być dla nas wzorem, jak trzeba pracować dla Ojczyzny — a nie dla kariery. Armja francuska przez 43 lata stale i systematycznie pracowała nad swoim rozwojem, nam należy przejąć od nich metody pracy.

Większość nas z zapalem i poświęceniem umiera za Ojczyznę, a trzeba nauczyć się żyć i pracować dla niej...

W tym czasie przy Departamencie zaczął wychodzić tygodnik wojskowy „Żołnierz Polski“. Na naczelnego redaktora zaprosiłem popularnego w kraju, utalentowanego poetę „Or-Ota“ (Artura Oppmana); pismo to egzystuje do dziś dnia i przyniosło wiele korzyści.

Poza pismem we wszystkich większych ośrodkach wydawano dla żołnierzy popularne broszury, wyświetlano filmy, oparte na motywach historycznych.

Krucho było z naszymi wydawnictwami, ale musieliśmy walczyć z propagandą komunistyczną, i mieć na względzie to, że nasz wschodni sąsiad na cele propagandy wydawał ogromne sumy. W Sowdepji każdy żołnierz otrzymywał podobno co miesiąc 30 broszur, wprost zasypywano go drukami — nie wiem, czy wszystko było czytane — ale muszę się przyznać, że i nasze druki nie zawsze prędko i gładko trafiały do czołowych pozycji, a czasami dość długo czekały na kolejkę w sztabach; mówiono mi, że bywały i takie wypadki, że druków, czasowo używano — jako materaców.

Dowodem, jak wielkie znaczenie przypisywali propagandzie wojskowej bolszewicy, niechaj będzie fakt, że codzienne mi-

tyngi były u nich wtedy włączone do obowiązkowych zajęć żołnierskich, jak musztra, i, opowiadano mi, że w sypialniach żołnierskich co wieczór przez specjalne płyty gramofonowe pouczano czerwonych żołnierzy o cudach raju komunistycznego i obowiązkach prawdziwego komunisty.

Oddział kulturalno-oświatowy przystąpił do opracowania projektów pokazowych kursów rolniczych dla żołnierzy.

W dziedzinie działalności kulturalno-oświatowej, w zakresie kompetencji Departamentu Szkolnictwa weszły również niektóre sprawy „Imki” (Y. M. C. A.) i Białego Krzyża.

Czas biegł szybko.

Następuje i nowa faza: z powodu ustalonego wieku prekluzyjnego najpierw odeszli generałowie Latur i Romiszewski, wkrótce po nich odszedł i profesor L. Zarzecki, celem organizowania szkolnictwa na naszych kresach wschodnich.

Każdy z nich pozostawił po sobie spory spadek w postaci poważnej pracy, cennej niezwykle, bo opartej na fachowej wiedzy i doświadczeniu życiowym.

Odeszli na inne stanowiska ideowi moi pomocnicy w sprawach biurowych — pp. Mikulicz-Radecki i Kotłubaj.

Przyszli inni ludzie — pułkownik M. Kukiel — jako mój zastępca, (latem 1920 r. zastępował go pułk. Fabrycy, w tym okresie pułk. Kukiel był na froncie), pułk. Zarzycki — jako szef wydziału, podpułkownik Młodzianowski — jako komendant szkoły podchorążych, prof. Tokarz — jako Szef Instytutu Naukowo-Wydawniczego i major Jędrzejewicz — jako kierownik wydziału kulturalno-oświatowego, major Kustroń — jako jego zastępca; por. Kornilowicz, pracujący w Sekcji Oświaty i Kultury i inni.

Dopiero z końcem 1920 r. kiedy po wojnie ogólnie ekonomiczny stan kraju zaczął wymagać jak największych oszczędności, Departament zwłaszcza w dziedzinie kulturalno-oświatowej, poszedł pod nóż redukcji.

Latem 1921 r. przyszła kolej i na mnie.

W końcu lipca zupełnie niespodziewanie dowiedziałem się, że 1 sierpnia wyjeżdżam z Warszawy celem objęcia stanowiska Szefa Misji Wojskowej we Francji. W kilka dni po otrzymaniu zawiadomienia o nominacji, musiałem wyjechać.

Po 32 miesiącach odchodzę od tego tak wyjątkowo ponętnego warsztatu pracy, zachowując do ostatnich dni życia najmiłszą pamięć tego okresu.

Dużo było w nim przeżyć, były i smutne, i ciężkie, tak pod względem moralnym, jak i materialnym, ale też moc niezapomnianych miłych wzruszeń.

Ileż się w tej pracy spotkało jednostek świetlanych, pracujących nie dla zaszczytów i zysku, a ideowo, dla Ojczyzny!

Jak już mówiłem, niejeden z nas miał włosy przyprószone siwizną i mocno poorane czoło, ale wszyscy czuliśmy się młodo i byliśmy wielkimi optymistami.

Muszę jeszcze raz stwierdzić, że praca w zakresie szkolnictwa wojskowego spotykała się z poparciem i uznaniem szerokich sfer społeczeństwa. Świadczy o tem choćby moc pochlebnych wzmianek i artykułów dziennikarskich o szkolnictwie wojskowym.

Przytoczę tylko dwa fragmenty prozą i jeden wierszem:

1. „Przyjdzie czas, kiedy historia wypisze na marmurze nazwiska tych wszystkich, których dziełem jest szkoła — Ojczyźnie pożyteczna, Narodowi droga“.

2. „Zastanawiając się nad duchem w wojsku i starając się uczynić wszystko, aby był jak najlepszy, nie możemy poprzestać na wygłaszaniu idealistycznych ogólników, ale winniśmy dać jego budzeniu się i rozwojowi realną podstawę. A ponieważ w tym kierunku dużo się robi i to rzeczy nader cennych, o czem szerszy ogół nie wie, przeto warto mu o tem powiedzieć — wedle słów Sienkiewicza — ku pokrzepieniu serc.

W ścisłem porozumieniu z Naczelnikiem Państwa, ministrem wojny i vice-ministrem Generałem Sosnkowskim, ogólny kierunek oświatowy objął w wojsku polskim generał Jacyna, mając cały szereg pomocników i wykonawców“...

„Dano nam do przeczytania ciekawe i znamienne listy żołnierzy. Z listów tych wynika niezbicie, że dla żołnierza wojsko staje się niezależnie od wszystkiego jego pięknym światem duchowym, jego akademją, z którą, jak dobry student z dobrym uniwersytetem na resztę życia będzie związany...“

I następnie wierszami:

„Przewodników lepszych pokaż,
Gdzie ma jaka szkoła, gmina
Młodzianowski, Kukiel, Tokarz
I Szkolnictwa SzeF — Jacyna.

Tam niema systemu: łataj,
Lub chowania dziur pod poły,
Stąd by się minister Rataj
Uczył, jak prowadzić szkoły“.

.....

Z głębokiem przekonaniem, że u większości moich byłych współpracowników znajdę zrozumienie napisałem w moim pożegnalnym rozkazie:

„Praca nasza musi być planową i systematyczną, gdyż zbudować musimy gmach potężny, który zdolny będzie zapewnić szczęście i spokój milionom obywateli i na tyle mocny, żeby oprzeć się zakusom wrogów.

Obecnie w warunkach pokojowych rozpocznie się najbardziej rzeczowa, żmudna i bez efektów błyskotliwych, jednak zaszczytna niezwykle i potrzebna Ojczyźnie praca.

Świat należy do silnych wiedzą i wolą“.

Pożegnanie z moimi współpracownikami było bardzo serdeczne; nie przytaczam treści przemówień pożegnalnych.

Najbardziej wzruszyło mnie jedno z nich, od grupy najmłodszych współpracowników, które nie zostało wypowiedziane na uczcie pożegnalnej, a wręczone mi na dworcu przed odejściem pociągu. Wprost ze wzruszeniem odczytałem serdeczne wyrazy, wypowiedziane z młodym entuzjazmem i zapałem...

Uważam za potrzebne przytoczyć kilka fragmentów z tej niewypowiedzianej mowy, bo pierwszy raz w ich szczerych gorących słowach wyraża się strach przed tą zbliżającą się, nadwyras gróźną chorobą — rozpolitykowaniem wojska!...

....„Dumni jesteśmy z tego, że byłeś naszym pierwszym, a dla niektórych może i ostatnim SzeFem w szkolnictwie wojskowym. Dumni jesteśmy z tego, że dzisiaj, kiedy opuszczasz to stanowisko, odczuwamy, że chwila ta, jest przełomową w naszej

służbie wojskowej, bo od dzisiaj wchodzimy w nowe nieznane nam progi. Kto wie, Panie Generale, może od dzisiaj każdy z nas legitymować się będzie nie miarą swego patriotyzmu i zdolności, lecz odcieniem swych przekonań, sympatyj i zapatrywań! Przez trzy lata współpracy z Tobą widzieliśmy zawsze w Tobie naszego najlepszego przyjaciela i opiekuna...

Imponowałeś nam jeszcze swą kulturą towarzyską, którą nie zawsze spotyka się w stosunku Szefa do podwładnych. Nie istniała dla Ciebie nigdy żadna kasta, żaden nastrój polityczny, żadne przekonania i przynależność wojskowa z lat wielkiej wojny — mierzyłeś wszystkich tylko miarą cnoty żołnierskiej i miarą talentu. I za to niechaj Ci będzie, Panie Generale, nasza największa cześć!...

Zapewniamy Cię, że i nadal obcą nam będzie wszelka dyplomacja i fałsz parwenjuszów wojskowych, zapewniamy Cię, że i nadal brzydzić się będziemy wszelką podziemną robotą i konspiracją“...

Na zakończenie cytuję jeszcze wiersz, ułożony na moją cześć przez naszego znanego poetę „Or-Ota“, odczytany przez niego na pożegnalnej biesiadzie.

Miecz legł zwycięski owity wawrzynem
Na dziejów polskich krwią pisanej karcie.
Służyć Ojczyźnie sercem, duchem, czynem
Możemy dzisiaj jawnie i otwarcie.

A pamiętamy, kiedy każde słowo,
Co biło w słońce wolności okrzykiem,
Wtłaczano w pęta i nad młodą głową
Ryczał głos wroga: „Jesteś niewolnikiem“.

Myśmy przetrwali — i Bóg naszym świadkiem
żeśmy pełnili polską wartość wiernie,
Tak, jak brat z bratem dzieli się opłatkiem,
Polak z Polakiem dzielił łyzy i ciernie.

Porozrzucani na obszarach świata
Hartując duszę do wielkiego dzieła,
Czuliśmy w sercach, jak nam w nich kołata
Coraz potężniej: „Jeszcze nie zgineła“.

Jak każe tęsknić i marzyć, i czekać,
Na dzień, co ziści dziadów sen rozprysły,
I jak się pragnie uciekać, uciekać,
Do brzegów Niemna, do skrwawionej Wisły.

Nad falą Newy, co tak obco gada
Pod drapieżnymi chorągwiami carów,
Ty wiesz, jak pieśń ta słowem w serce wpada
Łoskotem bębnow i szumem sztandarów.

W mundurze wrogim w tyrana stolicy,
Serceś zachował polskie, wierne, młode,
A kiedy Bóg się zjawił w błyskawicy
I rzekł: „Jesteście“ — życia masz nagrodę!

I żeś miał oczy, na świat odemknięte,
Iż duch twój mężnie z wrogiem się ucierał,
Dwa masz tytuły, od krwi ojców święte:
Żołnierz Ojczyzny — i polski generał!

Gdyś razem z nami polskie słowo ciskał,
To żywe słowo, co z żołnierzem gwarzy,
Widziałem zapał, co ci z oczu błyskał,
Widziałem radość, co jaśniała z twarzy.

Tyś marzył o tem, kiedy dzwon uderza
I sny rojone w rzeczywistość wciela,
Aby Ojczyźnie z każdego żołnierza,
Stworzyć Polaka i Obywatela.

Dziś swój najdroższy żegnasz posterunek
I płyniesz dalej z Ojczyzny falami.
Ale nam dałeś hasło i rynsztunek
I wiem, że sercem zawsze będziesz z nami.

A gdy zobaczysz, jak orzące pługi
Plon z dusz żołnierskich wyorzą wspaniale,
Znajdziesz w tym plonie cząstkę swej zasługi —
I to — twym laurem będzie, Generale!

ROZDZIAŁ VI.

Katastrofalne zakończenie animozji partyjnych.

Noworoczne przyjęcie w 1922 r. odbyło się na Zamku. Uroczystość ta była tem donioślejszą, że odbywała się w tych murach po 140 kilkoletniej przerwie.

Ci, co jak ja, od 1919 roku bywali na urzędowych noworocznych przyjęciach Naczelnika Państwa, muszą skonstatować, że nasz zewnętrzny prestige państwowy, z każdym rokiem nabierał coraz większej powagi i uznania. Kurtuazyjna mowa, jako starszego reprezentanta Korpusu Dyplomatycznego — nuncjusza, liczny zespół dyplomatów w jaskrawych mundurach galowych, ministrowie, Sejm, Senat, delegacje wojskowe, urzędnicze i społeczne szczelnie zapełniają szeregi sal, częściowo już odrestaurowanych...

Rozpaczam „normalną” służbę — cały dzień jestem w ruchu, od wczesnego rana w biurze, albo na mieście w celach bądź służbowych, bądź reprezentacyjnych; często pozostaję w Belwederze i na obiedzie, bo większość oficerów — nieżonaty — stołowała się w Kasynie oficerskiem, mieszczącym się wówczas w Belwederze.

Rodzina Naczelnika Państwa mieszkała w prywatnem mieszkaniu na mieście i Naczelnik, o ile był wolny, również od czasu do czasu, przychodził na te obiady.

Wikt był bardzo skromny — obiady trwały krótko, rozmowy obracały się przeważnie dookoła ostatnich przeżyć wojennych.

Muszę się przyznać, że czułem się poczęści obcym, wśród tego grona ludzi przeważnie związanych wspólnymi przeżyciami i wspomnieniami z okresów legionowych.

Wiezorami również bardzo często pełniłem funkcje reprezentacyjne, asystując Naczelnikowi Państwa, albo go zastępując.

Z p. Carem, byłym Szefem Kancelarii Cywilnej, od pierwszego dnia, pozostaliśmy w najlepszych nie tylko służbowych, ale i koleżeńskich stosunkach i chociaż nasi pomocnicy, czasami, ze zbyt wielkiej gorliwości na temat swoich „resortów“, wszczynali służbowe „zasadnicze“ sprzeczki, p. Car pomagał mi zawsze w usunięciu zgrzytów między obydwoma kancelariami.

Miałem pod swoim zwierzchnictwem poza adjutanturą i kancelarią — szwadron, kompanię piechoty i wydział sztabowy.

Co do ściślejszego otoczenia moich współpracowników, to w zakresie spraw służbowych nie odczuwałem żadnych trudności i, powiedziałbym, tarć, ale, o ile to przekraczało ramy służbowe, formalne, to od razu dawało się wyczuć, że wielu z nich myśli różnymi kategorjami; nieraz mówiłem niektórym z nich — że, moim zdaniem, szkodzą oni całokształtowi spraw, traktując je z punktu widzenia, nie tyle państwowego, a powiedziałbym — jedynie z punktu „własnego podwórka“. Przy rozpoczęciu tej nowej mojej pracy uważałem za swój obowiązek moralny zaznaczyć, że nie obawiam się żadnej pracy, ale o ile tylko to nie jest w sprzeczności z moimi zasadniczymi przekonaniem.

Co do naszych wzajemnych stosunków towarzyskich, to stale pozostawały one etyczne i kulturalne, nawet i wtedy, kiedy znaczna większość moich byłych współpracowników z biegiem czasu obejmowała najwyższe administracyjne stanowiska w kraju, a ja byłem już poza pracą państwowo-administracyjną — na emeryturze.

Moje osobiste przeżycia w murach Belwederskich, są stosunkowo zbyt świeże i nie mają jeszcze za sobą „perspektywy czasu“ więc nie przytaczam poszczególnych nazwisk, wspomnę

tylko o ś. p. podp. Macieszy. Zwrócono się do mnie z propozycją dołączenia wiązanki wspomnień o nim do mającej ukazać się w druku jego autobiografii. W tem miejscu chcę podkreślić i zaznaczyć, że zaliczałem go zawsze do szeregu ludzi, zasługujących na szacunek i poważanie — za jego prawość i szlachetność. Należał on do grona ludzi, których nie można nie uszanować, nawet nie zgadzając się z ich ideologią...

Przytoczę tylko parę szczegółików.

W chwili objęcia przeze mnie stanowiska, budżet Naczelnika państwa nie przekraczał kilkuset tysięcy marek miesięcznie, wtedy, kiedy Prezes Rady Ministrów Paderewski, a następnie i jego zastępcy mieli do 10 milionów miesięcznie na wydatki reprezentacyjne.

W końcu stycznia w Belwederze odbył się pokaz popularnej wtedy w Warszawie „Szopki“, zaproszeni byli panowie ministrowie i kilku dygnitarzy, razem około 30 osób. Po przedstawieniu miała być herbatka, i okazało się, że na 25 — 30 osób nie wystarczy ani szklanek, ani filiżanek, ani łyżeczek, ani platerów — i zbierano takowe z mieszkań oficerskich. A jednocześnie prezydium ministrów miało w swoim rozporządzeniu niejeden tuzin wytwornego srebra, wykonanego w Paryżu i bardzo bogaty i obfity zapas serwisów, dostarczonych z zamku w Poznaniu; również zabrano z b. zaboru pruskiego sporą ilość dywanów i innych kosztowności. Zaproponowałem p. Carowi wspólnie wyświetlić tę anomalję przed Ministrem Skarbu i przypominam sobie, że obaj ułożyliśmy kosztorys w stosunkowo bardzo skromnych ramach do 2 milionów marek i nie spotkaliśmy w urzędach Ministerstwa Skarbu żadnego sprzeciwu...

W chwili objęcia mego stanowiska (i trwało to do końca), przysługiwał mi, jako Generalnemu Adjutantowi „dodatek reprezentacyjny“ w ilości 100 marek miesięcznie, a adjutantom — po 50, przyczem jedna para rękawiczek oficerskich kosztowała wtedy już 700 marek, a ubranie oficerskie — kilka tysięcy...

Małżonka Naczelnika Państwa z dwiema małemi córeczkami mieszkała w bardzo skromnem mieszkanku przy ul. Koszykowej i codzienne oficerskie obiady dla Niej i dzieci noszono

z Belwederu w menażkach, więc przynoszono je tam, w mroźne dni, nawpół zmarznięte...

Doktór P., który miał na pieczy osobiste sprawy finansowe Naczelnika Państwa, musiał długo kombinować i namyślać się, kiedy szło o tak poważny wydatek, jak uszycie nowego ubrania, czy paltota...

Ale jednocześnie muszę zaznaczyć, że nie przejmowaliśmy się sprawami tego rodzaju. Wszyscy od góry do dołu, starsi i młodzież, w tym, czy innym stopniu, przeżywaliśmy wiosnę życia!

W tej chwili przypomina mi się taki szczegół. Jestem jeszcze, jako Szef Departamentu z meldunkiem u vice-ministra Sosnkowskiego — przy pożegnaniu mówi mi on, że ma wrażenie, że jestem czemś zaaferowany, na to żartobliwie odpowiadam — że chyba tylko tem, że dziś wypadł dla mnie dzień dość pechowy, bo zrana ordynans mówił o tem, że muszę natychmiast obstałować nowe obuwie, a adjutant, że muszę obstałować paręset biletów wizytowych — i że dla polskiego generała dwa tak doniosłe wydatki w jednym miesiącu — są za ciężkie...

Na to Minister mi powiedział, że mi współczuje i rozumie, bo sam od paru lat nosi obuwie, na które zamienił się z Komentantem J. Piłsudskim jeszcze w twierdzy Magdeburgskiej...

Ja osobiście od 1918 r. przez szereg lat miałem jedyne zimowe ubranie — bekieszę na baranach, przerobioną z kozucha (tak zwany w b. Rosji „romanowski połuszubok“), uszytego dla mego syna w 1916 r., kiedy po skończeniu oficerskich kursów w korpusie paziów wyruszył na front...

Adjutanci Naczelnika Państwa pierwszy raz otrzymali większą jednorazową zapomogę jesienią 1922 r., kiedy towarzyszyli Naczelnikowi Państwa do Rumunii.

W styczniu odbyły się bardzo dla nas pomyślne wybory na Wileńszczyźnie. W tym samym okresie zaszło nieporozumienie co do osoby naszego drugiego delegata w Genewie, w tym sensie, że Naczelnik Państwa miał szereg zastrzeżeń co do desygnowanego przez ówczesnego premiera delegata p. Szubeki.

Gdy już miał wrażenie, że wchodzi w tryb nowego dla mnie, pod bardzo wielu względami, życia, spadło na mnie coś w rodzaju piorunu z jasnego nieba.

Jakkolwiek niechętnie zatrzymuję uwagę czytelnika na swej osobie, muszę znów omówić nieco dłużej — własne perypetje służbowe.

Nominacja moja z dnia 12 grudnia została ogłoszona w Dzienniku Rozkazów w połowie stycznia 1922 r., zaś w początku lutego w tymże Dzienniku pojawia się rozkaz — o mojej dymisji, coprawda z dniem 1 czerwca i z rangą Generała Dywizji...

Dowiaduję się o tym rozkazie nie bezpośrednio, a od znajomych: telefonują mi z domu, że było już kilka zapytań telefonicznych, co znaczy ogłoszony rozkaz o mojej dymisji.

Przyznaję, że czułem się tem bardzo przykro dotkniętym, ale i w tym wypadku, jak i zawsze w okresie całej służby czynnej — przyjąłem to do wiadomości i czekam dalszych zarządzeń.

Z prywatnych informacji dowiaduję się, że moi bezpośredni zwierzchnicy do tego osobiście nie przyczynili się.

W następnym dniu otrzymuję urzędowe zawiadomienie, że od 1 czerwca zostaję nadal powołanym z dymisji do służby czynnej z pozostaniem na zajmowanym stanowisku.

Zastanawiając się nad tą sprawą, przyszedłem do przekonania, że miała ona następujący przebieg:

Kiedy po pierwszej weryfikacji w 1920 r., na której, jak już pisałem, zostałem służbowo tak wyjątkowo „odmłodzony“, układano listy tych, którzy przekroczą wiek prekluzyjny, wyznaczony dla każdej z rang, okazało się, że ja, jako Generał Brygady, podlegam zwolnieniu w 1922 r. — bo kończę 57 lat (a o ile byłbym weryfikowanym na Generała Dywizji to dopiero w 1926 r.).

Przypomniałem sobie, że jeszcze wiosną 1921 r. był u mnie pułkownik Frehlich z wydziału personalnego, który uprzedził mnie, że jestem na liście, podlegających zwolnieniu w początku 1922 r. i radził mi prosić o „venia aetatis“ — to jest o prawo pozostania na służbie czynnej poza wiekiem prekluzyjnym, na podstawie świadectwa lekarskiego, żem jeszcze zdolny do pracy.

Listy te, wedle jego słów zostały ułożone jeszcze w 1920 r., były przedstawione Naczelnikowi Państwa i miały Jego inicjały.

W przekonaniu, że nie weryfikowano mnie jedynie przez pomyłkę i że to nastąpi normalnie już w najkrótszym czasie;

z drugiej strony uważając za niedopuszczalne „dobijać się“ o prawo pracy zapomocą świadectwa lekarskiego — żadnego podania nie złożyłem.

Później zaś byłem tak pochłonięty sprawami służby i tyle miałem dowodów, że praca moja uważana jest za pożyteczną i potrzebną — czego przykładem służyć może chociażby i to, że bez żadnych zabiegów z mojej strony zostałem wyznaczanym na tak odpowiedzialne stanowiska, że o tem wszystkim — zapomniałem.

Żeby ostatecznie skończyć ze sprawami „pro domo sua“ muszę dodać, że również niesamowite było i definitywne zakończenie mojej służby czynnej.

Z początkiem 1923 r. powołany zostałem na stanowisko Przewodniczącego Oficerskiego Trybunału Orzekającego, a następnie dodatkowo naznaczono mnie Prezesem Komisji dla opracowania Statutu i Kodeksu Honorowego.

3 czerwca 1924 r. otrzymuję list od ówczesnego ministra wojny, generała Sikorskiego, z którego, jak wyjaśnia mi w liście Generał, ze zdumieniem dowiaduję się, że 1 czerwca na moje stanowisko został mianowany inny generał, a ja jestem już na urlopie, a następnie w dymisji, bo jednocześnie ze mną zwalniają się „bez wyjątku“ i wszyscy inni, powołani na służbę czynną z dymisji. (To ostatnie *faktycznie okazało się nie ściśle*, bo kilku z nich pozostawało jeszcze przez czas dłuższy na służbie czynnej).

Jednocześnie list ten zawierał bardzo dużo wyjątkowo zaszczytnej i pochlebnej dla mnie oceny mojej pracy w wojsku i głosił, że będzie ogłoszony specjalny rozkaz pożegnalny, co rzeczywiście i miało miejsce — ale nie w listopadzie 1924 r., kiedy definitywnie zostałem zwolniony — a tylko zgórą w rok potem: w drugiej połowie listopada 1925 r. Dodam do tego, że w początku 1925 r. sprawa mojej weryfikacji była rozpatrywana w komisji, powołanej przez ministra; członkowie jej zakomunikowali mi osobiście, że została skonstatowana słuszność moich zażaleń, ale urzędowo mi odpowiadano, że prośba moja o ponowną weryfikację spełnioną być nie może (przytem telefonicznie tłumaczono mi „żeby nie robić precedensów“). W rezultacie obecnie otrzymuję mniejszy rozmiar emerytury, niż ten, jakiby

mi się należał, o ile bym pozostawał na służbie czynnej do końca 1926 r...

Szóstego lutego przyszła wiadomość, że na konklawe, zwołanem po śmierci papieża Benedykta XIV, papieżem został obrany kardynał Ratti — wywarło to bardzo wielkie i przyjemne wrażenie w całym kraju — pierwszy raz na tronie papieskim został dostojnik nie tylko znający nasz kraj, ale mający dla nas szczerą, serdeczną sympatię i życzliwość.

Dla mnie osobiście było wysoce zaszczytnem i przyjemnem, że kiedy wkrótce nowy papież Pius XI, przysłał do Polski, przez ks. prałata Brzezińskiego, kilka pamiątkowych medali — należałem do tych, których spotkało to wyjątkowo zaszczytne wyróżnienie.

Przyjmując pierwszą delegację polską, Ojciec Święty, w rozmowie wspomniał i o mnie, i polecił mi powiedzieć, że życzyłby sobie widzieć mnie w Rzymie, co nastąpiło dopiero w r. 1923.

Słyszałem od tych, którzy w czasie konklawe byli w murach Watykanu, że kiedy po szeregu głosowań, został obrany kardynał Ratti — wśród zebranych rozległy się głosy: „mamy Papieża-Polaka“.

W końcu stycznia Naczelnik Państwa wyjechał do Spały. Byłem tam urzędowo przez kilka dni. Rezydencję byłych carów poznałem wtedy po raz pierwszy. Może w niej jest miło latem i wiosną, ale w czasie mroźnego, śnieżnego stycznia było nieprzytulnie i obco.

Od czasu do czasu, choć w tym okresie rzadko, zaglądałem do któregoś z klubów. Pamiętam pewnego wieczoru, ktoś opowiadał w mojej obecności, że Ministerstwo Robót Publicznych robi formalne trudności w sprawach otwierania nowych fabryk chemicznych, ponieważ według obowiązującego jeszcze kodeksu rosyjskiego, nie wolno ich budować „ani w gubernji Ekaterinosławskiej, ani w Priwiślińskim kraju“.

Karnawał skończył się 28 lutego i nigdy w życiu nie brałem udziału w takiej masie zabaw, jak w tym roku, gdy na zabawach pełnił urzędowe funkcje.

Drugiego marca przyjechała do Warszawy delegacja od nowo obranego autonomicznego sejmiku wileńskiego, w sprawie

uroczystego podpisania aktu Unji z Polską. Delegacja składała się z 20 członków (z ogólnej liczby 76 członków Wileńskiego Sejmu); o 9-ej godzinie wieczorem miał odbyć się uroczysty akt podpisu „unji“. Kiedy przyjechałem do Prezydium Ministrów, zebrana licznie publiczność czekała chwili wejścia do sali ministrów razem z delegatami i przystąpienia do podpisania przygotowanego tekstu unji — na pergaminie z ładnymi rycinami, na wzór aktów średniowiecznych.

Czekaliśmy — do 4½ rano, przynajmniej ja wyjechałem przed 5-tą.

Gabinet radził z delegatami przez całą noc.

Chodziło o to, że z 20 delegatów zgadzało się podpisać umowę tylko 10, reszta — pod naciskiem prawicowych posłów Sejmu — czyniła różne obiekcje.

Byłem osobistym świadkiem metod i sposobów tego „nacisku“ i muszę się przyznać, że to, co obserwowałem wywoływało nietylko niesmak i gorycz, ale i wielki smutek, bo podłożem tego wszystkiego była niewątpliwie posunięta do przesady partyjna nienawiść.

W przeciągu nocy odbyło się, zdaje się, że 13 wspólnych narad delegatów z ministrami i ostatecznie akt tego dnia nie został podpisanym.

Wróciłem do domu mocno przygnębionym.

Za kulisami całej sprawy, w której brałem udział tylko jako widz, była chęć obalenia rządu. Ci, którzy do tego dążyli, dopięli swego: gabinet upadł, na premiera został powołany p. Ponikowski...

W tym samym czasie rozpoczęła się konferencja międzynarodowa w Genewie, na której pierwszy raz urzędowo wystąpił reprezentant „Sowieci“ Czyczewin i rząd niemiecki. Cały przebieg tej dość długotrwałej i niezbyt owocnej w skutki próby był raczej smutny.

Coprawa niemiecki rząd przy tej sposobności upiekł pieczeń w formie traktatu (w Rapallo) z Sowieci, a co do innych państw, to zręczny Czyczewin ciągle emablował je przyszłemi koncesjami w byłej Rosji.

Członkowie dawnej Ententy wydzielali sobie prawa na najróżniejsze monopole: „naftowy“, „leśny“ i inne, dzieląc skó-

rę na niedźwiedziu — niezabitym; pozatem Czyczerin i delegaci niemieccy zręcznie szczuli jednych przeciw drugim. Jednolitość była tylko ze strony Francji i Belgji, nawet i nasze przedstawicielstwo, o ile słyszałem, nie miało zdecydowanej linii postępowania.

Niesamowite wrażenie wywarł gest arcybiskupa Genueskiego, który na galowem śniadaniu na włoskim okręcie, pił zdrowie — Cziczeryna... Daty nie pamiętam, ale było to około rocznicy zamordowania w Moskwie księdza K. Budkiewicza.

Widocznie perspektywa przyszłej unji religijnej w b. Rosji zaciężyła nad tym znamienym i charakterystycznym toastem.

Ale ile, ile razy „prawosławny wschód“ — zaczynając od XVI wieku grał na tej strunie — i zawsze oszukiwał Rzym...

Było zdecydowane, że Naczelnik Państwa spędzi Wielkanoc z żoną i dziećmi w Wilnie — przyjechaliśmy tam w Wielką Sobotę; małżonka Naczelnika Państwa i dzieci wsiadły do pociągu po drodze — w Sulejówku. W Wilnie przy przejeździe z dworca i przy odjeździe, Naczelnik Państwa jechał ze mną — rodzina osobno.

Do Wtorku nie było urzędowych uroczystości — Naczelnik Państwa spędzał czas w gronie swojej dość licznej rodziny, stale mieszkającej w Wilnie.

Zamieszkaliśmy w domu byłych generał gubernatorów.

W Sobotę wieczorem byłem w Katedrze na rezurekcyi, a w Niedzielę na sumie.

W Poniedziałek w południe byłem z Naczelnikiem Państwa w Kole Polek na święconem dla zdemobilizowanej młodzieży.

Po śniadaniu odwiedziłem chorych w wojskowym szpitalu; z ramienia Naczelnika Państwa, każdy z nich otrzymał małe prezenty i upominki świąteczne.

Od Wtorku rano rozpoczął się cykl uroczystości — ranny pociąg z Warszawy przywiózł Prymasa Kardynała Dalbora i członków rządu — pociąg spóźnił się o 2 godziny z powodu pożaru na stacji Czeremcha.

Naczelnik Państwa oczekiwał na przyjazd rządu przed Ostrą Bramą.

Uroczystość rozpoczęła się od wręczenia Naczelnikowi Państwa kluczy — definitywnie już naszego, polskiego Wilna. Następnie odbyło się uroczyste nabożeństwo w Ostrej Bramie, skąd Naczelnik Państwa odjechał z Kardynałem Dalborem, w następnym powozie jechałem ja z delegatem rządu p. Sołtanem.

Opowiadano, że część tłumu była pewna, że Naczelnik Państwa jedzie z małżonką — pomyłkę tę przypisać należy czerwonej mantji i okrągłemu niskiemu kapeluszwowi, otoczonemu grubym jedwabnym sznurkiem...

Potem odbyło się uroczyste oddanie władzy przez czasowy zarząd, rządowi Rzeczypospolitej: przemawiał generał Mokszyski, w imieniu byłego zarządu, odpowiedział Naczelnik Państwa; po tej dość długiej uroczystości całe zebranie przeszło pieszo do Katedry, gdzie odśpiewano „Te Deum laudamus“.

Po tych uroczystościach odbyło się w Wilejce poświęcenie sztandaru 35 pułku i następnie śniadanie w kasynie oficerskim.

Wieczorem odbyło się galowe przedstawienie, a następnie raut, wydany przez miasto.

We Środę o 9-ej rano polowa msza, poświęcenie sztandaru, rewja wojskowa i śniadanie w kasynie oficerskim.

W czasie rewji Naczelnik Państwa i członkowie rządu stali na małym podwyższeniu, które podczas przedstawienia częściowo się zapadło i kilku ministrów znalazło się na ziemi — byłem więc naocznym świadkiem „upadku gabinetu“.

Wieczorem Naczelnik Państwa wydał raut, na którym zebrały się tłumy.

We Czwartek od rana do 2-ej trwało przyjęcie deputacyj, przedstawicieli miasta i obywatelstwa; od 2½ do 4 śniadanie u Prezydenta Ministrów, po 4-ej otwarcie „żłobka“, założonego przez Amerykanów, o 5-ej akademja w Uniwersytecie, która trwała do 7-ej. Po skończeniu akademji studenci wynieśli Naczelnika Państwa na rękach.

Od 7½ do 9½ obiad, urządzony przez miasto, na którym popłynął potok mów. Werwą i treścią wyróżniła się mowa Naczelnika Państwa, który rozpoczął mowę „jako syn Wilna“

i w której był zwrot polityczny: „ręka wyciągnięta“ do Litwy Kowieńskiej.

O 10½ rozpoczął się bal ułanów 4 pułku, a o północy w celach służbowych wyjechałem na jedną dobę do Warszawy, po ciągiem, którym odjeżdżali członkowie rządu.

Po powrocie do Wilna spędziłem tam jeszcze kilka dni; dnie te były spokojniejsze, ale jeden z nich poświęcony był szczegółowemu oglądaniu uniwersytetu, którego laboratorja, biblioteka i aule rozrzucone są w 4 dzielnicach miasta. Trwało to około 7 godzin bez przerwy; pierwszy raz w życiu byłem w prosektorjum i widziałem zaformalinowane trupy jako materiał do praktycznych studjów — wrażenie niemiłe i nie wiem, czy wytrwałbym, o ilebym kształcił się w zakresie medycyny.

Po tych oględzinach odbył się u Naczelnika Państwa obiad dla całego grona profesorów i asystentów.

Jestem poniekąd sam „synem Wilna“, ale muszę się przyznać, że ogólne wrażenie, jakie wyniosłem w czasie tej krótkiej podróży, nie było zadawalniające, coprawda będąc służbowo zajęty przez całe dnie nie miałem dużo czasu do ściślejszych obserwacyj, ale rzucał nieprzyjemnie się w oczy i — „uszy“ — poważny wpływ naleciałości rosyjskiej i to, że miejscowa ludność izraelska częściej posługuje się językiem rosyjskim — co jest charakterystyczne; pozatem przy wszystkich uroczystościach na ulicach nie było tak tłumnie, jakby być mogło i powinno, a ludność izraelska prawie się nie pokazywała.

Ale, co jeszcze smutniejsze — dawał się wyczuć rozdźwięk wśród ludności i duchowieństwa katolickiego.

Ówczesny biskup wileński (Matulewicz) był znany jako fanatyczny litwomani; słyszałem z ust jednego z księży wileńskich takie zdanie: ongiś — przed wojną — biskup katolicki w Wilnie, nie mógł piechotą przejść nawet i przez ulicę, a musiał jechać powozem, bo ludek boży całował mu ręce, a nawet i stopy, a dziś znów nie może iść piechotą — w obawie przed obrazą czynną, bo lud katolicki uważa go za agenta bolszewickiego i litewskiego...

Naczelnik Państwa wrócił do Warszawy we środę po Przewodniej Niedzieli, żona i dzieci wysiadły w Sulejówku. Rozpoczęło się znów normalne życie.

Wkrótce z trzech źródeł dowiedziałem się o mojej nowej nominacji; powiedziano mi, że mam być mianowany stałym delegatem naszego rządu do Ligi Narodów, jako członek wojskowej komisji rozbrojeniowej.

Najpierw zakomunikował mi o tem Szef Sztabu, generał Sikorski, dodając, że byłem jego osobistym kandydatem, wkrótce powtórzył to — i w bardzo pochlebnej dla mnie formie — minister wojny generał Sosnkowski, również dodając, że jestem jego osobistym kandydatem, a następnie i Naczelnik Państwa, również oświadczył, że obrał mnie na to stanowisko z pośród kilku proponowanych mu kandydatów.

Na to zameldowałem Naczelnikowi Państwa, że, o ile mi wiadomo, nominacja ta mogłaby nastąpić tylko za zgodą Ligi, bo dotychczas w sprawach rozbrojeniowych mamy tylko jedno miejsce z ramienia Ligi, które zajmuje ks. Sapieha (a następnie jakiś czas ks. Z. Lubomirski), a narazie byłbym tylko wojskowym referentem przy naszym przedstawicielu, bez prawa udziału w posiedzeniach.

Naczelnik Państwa zasięgnął opinii p. Askenazego, który stwierdził, że mam rację.

Nominacja moja na to stanowisko nie doszła więc do skutku — ani wtedy, ani potem, bo kiedy w 1923 r. Polska otrzymała miejsce dla etatowego wojskowego członka, na stanowisko to przez ministra wojny generała Sikorskiego został mianowany były minister generał Sosnkowski, z pozostawieniem go jednocześnie i Dowódcą Korpusu w Poznaniu...

Pracowałem w dalszym ciągu w Belwederze, ciągle pod wrażeniem, że jestem na tem stanowisku tylko prowizorycznie.

Nadeszła wiosna! Z okien mojego gabinetu rozpościerał się prześliczny widok na pokryty świeżą zielenią park. Wieczorami w parku śpiewały słowiki.

Ani ja, ani lokatorzy i pracownicy, spędzający całe dnie, a często i wieczory w tych murach, nie mieli ani czasu, ani nastroju do słuchania słowików, bo wewnątrz tych ścian poza usilną pracą, stale wyczuwało się wielkie napięcie nerwów, w którym nie było miejsca — dla poezji...

W tym czasie zostało wydane polskie tłumaczenie mojej pracy „Nauka Artylerji“, która w Rosji wyszła w 4 wydaniach.

Obchód 3 Maja odbył się bardzo uroczystie.

W tym dniu Naczelnik Państwa osobiście wręczył mi dekret o nadaniu mi komandorskiego krzyża orderu Polonia Restituta — „za pracę na polu nauki wojskowej“. Po uroczystem nabożeństwie w Katedrze, kiedy wracałem z Naczelnikiem Państwa autem przez Krakowskie Przedmieście i Nowy-Świat, tłumy ludzi zalegały ulice, auto posuwało się z wielkim trudem, nastrój tłumu był bardzo owacyjny.

W końcu maja Naczelnik Państwa miał jechać z wizytą do króla Rumuńskiego; uprzedzono mnie, że nie pojedę do Bukaresztu, gdyż ma jechać generał Frankowski. Ostatecznie ze względów wewnętrzno-politycznych, podróż doszła do skutku dopiero we wrześniu i Naczelnikowi Państwa z powodu ciężkiej choroby Generała Fr. towarzyszył inny generał; opowiadano mi później, że miał on w Bukareszcie sporo kłopotów ze swoją francuszczyzną...

W końcu maja jeździłem z Naczelnikiem Państwa do Biedruska na uroczystości wojskowe, bez zatrzymania się w Poznaniu.

W końcu maja, po raz pierwszy, wręczył listy uwierzytelniające posel niemiecki — przedtem był tylko chargé d'affaire — posel przemówił do Naczelnika Państwa po niemiecku, a Naczelnik Państwa odpowiedział mu po polsku.

W Sejmie ogólne zdenerwowanie zwiększało się ustawicznie.

Gabinet Ponikowskiego przeżywał ciężki okres, opozycja prawicowa dawała się wszędzie we znaki.

Głosowanie w sprawie monopolu dało wyniki: 183 głosy na projekt rządowy, 183 przeciw, partja Witosa, licząca około 90 głosów — głosowała przeciw; po kilku dniach odbyło się powtórne głosowanie i mimo, że rząd otrzymał większość około 20 głosów, widocznem było, że dnie gabinetu są policzone, tem bardziej, że jednocześnie były poważne tarcia między Naczelnikiem Państwa i niektórymi ministrami, przeważnie z ministrem spraw zagranicznych p. Skirmuntem na tle naszej polityki na konferencji genewskiej i z ministrem skarbu p. Michalskim, na tle kredytów dla Ministerstwa Wojny.

6 czerwca, po odbytej w Belwederze krótkotrwałej, — trwała tylko pół godziny, — ale burzliwej Radzie Ministrów — gabinet podał się do dymisji.

Sala, gdzie odbywało się posiedzenie Rady Ministrów, znajdowała się prawie obok mojego gabinetu. W czasie posiedzenia Szef Kancelarii Cywilnej siedział w moim gabinecie, po zakończeniu posiedzenia kilku z pp. ministrów przyszło do nas i, o ile dawało się wyczuć, byli mocno podnieceni — jak potem dowiedzieliśmy się, szło przeważnie o stanowisko dwóch ministrów: spraw zagranicznych, p. Skirmunta — w sprawie kierunku naszej polityki — i skarbu p. Michalskiego — w sprawie kredytów na wojsko.

Ustąpienie gabinetu, według mnie, przyniosło państwu bardzo doniosłe w skutki straty ekonomiczne, bo właśnie wtedy rozpoczął się okres ustalania się naszej waluty i miało się wrażenie, że już są podstawy — tak niezbędnego dla naszego ekonomicznego rozkwitu — zaufania i kredytu w zagranicznym kapitale.

Rozpoczął się bardzo zaostrzony nerwowy okres wewnętrznych walk partyjnych, który trwał aż do nowych wyborów do Sejmu.

Kryzys gabinetowy przechodził najróżniejsze fazy i trwał do końca lipca.

Do 25 czerwca szły partyjne przetargi, w Belwederze zjawiali się kolejno członkowie prezydów poszczególnych grup politycznych. W oczekiwaniu kolejki czasami przesiadywali w moim gabinecie, spędzając czas na pogawędce, przeważnie... „o niczem“.

Te codzienne konferencje kończyły się około 2 czy 3-ej w nocy.

W czasie pierwszych dni kryzysu wewnątrz Belwederu wyczuwało się ogólne zdenerwowanie.

Uległ zmianie i zewnętrzny tryb życia; przez pierwszych parę dni panowała niczem grobowa cisza, umilkły bez przerwy alarmujące dzwonki telefoniczne, nie było szeregu kandydatów na audjencje osobiste.

Po paru dniach rozpoczął się na nowo — „ruch w interesie“...

25-go czerwca urodził się nowy gabinet z premierem Sliwińskim, vice-prezesem Rady Miejskiej, któremu przy pierwszym pojawieniu się w Sejmie, 7 lipca, Sejm wręczył wotum nieufności (większością 6 głosów przy trzech wstrzymujących się od głosowania).

Po upadku gabinetu prawica Sejmowa, opierając się na zasadach konstytucyjnych, decyduje się stworzyć gabinet, oddając premierostwo Korfantemu, który 19 lipca przedstawia Naczelnikowi Państwa listę nowego gabinetu, do którego znów mają wejść pp. Michalski i Skirmunt.

Naczelnik Państwa listy tej nie zatwierdza, wysuwając cały szereg zasadniczych wątpliwości natury prawnej.

Sejm wyłania z pośród siebie „Komisję Główną“ pod przewodnictwem marszałka Sejmu, która układa kilka dodatkowych punktów „małej konstytucji“.

W międzyczasie prawica stawia wniosek o wotum nieufności dla Naczelnika Państwa. W głosowaniu 26 lipca wniosek zostaje odrzucony większością 18 głosów (205 przeciw 187).

29 lipca zostały ukończone prace Komisji Głównej.

Zaprobowwała ona powierzenie premierostwa profesorowi doktorowi Nowakowi, desygnowanemu przez Naczelnika Państwa.

Kryzys skończył się.

Gabinet z p. Nowakiem na czele przetrwał do nowych wyborów do Sejmu.

W Warszawie kursował na ten temat dowcip następujący: Francję w swoim czasie ratował gabinet na czele z doktorem medycyny Clemenceau, a Polskę ma ratować — doktor weterynarji (p. Nowak był profesorem uniwersytetu w Krakowie, gdzie wykładał na wydziale weterynarji).

Kryzys skończony, ale skutki i echa pozostały.

Ten, prawie 2 miesięczny okres, był pod bardzo wielu względami zgubnym dla kraju — nasz kredyt i nasza waluta z każdym dniem staczały się wdół...

W murach Belwederu wogóle, a specjalnie co do mnie stworzyła się atmosfera nerwowa; miałem w Belwederze „przyjaciela“, który przychodził do mnie i informował mnie „ściśle

poufnie“, ale z „najpewniejszych źródeł“, że już został mianowany mój zastępca, który obejmie moje stanowisko „za tydzień“, „za kilka dni“, „od 1-go“...

W tym okresie były w moim życiu i inne chwile, które na długo pozostaną w pamięci. Zaliczę do nich zaszczyt, który mnie spotkał, kiedy w lipcu zostałem delegowanym do Gdyni, dla powitania, w Imieniu Naczelnika Państwa, francuskiej eskadry, która pierwszy raz odwiedziła port polski.

W b. Rosji, przez długi szereg lat nosiłem mundur morski, nieraz bywałem przy różnych okazjach na okrętach floty francuskiej, włoskiej, austriackiej — ale, czy mogłem kiedyś marzyć, że spadnie na mnie ten wyjątkowy zaszczyt i honor — reprezentować Najwyższego Dostojnika naszego Państwa, a poniekąd i Polskę — na pancerniku francuskim...

Nie powodowała mną ani próżność, ani ambicja — ale marzenia 30 lat w otoczeniu ideowo wrogiem — gdy większości z pośród nas wydawało się, że nasze pokolenie nie dożyje świetlanej wolności!

Stało się inaczej, pracuję w swoim kraju, wśród swoich i dożyłem tej chwili, kiedy eskadra francuska stoi w naszym polskim porcie i wita mnie, jako generała polskiego — podniesieniem polskiej bandery i odegraniem hymnu naszego!

Na pancerniku witają mnie w galowych strojach — admirał, oficerowie, załoga.

Pierwszy raz wolna Polska ma swojego urzędowego reprezentanta na eskadrze okrętów francuskich.

Gdy m odejdział, dano 17 salw armatnich; jest to forma pożegnania, stosowana jedynie wobec najwyższych dygnitarzy.

Takie chwile pozostają na długo w wdzięcznej pamięci...

W południe odbył się obiad na naszym torpedowcu, a wieczorem bal dla Francuzów w hotelu Riwiera — wtedy jedynym jeszcze w Gdyni.

Nazajutrz miał odbyć się bal na francuskim pancerniku, ale wróciłem już do Warszawy razem z francuskim admirałem Conti i jego sztabem. Admirał przyjechał złożyć wizytę Naczelnikowi Państwa i zwiedzić Warszawę.

Przytoczę tu jeszcze drugi fakt, który miał miejsce już późną jesienią i również pozostał mi w pamięci. Mam tu na

myśli ostatnie chwile generała Iwaszkiewicza, który umarł w strasznych męczarniach z powodu raka w głowie.

Gdym zameldował Naczelnikowi Państwa, że generał nieuleczalnie chory, wyrwało mu się — „Chryste Jezu“...

Bodaj w dniu śmierci udekorowałem go, z polecenia Naczelnika Państwa, krzyżem *Virtuti Militari* 2-ej klasy. Był on pierwszym w Polsce, który otrzymał krzyż tej klasy.

Całe otoczenie, wraz ze mną, które stało u łóża jego, było do głębi przejęte, gdy po zawiązaniu mu przeze mnie na piersiach dużego krzyża, zwrócił się do mnie ze słowami — „wi-docznie już umieram, Generale“.

Generał Iwaszkiewicz cieszył się zasłużoną sympatją i popularnością; przez cały czas swoje służby składał dowody nie tylko męstwa i odwagi, ale i żołnierskiej subordynacji. Poznałem go jesienią 1917 r. przez parę miesięcy pracował ze mną w Naczelu w Piotrogradzie.

Kiedy oswobodził się wakans dowódcy 3 Dywizji (po Generale Leśniewskim) w naszym I-szym Korpusie, gen. Iwaszkiewicz wyjechał do sztabu generała J. Dowbór Muśnickiego.

Z wybitnych jego czynów znany jest przemarsz na czele 3 Dywizji w styczniu 1918 r. przez zbolszewiały kraj, a następnie obrona Lwowa.

We Lwowie generał cieszył się ogólną sympatją, Rada Miejska postanowiła prosić, by go tam pochowano, mimo, że pierwsze jego wystąpienie nie grzeszyło wersalskością. Opowiadał mi kiedyś generał Iwaszkiewicz, że przy obejmowaniu Dowództwa zastał miasto w niesłychanie brudnym stanie. Zaprosił więc członków magistratu i zwrócił ich uwagę na konieczność jak najprędzszego doprowadzenia wszystkiego do porządku.

Gdy mu na to odpowiedziano, że samo przez się to będzie zrobione, ale narazie brakuje pieniędzy na szybkie oczyszczenie miasta, Iwaszkiewicz odparł: nie wiem, jakie będą konsekwencje dla mnie, ale muszę Panów uprzedzić — że o ile miasto nie zostanie w przeciągu 48 godzin doprowadzone do porządku, będę zmuszonym kilku z pośród panów — powiesić!...

Porządek był zrobiony...

Wybory do Sejmu i Senatu zostały wyznaczone na początek listopada, ale kampanja wyborcza rozpoczęła się już od lata.

W pierwszych dniach sierpnia Naczelnik Państwa wyjechał do Krakowa na uroczystość rocznicy wystąpienia Legionów w 1914 r. Pozostałem w Warszawie.

Wkrótce po powrocie Naczelnika pojechałem z nim do Głębokiego na uroczystość 13 pułku ułanów, a potem spędziłem kilka dni w Wilnie.

Z okolicami Głębokiego łączą mnie wspomnienia z lat dziecinnych — przez długi szereg lat jeździłem do zacisznego dworku w Michałowie, do którego wtedy od najbliższej stacji kolejowej (Święciany) było zgórą 100 kilometrów.

Tyle wspomnień ciśnie się do głowy! Nie byłem w tych okolicach blisko 30 lat i stwierdziłem, że mało co się zmieniło na lepsze od tamtego czasu, wprost przeciwnie... ma się wrażenie, że ten zakątek kraju jeszcze więcej zbiedniał.

Kiedy dojeżdżaliśmy do Woropajewa, pociąg zatrzymał się, bo lokomotywa była za słabą i nie mógł przeforsować przejazdu przez wzgórze. Asystujący w pociągu inżynierowie byli bardzo speszeni, ale po kilku próbach udało się „wziąć tę przeszkodę“ i ruszyliśmy dalej.

W Głębokiem Naczelnik Państwa, zwiedzając stację telefoniczną Kontroli, kazał się łączyć z różnymi placówkami pogranicznymi: poszło z tem niepomyślnie...

W Wilnie i Wilejce odbył się również cały szereg wojskowych uroczystości. W samym Wilnie naogół przyjęcie było cieplejsze, więcej ludzi na ulicach przy przejazdach, więcej, niż to było w czasie naszego pobytu wiosną, ożywienia.

Któregoś dnia wracaliśmy samochodami z Wilejki; samochód Naczelnika Państwa raptownie zatrzymał się, jechałem w następnym, groziło nam, że możemy nalecieć na samochód Naczelnika Państwa, mój szofer raptownie skręcił, koła samochodu zawisły nad stromem urwiskiem i tylko szczęśliwy traf uratował mnie i adjutanta Horodeckiego od katastrofy...

W kraju wyczuwał się nastrój nerwowy, złączony ze zbliżającymi się nowymi wyborami do Sejmu.

Do Belwederu ciśnie się na audjencję coraz więcej osób ze sfer politycznych, a nawet i apolitycznych; bywały dnie, kiedy ostatni „gość“ wychodził od Naczelnika Państwa o 4 rano.

25 sierpnia wyjechaliśmy na Śląsk, który tylko został obsadzony przez nasze wojska.

Podczas jednej z licznych podróży inspekcyjnych, raz w nocy, obchodząc pociąg jako komendant, przyłapałem całe towarzystwo, grające hazardowo; okazało się, że to urzędnicy przydzieleni do eskorty Naczelnika Państwa, skracają sobie w ten sposób czas podróży...

Z wielką ciekawością jechałem na Śląsk, którego nigdy przedtem nie widziałem, pozatem ciekawem było, jak zareaguje na pierwszy przyjazd Naczelnika Państwa miejscowa ludność. Duże wpływy polityczne miały tu partje przeciwne rządowi i można było również oczekiwać ukrytych prowokacyjnych wystąpień wrogich nam elementów niemieckich.

Uroczystości rozpoczęły się od przyjazdu do dawnej granicy ze Śląskiem — stacji Herby — gdzie do pociągu wsiadł wojewoda.

Pociąg zatrzymał się w Łubieńcu, gdzie odbyły się stosownie do programu: powitania na stacji, msza polowa, defilada, dekoracja odznaczonych powstańców, śniadanie, urzędowe przemówienia.

Wszystko odbyło się bez entuzjazmu, ale correct.

Samochodami — Naczelnik Państwa ze mną — pojechaliśmy przez Tarnowskie góry, gdzie stoi 3 pułk Warszawskich ułanów, który nas powitał na szosie. Zgodnie z programem podróży, najpierw pojechaliśmy do Skrebnicy dla zwiedzenia huty srebrnej i stamtąd już o zmroku wróciliśmy do 3 pułku ułanów, gdzie byliśmy w Kasynie oficerskiem na krótkim przyjęciu. Naczelnik Państwa nie mógł dłużej zabawić w gronie oficerów i ich rodzin, bo trzeba było zdążyć jeszcze do Piekar, gdzie jest obraz Matki Boskiej Cudownej; czekały nas tłumy publiczności i liczne duchowieństwo.

Odbyło się krótkie nabożeństwo, potem zwiedzanie klasztoru i przyjęcie u proboszcza.

Wyjechaliśmy z Piekar do Katowic po 8-ej.

Miejscowość na Śląsku sprawia wrażenie imponujące w dzień, jako ośrodek bardzo rozwiniętego przemysłu, ale w nocy wrażenie to jest jeszcze potężniejsze: widać naokoło — gdzie oko sięgnie — ogniska fabryk! Przypomniało się to, co się wi-

działo w Anglii, w Belgji — i serce rosło, patrząc na ten nasz polski Manczester, Szefield, Liege...

Obyśmy tego wielomiljardowego skarbu narodowego — nie zmarnowali!...

Jadąc do Katowic, musieliśmy pilnie uważać, by przypadkiem nie przekroczyć granicy niemieckiej, gdyż w kilka dni przed naszym przyjazdem grupkę oficerów francuskich, jadącą wieczorem do Katowic, która przekroczyła granicę — aresztowano.

Dopiero około 11 wieczór byliśmy w naszym pociągu, który przybył do Katowic.

Następny dzień w całości był poświęcony uroczystościom.

Rozpoczęło się od powitania na dworcu przez władze wojskowe, cywilne, duchowieństwo, delegacje, potem uroczysty wjazd do miasta powozami z eskortą, msza polowa na Rynku, dekorowanie odznaczonych powstańców, defilada wojsk i organizacyj górniczych (pierwszy raz widziałem oryginalne stroje galowe naszych śląskich górników), śniadanie w starostwie, audjencji zbiorowe i osobiste.

Około 5-ej nastąpił wyjazd samochodami do Czeladzi, jechałem z Naczelnikiem Państwa; gdyśmy podjeżdżali do fabryki Saturn, gdzie mieliśmy zatrzymać się (fabryka już na terytorjum Kongresówki), Naczelnik Państwa poznał w witającym go tłumie dyrektora fabryki z jego pomocnikami, wśród których był jeden, jak okazało się dawny Jego znajomy, który przed 15 laty, z narażeniem życia, przewoził Naczelnika Państwa właśnie z fabryki Saturn na Śląsk.

Naczelnik Państwa zaprosił go do naszego samochodu i po krótkim zatrzymaniu się w świetlicy, gdzie na nas czekano, sam zaprosił się do swojego starego znajomego.

W małym, przytulnem mieszkaniu spędziliśmy sporo czasu na serdecznej, cieplej rozmowie. Przy pożegnaniu gospodarz prosił go, żeby znów pojechał z nami do mostu, do którego przed 15 laty, dowiózł w nocy obecnego Naczelnika Państwa.

Tłumy ludzi czekały na nas przy wyjściu i żegnały owacyjnie.

Na moście rozstaliśmy się.

Musieliśmy śpieszyć do Katowic. Naczelnik Państwa miał się przebrać w galowy mundur na obiad, który urządzał wojewoda w „Reichshalle“ i wkrótce po tym obiedzie w tymże lokalu odbył się raut.

Trwało to wszystko prawie do północy.

Jeszcze zrana starosta i wojewoda prosili Naczelnika Państwa, by spędził noc nie w pociągu, a w gmachu starostwa. Naczelnik Państwa zgodził się; nocowałem w pokoju, sąsiadującym z jego apartamentem.

Ze snem poszło nie najlepiej, bo bez względu na to, że był ciepły sierpniowy wieczór — znalazłem u siebie zamiast materaców pierzynę, dano mi również pierzynę jako kołdrę, co niezbyt usposabiało do snu...

Wczesnym rankiem nastąpił wyjazd samochodami do Rybnika, gdzie miała się odbyć msza polowa, w drodze zatrzymaliśmy się na krótko u ks. infułata Kapicy, który gościnnie podejmował nas rannem śniadaniem.

O 11-ej w Rybniku odbyła się msza polowa, dekorowanie odznaczonych powstańców, defilada, śniadanie w starostwie i wyjazd samochodami do Pszczyny. Jechałem z Naczelnikiem Państwa. Był śliczny słoneczny dzień. W drodze zatrzymywaliśmy się dwukrotnie, przytem raz w Brzezynie, gdzie z pagórka widzieliśmy Odrę i granicę obu państw — Czech i Niemiec.

Przed oczyma rozścielał się śliczny widok. Myśl biegła do przeżyć dni minionych, tej tak drogiej każdemu Polakowi polaci ziemi polskiej, która przez szereg wieków żyła pod jarzmem bezwzględного terroru niemieckiego.

Miejscowy proboszcz opowiadał nam o tych katuszach i znęcaniu się niemieckich hakatystów nad Ślązakami, którzy dążyli do połączenia się z Polską. — Drugi postój odbył się w Żarach, gdzie znów odbyła się rewja wojskowa, defilada i bardzo gościnne przyjęcie w mieszkaniu miejscowego burmistrza (podano nawet szampana).

Na godz. 6 m. 30 przybyliśmy do Pszczyny, znów dekoracja, defilada i bardzo elegancki obiad w pałacu nieobecnego księcia Pleskau; wszystko odbyło się z wielkim taktem i z serdeczną gościnnością.

Coprawda zaszła jedna zabawna gaffa.

W czasie przygotowań do defilady, burmistrz Pszczyny „bawił” Naczelnika Państwa rozmową i słyszałem, jak mu mówił, „że szkoda, że nie przyjechaliśmy trochę wcześniej, bo dopiero przed kilkoma dniami została usunięta brama powitalna, wystawiona na powitanie przybyłych tu wojsk polskich”.

Wieczorem byliśmy u siebie w pociągu, a zrana w Warszawie.

W czasie tej podróży, czytając miejscową prasę, upewniłem się, że organa z obozu wrogiego Naczelnikowi Państwa (na czele którego stał poseł Korfanty) drukowały w tym czasie szereg artykułów, nie tylko ubliżających godności Naczelnika Państwa, ale wprost brutalnych — i że jednocześnie była to „woda na młyn” naszych nieprzejednanych wrogów politycznych — niemieckich szowinistów...

W Warszawie z organów prasy „Belwederskiej” dowiedziałem się o „rychłym ustąpieniu generała Jacyny”. Miałem wrażenie, że niektórym osobom bardzo zależało na tem, żeby zmusić mnie do podania prośby o zwolnienie ze stanowiska.

Wobec tego, że ze mną osobiście nic nie mówiono — byłem zdecydowany czekać do końca. 57 wiosen dało mi pewne wyrobienie życiowe — przeżywałem w życiu sporo najrozmaitszych chwil — ciężkich i smutnych.

Z czasów szkolnych utkwił mi w pamięci fakt, przytoczony w historii wojen na morzu: przy zatonięciu w czasie boju jednego z okrętów włoskich — załoga częściowo ratowała się, częściowo ginęła; na pokładzie przy banderze pozostał tylko młody gardemarynarz (aspirant), który do ostatniej chwili trwał na stanowisku i strzelał, nie dopuszczając zdjęcia flagi; ostatnie strzały dawał, trzymając ręce nad głową, bo już cały był we wodzie — ale do ostatniej chwili trwał i — wytrwał na stanowisku!...

Jak przy otrzymaniu tego tak wybitnego stanowiska, — o zajęcie którego nie robiłem absolutnie żadnych zabiegów, tak i będąc na stanowisku, czekałem jako wojskowy rozkazu, nie uważając, bym miał prawo usunąć się dobrowolnie, bez względu na ewentualne korzyści: bo, gdybym był wolny, mógłbym wszcząć intensywne starania o wybranie mnie do Sejmu lub Senatu, a praca ta była zawsze mojem marzeniem.

Muszę tu dodać, że cała ta atmosfera, którą stworzono wokoło mnie, mocno mnie męczyła i denerwowała...

Odkładany od maja wyjazd do Rumunji, doszedł do skutku dopiero 12 września; Naczelnik Państwa wrócił 18-go.

Ani ja, ani Szef Kancelarii Cywilnej nie wyjechaliśmy do Rumunji, o pobycie tym wiem tylko z opowiadań otoczenia. Osobiście Naczelnik Państwa opowiadał mi, gdy po Jego powrocie jechałem z nim z dworca do Belwederu, o przykrym wypadku: w czasie manewrów artylerji przedwcześnie wybuchł pocisk — byli ranni i zabici. Ale, sądząc ze słów Naczelnika Państwa, ogólne wrażenie było bardzo dobre, przyjęcie odbyło się w letniej rezydencji królewskiej w Sinaji. Naczelnik Państwa spędził przeważnie czas w bardzo ścisłym gronie rodziny królewskiej.

W czasie pobytu Naczelnika Państwa w Rumunji jeździłem wraz z p. Carem automobilem do Białowieży, celem wizytacji pałacu, który przechodził do dyspozycji Naczelnika Państwa i gdzie miały się odbywać odtąd przyjęcia w czasie polowań reprezentacyjnych.

Jechałem przez Wyszków, Bielsk, wracałem przez puszcze, Brześć, Siedlce.

Przez cały czas przemilej podróży doskonale mi dopisywała pogoda.

Pierwszy raz byłem w puszczy białowieskiej i mieliśmy możność zwiedzić nawet kawał „prawdziwej“ puszczy. Mimowoli przychodziły na myśl fragmenta z Mickiewicza, opisujące te mało znane tajniki...

„Któż zbadał puszcze litewskich przepastne krainy?!“...

Co za ukojenie nerwów, po trybie życia pełnym podniecenia, niepokoju, goryczy i zawodów!

Kiedyś, dawno, dawno, za lat młodzieńczych doznawałem takiego samego błokiego uczucia i oderwania od trosk życiowych — na morzu, kiedy w słoneczny spokojny dzień, przy cichym wietrze, jechaliśmy pod żaglem, i nie widziało się nic oprócz bezbrzeżnej przestrzeni i błękitu nieba, i kiedy wszystko, co się dzieje tam na dalekim lądzie, wydaje się tak maluczkie, mało ciekawe — i myśl odrywa się od powszedniej prozy codziennej.

Nigdy i nigdzie nie doznaje się takiego wytchnienia po przeżyciach życiowych, jak na morzu, a poczęści i w naszych lasach litewskich...

„Pałac“ w Białowieży, coprawda, okazał się „pod psem“. Przygotowano dla mnie „jeden z najlepszych pokoi“, zajmowany ongi przez starszą córkę cesarza rosyjskiego, ale brakło tam literalnie wszystkiego, zaczynając od wygodnej pościeli, firanek, dzwonka, a nawet i wody.

Najlepszą część domu zajmował wtedy „Generał“ Bałachowicz; w tymże gmachu mieściły się i zbiory muzealne.

Spędziliśmy tam dwa dni. W następnym dniu zwiedziliśmy w Chajnówce fabrykę przetworów chemicznych, technicznie bardzo ciekawą.

Po powrocie Naczelnika Państwa nastąpił znów szereg krótkich wyjazdów reprezentacyjnych, w czasie których czas był zajęty od najwcześniejszego ranka do późnej nocy.

W okresie koniec września — listopad byliśmy dwa razy w Wilnie i na Wołyniu, zatrzymywaliśmy się w Krzemieńcu, Łucku i Zamościu.

Każda z tych podróży miała swoje odrębne cechy.

Wycieczkę na Wołyń rozpoczęliśmy od Krzemieńca, w którym nigdy przedtem nie byłem. Zatrzymaliśmy się w gmachu Liceum Krzemienieckiego, zwiedziliśmy kościół, cerkiew i synagogę.

Pierwszy raz byłem świadkiem modłów metropolity prawosławnego, modlącego się o „pomyślność Państwa Polskiego i Naczelnika Państwa“, a następnie znów po raz pierwszy znalazłem się w szczelnie zapełnionej synagodze, gdzie zebrany tłum śpiewał po polsku „Boże, coś Polskę“...

Coprawda z wyższymi dygnitarzami cerkwi prawosławnej w Polsce już spotkałem się w Warszawie, ale na innym gruncie — na obiedzie, który wydał premier Ponikowski z racji przyjęcia przez zjazd biskupów prawosławnych „autokefalji“ — autonomicznego zarządu spraw duchownych, niezależnych od patriarchatu rosyjskiego.

Charakterystycznym było, że zaproszenia były warunkowe — obiad dojdzie do skutku, o ile akt ten zostanie podpisany.

Tego dnia w czasie obiadu miałem ciekawych sąsiadów — metropolitę Dionizego, który wkrótce na tle zemsty osobistej został zabity przez jednego z księży prawosławnych. Mówił on poprawnie po polsku. Z drugiej strony siedział były archirej „Poczajewskiej Ławry“, tak jeszcze niedawno zdecydowany wróg Polaków...

W Krzemieńcu, w murach liceum dawał się we znaki brak mebli i wszelkiego komfortu; całodzienny pobyt w tych — wilgotnych wtedy — murach był męczący, ale ogólne wrażenie dobre; odczuwało się przeszłość, widziało się naocznie ślady jeszcze przedrozbiorowej kultury polskiej.

W międzyczasie zdążyliśmy zwiedzić ruiny zamku królowej Bony, skąd roztaczał się śliczny widok na górzystą okolicę.

Urzędowe przyjęcia — szablonowe. W nocy wyjechaliśmy do Łucka.

W tym dniu pracowaliśmy od najwcześniejszego ranka do późnej nocy.

W drodze od wczesnego ranka przy postojach na stacjach wychodziłem witać w Imieniu Naczelnika Państwa oczekujące nas delegacje.

Przebieg uroczystości w Łucku był mniej więcej podobny, po nabożeństwie Naczelnik Państwa był z wizytą u biskupa Dybowskiego.

Pobyt w Krzemieńcu i Łucku naogół pozostawił dobre wrażenie, chociaż z mego punktu widzenia wszystko nosiło cechę urzędowo-formalną i nie wyczuwało się żywszego udziału sfer społecznych. I najbliższa przyszłość wskazała, że faworyzowana przez rząd lista wyborcza (Nr. 16) miała kompletne fiasco.

Nazajutrz rano po krótkim zatrzymaniu się w Lublinie, przyjechaliśmy do Zamościa, który mi wprost zaimponował; byłem również pierwszy raz w tym mieście, wszędzie widać wyraźne ślady naszej polskiej wiekowej kultury — każdy musi tam przyznać, że Polska nie jest „parwenjuszem“ w gronie narodów z wielowiekową kulturą.

Budynki, oblegające rynek, tak samo, jak i w małych miastach Italji i Francji — to świadectwo wieków.

Opowiadano mi, że biblioteka Zamojskich w Zamościu zaimponowała nawet obecnemu papieżowi Piusowi XI, który sam przez dłuższy czas był bibliotekarzem w Watykanie.

Przez cały czas naszej podróży były ładne dni; poza urzędowymi uroczystościami — przeważnie w Zamościu — wyczuwała się pewna zaakcentowana rezerwa ze strony sfer społecznych, prawie zupełny brak obywatelstwa ziemiańskiego, jak również i pewna oględność w przemówieniach kleru duchowieństwa katolickiego.

Poniekąd ślady pewnej rezerwy odczuwało się w czasie naszej podróży do Wilna, gdzie bawiliśmy od 31 października do 2 listopada.

Uroczystości wojskowe w Wilejce i w Uniwersytecie im. Stefana Batorego, gdzie Naczelnikowi Państwa wręczono akt o mianowaniu go doktorem honorowym matematyki, odbyły się godnie, ale w czasie przyjęć szeregu deputacyj i na raucie, na którym było może blisko 1000 osób, wyczuwało się, że towarzystwo nie było zgrane.

Najmilsze wrażenie wywarła na mnie rzewna uroczystość składania wieńców na mogiłach naszych żołnierzy na cmentarzu na Rossie.

Po solennem nabożeństwie w Katedrze procesja licznym tłumem ruszyła na cmentarz. Brałem również udział w pochodzie, jako reprezentant Naczelnika Państwa, który przyjechał później. Ksiądz biskup Bandurski wygłosił wzruszające kazanie.

Był to mój ostatni służbowy wyjazd.

W końcu września otrzymałem zawiadomienie o przygotowującym się zamachu na Naczelnika Państwa, zakomunikowałem o tem Ministrowi Spraw Wewnętrznych.

Ogólna europejska atmosfera publiczna staje się coraz więcej wyraźna.

W tym okresie bawił w Warszawie w drodze zagranicę Cziczerin. Naczelnik Państwa konferował z nim jakąś godzinę (Cz. pozostawił bilet wizytowy i dla mnie).

Nigdy nie rozmawiałem z Cziczerinem. Kiedy w styczniu 1918 r. projektowaliśmy (członkowie Naczwola) odwiedzić go w Smolnym w sprawie naszych zatargów z ich „gławkowierchem“ Krylenko — sprzeciwiałem się temu i postanowiłem prze-

prowadzić rozmowę bezpośrednio z Leninem, co też nastąpiło w końcu stycznia. Bo Cziezerin — „inteligent rosyjski“ z tradycji i wychowania szlachcic rosyjski — pracujący na zgubę własnego narodu w gronie bądź fanatyków międzynarodowych komunistów, bądź pewnego rodzaju sadystów na tle nadludzkich znęcań terrorystycznych, był dla mnie zawsze wysoce niesympatycznym, przy całej swojej „ideowości“...

Lloyd George dostał votum nieufności i został usuniętym od władzy; zgubne dla naszych spraw jego wpływy, narazie, zmalały...

Po niefortunnym wyniku konferencji w Genui, a następnie i Haadze, sprawy Ententy nie polepszyły się. Niemcy powoli znów zaczynają odgrywać coraz większą rolę w „koncercie europejskim“.

We Włoszech definitywnie zwycięża Mussolini, w październiku odbywa się sławny pochód faszystowski na Rzym.

W Grecji król Konstanty abdykuje, syn jego następcą tronu wkrótce umiera — od ukąszenia małpy, którą się bawił. Ojciec wraca do Grecji, ale nie na długo, bo zmuszony rewolucją — opuszcza kraj.

Rząd rewolucyjny w Grecji skazuje na śmierć премьера i byłych ministrów.

Życie towarzyskie w Warszawie płynęło trybem normalnym, odbywały się liczne przyjęcia towarzyskie, nie mówiąc już o najróżnorodniejszych przyjazdach przedstawicieli różnych narodów. Weszło to już w pewną normę, wyrobiły się pewne szablony i coraz rzadziej zdarzały się „gaffy“, których z początku nie brakowało.

Na zakończenie chcę przypomnieć o jednym fakcie, może i nie wszystkim znanym. Angielskie poselstwo w Polsce otrzymało w spadku, po zmarłym jeszcze przed 90 laty angielskim lordzie — całą zastawę stołową ze srebra.

Ów przyjaciel naszego narodu był względem nas wielkim optymistą — bo w testamentie zastrzegł, że jego spadkobiercy będą w posiadaniu tego srebra tylko w okresie niewoli narodu polskiego, a z chwilą odzyskania wolności przez Polaków, srebro musi być odesłane do stolicy Polski i stać się ma własnością Poselstwa Angielskiego w Polsce.

Zostałem zaproszonym na obiad do Poselstwa Angielskiego, gdzie pierwszy raz znalazła się na stole cała zastawa, z tego artystycznie wykonanego srebra. Uprzejma i miła żona posła, obok której siedziałem, opowiedziała mnie genezę otrzymania tej wspaniałej zastawy na kilkadziesiąt osób.

Nadchodził 5 listopad — dzień wyborów do Sejmu!

Nie było w społeczeństwie, ani nawet wśród sfer rządowych rozbieżności w opinii co do smutnych wyników 4-letniego okresu działalności pierwszego Sejmu, a mnie się wydawało, że powszechne niezadowolenie i rozczarowanie z Sejmu „suwerenno-ustawodawczego“ spadało nie tylko na samych byłych członków Sejmu, ale również i na cały rząd.

Z 432 „plenarnych“ posiedzeń, które odbyły się przez 3½ letni okres działalności tego Sejmu całokształt dorobku był nieobfity, i dałby się w ten sposób sformułować: góra porodziła mysz!

Działalność pierwszego „suwerennego“ Sejmu musi doczekać się wyczerpujących podstawowych monografij, na tle ściśle rzeczowym; ale wśród społeczeństwa to stałe zacierzewienie wąsko-partyjne, reagowanie na sprawy wielkiej doniosłości państwowej, z punktu widzenia — prywaty, wyzyskiwanie swoich wpływów w sprawach, nawet nie tylko partyjnych, ale — i osobistych, których pointą były różne — „koncesje“ i t. p. wywoływały ogólne uczucie smutku i goryczy...

Kto, jak ja, był na sali sejmowej w lutym 1919 r. na otwarciu pierwszego Sejmu i 28 listopada 1922 r. przy otwarciu nowego Sejmu i Senatu, nie może nie skonstatować, że w 1919 r. Komendant Piłsudski został jednogłośnie ze szczerym entuzjazmem wybrany na Naczelnika Państwa, a w 1922 r. część Sejmu i Senatu — „prawica“ zachowała się nie tylko wrogo, a nawet wprost niekulturalnie, bo przy otwarciu przez niego Sejmu, przy jego odejściu, z prawicy nikt nie powstał...

Rezultaty nowych wyborów do Sejmu w gruncie rzeczy nie zadowolniły ani lewicy, ani prawicy — nie było zwycięzców, a tylko zwyciężeni.

Mandaty podzieliły się tak, że żadna z partyj nie otrzymała większości i w tych warunkach decydującym czynnikiem, przy rozstrzyganiu najaktualniejszych spraw narodowych — bę-

dą nadal „mniejszości narodowe“, które stały się „języczkiem u wagi“, decydując o losach głosowania.

W pierwszym Sejmie rolę „języczka u wagi“ odgrywała partja „konstytucyjno-demokratyczna“ — nieliczna, bo składająca się tylko z 14 — 16 osób, ale mająca w swoim zespole ludzi tak wybitnej inteligencji i kultury, jak arcybiskup Teodorowicz, hr. Bawarowski, D. Abrahamowicz, profesorowie Stesłowicz, Halban i inni.

A interesa obecnych grup mniejszościowych często nietylko nie idą po linii potrzeb państwowości polskiej, lecz nawet pozostają z niemi w sprzeczności.

Te same nieudane rezultaty wyborów były i do Senatu.

Ogólny rezultat wyboru 444 posłów przedstawiał się następująco: około 188 z bloku lewicowego (lewica i partja Witos), około 170 — prawica i około 86 „dzikich“ (izraelici, niemcy, ukraińcy, białorusini, komuniści).

Po ujawnieniu wyniku wyborów zaczynają się przetargi polityczne co do osoby przyszłego Prezydenta Rzeczypospolitej.

Mobilizacja sił wskazuje, że przy wyborach Prezydenta, na 555 głosujących (444 członków Sejmu i 111 senatorów) lewica i prawica mogą liczyć każda na zapewnionych 219 głosów, a wybór osoby zadecyduje „mniejszość narodowa“.

Wybory Prezydenta zostały wyznaczone na 9-go grudnia. Następuje ostatni okres mego pobytu w Belwederze.

Ostatnie tygodnie w Belwederze były bardzo gorączkowe.

28 listopada asystowałem Naczelnikowi Państwa przez cały dzień; po uroczystem nabożeństwie w Katedrze odbyło się otwarcie Sejmu i Senatu.

Po otwarciu Sejmu zdenerwowanie ustąpiło — miało się wrażenie, że, jak w czasie choroby — pękł wrzód.

W mieście wymieniano codziennie innych kandydatów na Prezydenta. Opowiadano, że Witos stawia jako warunek połączenia się swojej partji z lewicą — wybór jego na Prezydenta. Wymieniano nazwisko marszałka Trąpczyńskiego, ordynata Zamoyskiego, b. ministra spraw wewnętrznych Wojciechowskiego, ministra spraw zagranicznych Narutowicza, generała

Sosnkowskiego, byłego premiera Ponikowskiego — szanse każdego zmieniały się przynajmniej po kilka razy...

2 grudnia ugrupowania lewicowe przybyły do Naczelnika Państwa z propozycją przyjęcia kandydatury na Prezydenta. Naczelnik Państwa nie daje decydującej odpowiedzi, a zaprasza na 4 grudnia posłów do Prezydium Ministrów, gdzie ma do zebranych godziną przeszło mowę, w której definitywnie odrzuca propozycję; nie byłem z nim na tem posiedzeniu; pojechał p. Car.

Od tej chwili w Belwederze rozpoczynają się przygotowania do urzędowych pożegnań Naczelnika Państwa.

Na 6 grudnia Naczelnik Państwa zaprosił do siebie cały Korpus Dyplomatyczny; było dwa przemówienia: Naczelnika Państwa i nuncjusza Lauri, jako z urzędu dziekana korpusu dyplomatycznego, następnie „cercle“ i wspólna herbatka.

Po zakończeniu ogólnego przyjęcia Naczelnik Państwa zatrzymał posłów: francuskiego — p. Panafieu, amerykańskiego — p. Gibsona, angielskiego — p. Max Mullera i włoskiego — p. Tomasini, rozmowa z nimi potrwała jeszcze z parę godzin.

Ten dzień jest dla mnie osobiście pamiętny dlatego jeszcze, że po 4 zgorą latami, doczekałem się w Warszawie własnego mieszkania i z Belwederu pojechałem już nie do hotelu Bristol, ale do siebie.

To, co — pod względem mieszkaniowym — przeżyło się w Warszawie przez 4 lata — nie spisałbym na wołowej skórze.

Hotel, potem pensjonat, dwa zrzędu „zarekwirowane“ mieszkania (i jak już wspomniałem — niech nas Bóg dobry wybawi od tej plagi), znów aż przez 2½ lata hotel, gdzie przez jakiś czas, nie mieliśmy dwóch pokoi obok siebie i, przez kilka miesięcy, musieliśmy mieszkać z żoną na różnych piętrach; szereg wstępow, jakie mi czyniono, nim doszedłem do mieszkania, kłopoty z remontem lokalu, nieodświeżanego zgorą 15 lat...

Mówiłem żonie, że to Pan Bóg karze nas „za pychę serca“, bo w Petersburgu od dnia ślubu do chwili ucieczki od bolszewików mieszkaliśmy w tym samym domu i mieliśmy przez 23 lata bez przerwy bardzo wygodny lokal, składający się z 10 pokoi...

8 grudnia odbyła się w Belwederze pożegnalna herbatka dla najbliższego otoczenia, byliśmy oboje z żoną, trwało to od

g. 9 do 12, było wielkie ożywienie i Naczelnik Państwa był w najlepszym humorze. Po 12-ej, o ile sobie przypominam, miały się odbyć jeszcze konferencje Naczelnika Państwa z paru osobami.

Wybory na Prezydenta odbyły się 9 grudnia. Ponieważ w przyszłości może to zainteresować niektórych z czytelników, więc przytaczam cyfrowe wyniki próbnych głosowań, których odbyło się 5 — o wynikach nam ciągle telefonowano — po każdym odpadał jeden z 5 ogłoszonych urzędowo kandydatów.

Głosowania:

	I	II	III	IV	V
p. M. Zamoyski	222	228	228	224	228
p. G. Narutowicz	62	151	158	174	287
p. S. Wojciechowski	105	152	150	146	0
p. Bodouain de Curtenay	103	10	5	0	0
p. Daszyński	49	11	0	0	0
„białych“	5	4	3	2	29

Przypominam sobie dokładnie, że w przerwie między 2 a 3 głosowaniem przyjechał do Belwederu p. Narutowicz, ówczesny minister spraw zagranicznych i prosił mnie o niezwłoczną audjencję u Naczelnika Państwa, oświadczając przytem nam wszystkim, że stanowczo chce wycofać swoją kandydaturę — ale do tego nie doszło, i jak widać z wyników przy piątym głosowaniu zostaje on obranym większością 59 głosów.

Jedno z pierwszych powinszowań, które w tymże dniu otrzymał z zagranicy nowy Prezydent nadeszło z Paryża od ordynata hr. Zamoyskiego, który składa mu życzenia owocnej pracy.

11 grudnia w południe odbyć się miało w Sejmie uroczyste złożenie przysięgi, ale już od chwili, kiedy wyniki wyborów doszły do publicznej wiadomości, w mieście rozpoczyna się agitacja prawicowa na wielką skalę. Od rana na ulicach, przylegających do Sejmu zebrały się tłumy, z których dochodzą okrzyki protestu. Na jednego z najstarszych wiekiem senatorów z partji lewicowej, rzucono się z laskami.

Jeszcze 10-go, kiedy byłem razem z Naczelnikiem Państwa na raucie w pułku szwoleżerów, z racji pułkowego święta, dowódca pułku w mojej obecności otrzymał wyczerpujące in-

strukcje dla eskorty nowego Prezydenta z jego mieszkania do Sejmu i z powrotem już do Belwederu (nowy Prezydent jako minister mieszkał w jednym z rządowych gmachów w Łazienkach, bo budowany przez niego dom mieszkalny nie był jeszcze ukończony).

O 12 godzinie 40 minut zatelefonowano z Sejmu do Belwederu, że przysięga została podpisana przez Prezydenta.

O godz. 1-ej minut 15 znów telefon — że tłum nie wypuszcza nowego Prezydenta z gmachu Sejmu.

Natychmiast zostały wysłane przed Sejm jeszcze dwa szwadrony szwoleżerów — z kulomiotami...

Jakież ciężkie i smutne chwile przeżywałem wtedy — chyba nie ja jeden w Warszawie.

Cały koszmar przeżyć w okresie rewolucji rosyjskiej staje przed oczyma...

Prezydent przyjechał do swego mieszkania nie alejami Ujazdowskimi, a przez park Łazienkowski.

Do powozu rzucano kawałki lodu.

O godz. 5.30 w Belwederze odbyło się posiedzenie Rady Ministrów, które trwało do 9-ej. Przewodniczył Naczelnik Państwa, który na mocy Konstytucji do chwili oddania władzy Prezydentowi pozostawał na czele rządu.

Minister spraw wewnętrznych podał się do dymisji, funkcje jego czasowo objął minister robót publicznych p. Darowski.

Do Warszawy została wywołana 9-ta dywizja. W mieście rozpoczął się ogólny strajk — nie było wody, światła.

Pamiętam dobrze przebieg tego strajku, bo właśnie 12-go grudnia, miało odbyć się u nas tradycyjne doroczne przyjęcie już we własnem mieszkaniu i musieliśmy nagwałt zakupywać świece, bo jeszcze o godz. 4½ elektryczność nie działała, ale na 5-tą było już wszystko w porządku, i u nas, nie zważając na trwożny stan i brak komunikacji, — bo strajkowały i tramwaje — zebrało się z paręset osób.

13 grudnia odbyło się pożegnanie Naczelnika Państwa z najbliższem otoczeniem i ministrami.

Premjer p. Nowak miał dłuższe przemówienie do Naczelnika Państwa, na które Naczelnik odpowiedział krótko, życząc powodzenia i szczęścia „młodej Polsce“; mowę swoją zakończył

żartobliwie, że od jutra będzie on „wesołym“, a nie „pochmurnym Józefem“.

Ze strony premjera spotkał mnie nieoczekiwany zaszczyt — po pożegnaniu się z Naczelnikiem Państwa, p. premjer z obecnymi ministrami przyszedł do mojego urzędowego gabinetu i p. premjer w imieniu swoim i pp. ministrów podziękował mi za współpracę...

Wieczorem odbyła się w Belwederze kolacja na 40 zgórą osób, bez pań; siedziałem naprzeciw Naczelnika Państwa i miałem w imieniu zebranych krótkie przemówienie; żadnych innych przemówień nie było.

Nastrój był bardzo dobry; około 12-ej, po kolacji, Naczelnik Państwa pojechał do prezydenta Narutowicza.

Nazajutrz o 12 zrana odbyło się urzędowe objęcie władzy przez pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej w konstytucyjnym Państwie.

Muszę się przyznać, że sprawił przygnębiające wrażenie fakt, że Prezydent w celu objęcia władzy jechał jakby pokryjomu, przez park, który był okrażony wojskiem, jakby to się działo w Rosji za czasów caratu lub bolszewików.

P. Car i ja czekaliśmy na nowego Prezydenta przy wejściu — i razem z nim poszliśmy na górę, gdzie czekał Naczelnik Państwa, w otoczeniu obu marszałków — pp. Rataja i Trąpczyńskiego, premjera i pp. ministrów, czekających na niego.

Charakterystyczny szczegół: Naczelnik Państwa był w swoim legionowym mundurze, bez żadnych odznak.

Przy powitaniu Prezydenta, Naczelnik Państwa, co do munduru tłumaczył się tem, że w tym właśnie mundurze dowodził pierwszą brygadą, bił się z wrogami Polski i dlatego ma go dziś na sobie.

Następnie Naczelnik Państwa zażądał sporządzenia protokołu po zrewidowaniu kasy przez obecnych ministrów.

Zeszliśmy wszyscy nadół, gdzie został odczytany akt wyborczy przez Prezydenta Ministrów; w chwili, kiedy Prezydent podpisywał akt, rozległa się salwa armatnia.

Nowemu Prezydentowi zostali przedstawieni oficerowie i urzędnicy, następnie wszyscy wyszliśmy na dziedziniec, gdzie

złożyłem mu meldunek i Prezydent obszedł kompanję i szwadron, poczem odbyła się przed nim defilada.

Rozpoczął się nowy — tak krótkotrwały, bo tylko 46 godzinny — okres pracy pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, Gabrjela Narutowicza.

W czasie śniadania były dwa przemówienia: byłego Naczelnika Państwa do Prezydenta i jego odpowiedź.

Marszałek Piłsudski zwrócił się do Prezydenta z temi słowy: Panie Prezydencie! Jako jedyny oficer polski służby czynnej, który dotąd nigdy przed nikim nie stawał „na baczność“, staję oto na baczność przed Polską, którą Ty reprezentujesz, wznosząc toast: Pierwszy Prezydent Rzeczypospolitej — niech żyje!

Prezydent w odpowiedzi wniósł toast:

Najzasłużeńszy obywatel Rzeczypospolitej, który wskrzesił, zbudował i przed wrogiem obronił Kraj — Marszałek Piłsudski niech żyje!...

Po tych uroczystościach odbyło się ogólne śniadanie — à la fourchette — przy udziale małżonki i krewnych byłego Naczelnika Państwa i po 2-ej były Naczelnik Państwa odjechał z małżonką — bez żadnej eksorty — do swojego prywatnego mieszkania...

Miałem ułożony na piśmie meldunek do Prezydenta o zwolnienie mnie z zajmowanego stanowiska.

Narazie miałem podać go tegoż dnia, ale kiedy po odjeździe byłego Naczelnika Państwa zapytałem Prezydenta, kiedy będę mógł być u niego ze służbowym meldunkiem, prosił mnie i p. Cara, byśmy poczekali z naszymi wewnętrznymi sprawami, nim sprawy ogólne się ułożą.

Pozostawałem w Belwederze do godziny 7.

Gdy nazajutrz na godzinę 7½ przyjechałem do Belwederu, spotkałem p. Prezydenta na dziedzińcu, wrócił już z konnej przejażdżki w parku, którą odbył wczesnym rankiem. Poszliśmy z nim oglądać stajnie i wozownie (jako curiosum w stajni było dwóch wielbłądów: czyjś prezent byłemu Naczelnikowi Państwa).

W Belwederze, jak i „za dawnych czasów“ tegoż dnia rozpoczął się szereg konferencyj Prezydenta z przedstawicielami

różnych partyj politycznych, wśród których byli i przedstawiciele „prawicy“, co było zupełnie zrozumiałe, ale już było dla mnie mniej „zrozumiałe“ — że na liście osób, które pospieszyły ze składaniem „hołdu“ nowemu Prezydentowi — zobaczyłem i podpisy politycznych osób — jeszcze przed kilku dniami, jego nieprzejednanych wrogów. Oto jest życie!

Tego dnia Prezydent złożył wizyty: byłemu Naczelnikowi Państwa i obu marszałkom; asystował mu p. Car.

Kiedy odjeżdżali, zwróciło moją uwagę, że Prezydent jedzie z pierwszą urzędową wizytą w miękkim kapeluszu. Naza jutrz, kiedy Prezydent pojechał do Kardynała i na otwarcie wystawy w Zachęcie — w cylindrze, przypominam sobie, że przyszła mi myśl, że albo pierwszego dnia było „za mało“ albo drugiego dnia — „za wiele“. To jest małostkowy szczegółik, ale właśnie teraz, kiedy uprzytamniam sobie przebieg 46 godzin przed zabójstwem Prezydenta, każdy szczegół, słowo — stają w pamięci...

15 grudnia pozostawałem w Belwederze dość długo, wróciłem do domu około 8-ej.

Jak się potem dowiedziałem, już po moim wyjeździe przyjechała delegacja z Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, z prośbą, żeby Prezydent w dniu jutrzejszym, chociażby na krótko przyjechał na otwarcie grudniowej wystawy.

Szef kancelarii cywilnej p. Car jeszcze pracował i po długich naleganiach zgodził się zaprowadzić delegatów do Prezydenta, który odpowiedział im, że wracając z wizyty u kardynała — zajędzie na bardzo krótko na wystawę.

W Kancelarii Cywilnej było zdecydowane, tak dalece nie robić z tego rozgłosu, że o tem, że Prezydent ma być w Zachęcie wiedziała tylko kancelarja. Nietylko ja o niczem nie wiedziałem, ale nawet i minister spraw wewnętrznych p. Darowski, a więc — i policja!

Zarząd Zachęty, nietylko nie utrzymał tego w ścisłej tajemnicy, ale, jak wyjaśniło się w czasie procesu, zawiadomił o tej wizycie szereg osób (a w tem i sprawcę zamachu...)

Nazajutrz, 16 grudnia, jestem, jak zwykle, od wczesnego rana w Belwederze. Około 11-ej meldują mi adjutanci: rotmistrz I. Sołtan i porucznik T. Łaskiewicz, że kancelarja cywilna za-

komunikowała im, iż Pan Prezydent rozkazał przy wizycie do Kardynała, żeby oprócz p. Cara asystowali i oni.

Kiedy odprowadzałem wyjeżdżającego Prezydenta, ustaliliśmy z nim, że o 4.30 przyjmie on nie pamiętam już kogo „który znał go jeszcze w Zurichu“ i który kilkakrotnie o to go prosił...

O 12.15 wywołuje mnie do telefonu porucznik Łaszkiewicz i melduje, że przed chwilą Prezydent w Zachęcie został ciężko ranny.

Nie wiedząc, w jakim stanie mogę zastać Prezydenta, daję rozkaz, by oprócz otwartego auta przygotować lando i zaalarmowałem szwadron, z którym wyruszyłem do Zachęty.

Kiedy przyjechałem, ciało Prezydenta jeszcze leżało na podłodze.

Przybyły władze sądowe, minister spraw wewnętrznych. Chwil tych i przeżyć nigdy nie zapomnę...

Jak wiadomo, zabójca z odległości trzech kroków dał 3 strzały — każdy śmiertelny.

Prezydent skonał odrazu.

Po ukończeniu niezbędnych sądowych formalności, wyniesiono na noszach ciało, złożono w otwartym lando i przykryto sztandarem...

Wraz z doktorem pułkownikiem Piestrzyńskim, stanęliśmy na stopniach otwartego powozu i zawieźliśmy ciało do Belwederu...

Trudno dziś opisać wzruszenie; opowiadali mi później ci, którzy widzieli ten orszak — a jechaliśmy wolno — że oboje byliśmy bladzi, jak kreda...

Szło mi i o to, żeby konduktu nie spotkał syn Prezydenta, młody człowiek bardzo nerwowy (cała rodzina była bardzo nerwowa, opowiadano, że córka ś. p. Narutowicza przez kilka lat przebywała w domu zdrowia); wydałem rozkaz, aby zatrzymano wyjazd jego z Belwederu.

Przytoczę pod b. wielu względami ciekawą autobiografię ś. p. Narutowicza.

Gabriel Narutowicz urodził się w Telszach na Litwie 17-go marca 1865 r.; pochodził z ziemiańskiej rodziny, od szeregu wieków zamieszkałej na Litwie.

Gimnazjum kończy w Libawie, wyższe studja na wydziale matematycznym rozpoczyna w Petersburgu, ale wkrótce na stałe przenosi się do Zurichu na politechnikę, którą chlubnie kończy w r. 1891 i przyjmuje obywatelstwo szwajcarskie.

Mimo swej niezależności finansowej, jako zamiłowany inżynier, pracuje stale, systematycznie i twórczo w swoim zawodzie.

Z donioślejszych jego prac powszechnie są znane, budowane wedle jego projektu szczytowe zakłady, zabezpieczające regularną dostawę energii elektrycznej. Jest współnikiem największego biura budowlanego w Szwajcarji, pozatem ma i własne biuro.

W 1908 r., jako wybitny i znany inżynier, zostaje powołanym na profesora Politechniki Zurichskiej.

W odrodzonej Polsce został wezwany jako rzeczoznawca w sprawach technicznych projektów.

W roku 1920 zostaje powołany na Ministra Robót Publicznych, z wiosną 1921 był naszym delegatem na konferencji w Genewie i tam, dzięki swoim wybitnym zdolnościom i znajomości języków obcych, bardzo skutecznie broni interesów Polski; to było przyczyną, że powołano Go na Ministra Spraw Zagranicznych.

Do swoich przyjaciół w Szwajcarji z powodu tej nominacji ś. p. Narutowicz pisze: „z tak uczciwego inżyniera na oberdyplomatę jest „gewaltig und gewacht“...

Na zakończenie przytoczę fragment ze „Wspomnień o Narutowiczu“, ogłoszonych przez Marszałka Piłsudskiego.

„Gdzieś w dworze żmudzkim panowała popowstaniowa żałoba; cichą skargę matki zamiast wesołej piosenki miałaś nad kołyską...

A potem ciche, rzewne, lecz uporczywe nauki rodziców — żyj, cierp, kochaj i pracuj...

Powędrowałeś w świat szeroki. Nie zaznałeś z nami ani walk, ani nędzy niewoli.

W brudzie niewoli nie zbrukowałeś duszy, w pokorze nie-szczęścia nie pęłałeś, jak gad.

Zakonserwowałeś gdzieś w szalaszach szwajcarskich swe dziecinne i młode marzenia, swe dziecinne i młode zaufanie do ludzi, do ich dobrej woli.

Przyniosłeś z sobą nakazy matczyne: „żyj, kochaj, pracuj“...

Zginałeś od kuli nie wrażej, o której może w dzieciństwie marzyłeś — ale od kuli rodaków, do których niosłeś ewangelję miłości i pracy!“...

Stosownie do brzmienia Konstytucji godność Prezydenta Rzeczypospolitej, do wyboru nowego Prezydenta, objął marszałek Sejmu p. Rataj, któremu p. Car i ja niezwłocznie zameldowaliśmy się, a ja poleciłem wystawić stałą wartę honorową w jego mieszkaniu w gmachu Sejmu.

Tego samego dnia zapadła decyzja, że eksportacja ciała do Katedry odbędzie się 19 grudnia, wybory nowego Prezydenta wyznaczono na 20 grudnia, pogrzeb na 22 grudnia.

Premjer Nowak podał się do dymisji, premjerem został generał Sikorski, a Szefem Sztabu Generalnego były Naczelnik Państwa.

W stolicy ogłoszono „stan wyjątkowy“.

Nazajutrz o 10-ej odbyło się nabożeństwo w Belwederze. Asystowałem podczas niego marszałkowi Sejmu.

Na mieście wre. „Lewica“ przypisuje zabójstwo „prawicy“. Krążą plotki o zamiarach aresztowania posłów i represjach prasowych.

Charakterystyczne szczegóły: w przeciągu kilku dni po zabójstwie do Belwederu nadsyłano szereg listów, w których zmarłemu Prezydentowi grożono zabójstwem, z podaniem dnia i godziny.

Dla wyjaśnienia tym z czytelników, którym może być niezrozumiałe, jak mógł znaleźć się na sali, w tym krótkotrwałym okresie wizyty Prezydenta zabójca, muszę zaznaczyć, że był on od szeregu lat członkiem Komitetu Zachęty i widocznie późno w nocy, czy też rano tego samego dnia został zawiadomiony przez zarząd, razem z innymi członkami. Zabójstwo było ściśle na tle fanatyczno-politycznem i, jak sam oświadczył w czasie procesu, miał zamiar zabić byłego Naczelnika Państwa, o ileby ten został wybrany na Prezydenta.

19 grudnia o 2.30 odbyła się eksportacja ciała Prezydenta na zamek do sali rycerskiej.

Podczas pochodu nic nie zakłóciło spokoju.

Za trumną szła rodzina, dalej marszałek Sejmu, ja za nim, następnie gabinet ministrów, członkowie Sejmu i Senatu, generalicja, różne delegacje, i ogromna ilość publiczności; stały szpalery wojsk. Był mroźny dzień, prószył drobny śnieg...

Pochód trwał zgórą 2 godziny.

W drodze minister sprawiedliwości prosił mnie, bym wręczył marszałkowi tuż, w czasie pochodu, prośbę o ułaskawienie jakiegoś przestępcy, skazanego na śmierć, bo egzekucja miała odbyć się już za parę godzin i nie było czasu czekać na ukończenie uroczystości.

Marszałek Rataj ułaskawił skazańca.

20 grudnia o 1-ej godzinie odbył się wybór nowego Prezydenta.

Postawiono tylko dwie kandydatury: p. Morawskiego (przez prawicę) i p. Wojciechowskiego (przez lewicę).

Został wybrany p. Wojciechowski 270 głosami, a p. Morawski otrzymał 220 głosów.

Tegoż dnia na 7 godzinę wyznaczono zaprzysiężenie nowego Prezydenta.

Kiedy 20-go zrana przyjechałem do Belwederu, znalazłem drzwi od sali, gdzie spoczywało ciało Prezydenta jeszcze zamknięte.

Gdy kazałem otworzyć, ujrzałem ze zdumieniem, że nie zabrano katafalku; wszystko zostało tak, jak w chwili eksportacji.

Za kilka godzin miał przyjechać nowy Prezydent.

Gdyby nie moja przypadkowa interwencja, (bo to były sprawy nie „mojego resortu“), kto wie, czy nowoobрани Prezydent nie zastałby w sali recepcyjnej — katafalku!...

Miedzy 7 a 9½ w szybkim tempie odbył się cykl uroczystości, w których brałem udział, jako czasowy Generalny Adjutant nowoobranego Prezydenta w Sejmie, objęcie władzy i następnie przyjęcie korpusu dyplomatycznego.

Z Sejmu Prezydent pojechał na Zamek, gdzie złożył wieńiec na trumnie ś. p. Narutowicza, potem pojechał do Belwede-

ru, gdzie odbyła się prezentacja personelu, defilada oddziałów przybocznych, a następnie przyjęcie ministrów.

Nazajutrz rano poprosiłem Pana Prezydenta o zwolnienie ze stanowiska, Prezydent zakomunikował mi, że wewnętrznymi sprawami zajmie się po świętach.

21 grudnia o 7-ej wieczorem odbyło się przeniesienie zwłok b. Prezydenta Narutowicza z Zamku do Katedry, trumnę niesiono przez korytarze, łączące Zamek z Katedrą, uroczystość odbyła się w wielkim skupieniu.

22 grudnia odbyło się nabożeństwo żałobne, poczem zwłoki przeniesiono do katakumb Katedry.

Kazanie wygłosił ks. prałat Szlagowski. Nie było to właściwie kazanie, lecz mowa chrześcijańsko-polityczna, na temat— „zgody“.

Po uroczystościach pogrzebowych, odbyła się tegoż dnia w Belwederze długa konferencja między Prezydentem a posłem Głabińskim — prezesem koła partji prawicowej.

Następne dni spędziłem w Belwederze przy normalnych służbowych zajęciach, przygotowując się do definitywnego zlikwidowania spraw, co faktycznie nastąpiło dopiero po miesiącu.

Pierwszy dzień Bożego Narodzenia wypadał na poniedziałek, wigilja więc odbyła się 23 grudnia w sobotę.

Kiedy 22 grudnia zapytałem Prezydenta o jego dyspozycje, tyżące się wigilji i objazdu garnizonu, p. Prezydent polecił wykonanie części wojskowej uroczystości ministrowi wojny. W Belwederze miała się odbyć wigilja w bardzo szczupłym gronie jego rodziny i otoczenia, bez rodzin.

Było dla mnie zupełną niespodzianką, że Prezydent zdecydował, by przy stole wigilijnym zasiadła — i służba domowa.

Na czele służby stał starsuszek Rozalski, który służył w Belwederze bez przerwy zgórą 40 lat, widziałem na jego twarzy wielkie zakłopotanie, a jeszcze więcej zakłopotanym czuł się przez cały czas trwania kolacji furman — kroplisty pot stale spływał mu z czoła...

Potem byliśmy z Prezydentem na wigilji w koszarach u żołnierzy oddziału przybocznego.

30 grudnia odbył się sąd doraźny nad zabójcą Prezydenta Narutowicza — został skazany na rozstrzelanie. (Prezydent w końcu stycznia 1923 r. wyrok zatwierdził).

151

Wieloletnia praca w dziedzinie literatury i nauk przyrodniczych, w szczególności w zakresie fizyki i matematyki, przyczyniła się do rozwoju nauki i kultury w naszym kraju. W latach 1920-1930, w czasie gdy w naszym kraju panował kryzys polityczny i gospodarczy, nie przestawała pracować nad wypracowaniem teorii fizyki i matematyki, które przyczyniły się do rozwoju nauki i kultury w naszym kraju.

W latach 1930-1940, w czasie gdy w naszym kraju panował kryzys polityczny i gospodarczy, nie przestawała pracować nad wypracowaniem teorii fizyki i matematyki, które przyczyniły się do rozwoju nauki i kultury w naszym kraju. W latach 1940-1950, w czasie gdy w naszym kraju panował kryzys polityczny i gospodarczy, nie przestawała pracować nad wypracowaniem teorii fizyki i matematyki, które przyczyniły się do rozwoju nauki i kultury w naszym kraju.

W latach 1950-1960, w czasie gdy w naszym kraju panował kryzys polityczny i gospodarczy, nie przestawała pracować nad wypracowaniem teorii fizyki i matematyki, które przyczyniły się do rozwoju nauki i kultury w naszym kraju.

W latach 1960-1970, w czasie gdy w naszym kraju panował kryzys polityczny i gospodarczy, nie przestawała pracować nad wypracowaniem teorii fizyki i matematyki, które przyczyniły się do rozwoju nauki i kultury w naszym kraju.

W latach 1970-1980, w czasie gdy w naszym kraju panował kryzys polityczny i gospodarczy, nie przestawała pracować nad wypracowaniem teorii fizyki i matematyki, które przyczyniły się do rozwoju nauki i kultury w naszym kraju.

W latach 1980-1990, w czasie gdy w naszym kraju panował kryzys polityczny i gospodarczy, nie przestawała pracować nad wypracowaniem teorii fizyki i matematyki, które przyczyniły się do rozwoju nauki i kultury w naszym kraju.

W latach 1990-2000, w czasie gdy w naszym kraju panował kryzys polityczny i gospodarczy, nie przestawała pracować nad wypracowaniem teorii fizyki i matematyki, które przyczyniły się do rozwoju nauki i kultury w naszym kraju.

W latach 2000-2010, w czasie gdy w naszym kraju panował kryzys polityczny i gospodarczy, nie przestawała pracować nad wypracowaniem teorii fizyki i matematyki, które przyczyniły się do rozwoju nauki i kultury w naszym kraju.

W latach 2010-2020, w czasie gdy w naszym kraju panował kryzys polityczny i gospodarczy, nie przestawała pracować nad wypracowaniem teorii fizyki i matematyki, które przyczyniły się do rozwoju nauki i kultury w naszym kraju.

W latach 2020-2030, w czasie gdy w naszym kraju panował kryzys polityczny i gospodarczy, nie przestawała pracować nad wypracowaniem teorii fizyki i matematyki, które przyczyniły się do rozwoju nauki i kultury w naszym kraju.

W latach 2030-2040, w czasie gdy w naszym kraju panował kryzys polityczny i gospodarczy, nie przestawała pracować nad wypracowaniem teorii fizyki i matematyki, które przyczyniły się do rozwoju nauki i kultury w naszym kraju.

W latach 2040-2050, w czasie gdy w naszym kraju panował kryzys polityczny i gospodarczy, nie przestawała pracować nad wypracowaniem teorii fizyki i matematyki, które przyczyniły się do rozwoju nauki i kultury w naszym kraju.

W latach 2050-2060, w czasie gdy w naszym kraju panował kryzys polityczny i gospodarczy, nie przestawała pracować nad wypracowaniem teorii fizyki i matematyki, które przyczyniły się do rozwoju nauki i kultury w naszym kraju.

W latach 2060-2070, w czasie gdy w naszym kraju panował kryzys polityczny i gospodarczy, nie przestawała pracować nad wypracowaniem teorii fizyki i matematyki, które przyczyniły się do rozwoju nauki i kultury w naszym kraju.

ROZDZIAŁ VII.

Chaos i tarcia polityczne.

Z rokiem 1922 kończy się pierwszy okres „Wiosny“ zmarłychwstałej Polski.

W tym okresie był szereg dni „górnych“ i „chmurnych“. Po wzniosłych chwilach roku 1920 i po naszych rzeczowych sukcesach politycznych w pierwszej połowie 1921 r., szlachetny zapal u wielu z nas jeszcze nie ugaszał. I o ile na ławach Sejmowych coraz więcej wzmagaly się tarcia i darcia o władzę, geszefty partyjne i życiowe, o tyle pozostawały jeszcze dość liczne zastępy optymistów — ideowych, bezinteresownych pracowników.

Ale z końcem 1922 r. rozpoczyna się okres nietylko coraz więcej „chmurny“ i chaotyczny, ale wprost zatrważająco groźny; trwa to przez 40 miesięcy i kończy się wypadkami Majowymi w 1926 r...

To, co się działo w kraju, było tylko logiczną konsekwencją biegu wypadków:

Od 1918 r. rozpoczynamy nasze życie państwowe na zbyt wielką skalę, nikt nie chce liczyć się ani z tem, że Polska została zrujnowaną bądź przez wojnę, bądź przez rewolucję rosyjską, bądź przez okupację niemiecką, ani też i z tem, że nasz kraj nie miał odpowiedniego zespołu fachowych i doświadczonych kierowników i wykonawców w dziedzinach administracyjno-państwowych.

Przysłowie głosi, że — piekło jest wybrukowane dobrami chęciami — ale mało „chcieć“ trzeba i „umieć“!

Na kolanie decydowano o sprawach, o których nie miano pojęcia. Ile, nietylko już bardzo wielkich sum pieniężnych i uczciwej szlachetnej pracy poszło na marne — wdeptano w błoto!...

Po 1922 r. następuje okres, w którym jeszcze mniej dni świetlanych, słonecznych, a coraz więcej dni pochmurnych, ponurych i coraz więcej zastraszających na dalszą metę...

W następnych dwóch rozdziałach daję szkicowe fragmenta z biegu wypadków i przeżyć osobistych przez te 3 zgorą lata.

W tych rozdziałach — jak i w pierwszych — unikam więcej wyczerpujących charakterystyk osobistych jednostek, bo przedewszystkiem wymagałoby to badań podstawowych i różnorodnych źródeł — co nie jest mojem zadaniem, ja daję tylko mój meldunek społeczny, który może posłużyć zczasem, jako materiał dla przyszłego historyka tej epoki, pozatem uważam, że niema jeszcze należytej „perspektywy czasu“...

Ilu z tych, którzy dziś bądź przez zarozumiałość, bądź przez naiwność mają pretensję uważać siebie za „mężów stanu“ — znikną z widowni społecznej, jak pęcherze po deszczu, bo ileż wśród nich jest — purchawek czy świętojańskich robaczków...

Rok 1923 rozpoczynał się smutnie: kraj cały przeżywał poważne wewnętrzne wstrząsy, a przedewszystkiem kryzys ekonomiczny; obawa bankructwa ekonomicznego państwa z każdym miesiącem stawała się coraz większą.

Wspomniałem, że w końcu 1921 roku za franka płacono się około 40 marek, a w końcu 1922 r. — 1300... (w końcu 1923 roku — 200.000!).

Widoki na poważniejszy kredyt zagraniczny urwały się zupełnie, o większej pożyczce wewnętrznej nie można było myśleć, po smutnem doświadczeniu wewnętrznych poprzednich pożyczek.

Dewaluacja zwiększała się. Z każdym miesiącem zsuwaliśmy się w przepaść...

W kraju szerzyła się coraz większa gorączka spekulacyjna. Na giełdzie grali nawet uczniowie szkół średnich.

W tych warunkach żadne poważne przedsiębiorstwo krajowe nie mogło prosperować, bo nie było podstaw do normalnej produkcji i kalkulacji.

Warunki ekonomiczne stworzyły niebywały układ życia w Warszawie.

W restauracjach, w teatrach — wszędzie, pełno było „nowych ludzi“, rzucających się w oczy, z których bardzo wielu, nie pozostawiając nic po sobie — prędko znikło bez śladu...

Ludzie nawet poniekąd zrównoważeni i logicznie myślący wydawali ogromne sumy, wiedząc, że pieniądź krajowy nie ma wartości i oszczędności są bezpodstawne.

Zaufanie do rządu w społeczeństwie znikło...

Na 9 stycznia zostali zaproszeni do Belwederu wszyscy byli ministrowie skarbu dla omówienia stanu finansowego i wspólnego ułożenia sposobu naprawy. Przed posiedzeniem u Prezydenta wszyscy zebrali się w moim urzędowym gabinecie. W naradach nie brał udziału tylko p. Biliński — bo był już ciężko chory, a brali stały udział pp. Englich, Karpiński, W. Grabski, Michalski, Steczkowski, Jastrzębski, Markowski (czasowy kierownik ministerstwa) i szefowie departamentów, pp. Zaczek i Byrk.

O przebiegu narad dowiadywałem się wprawdzie dorywczo, ale było mi wiadomem, że największe szanse ma plan naprawy naszych finansów, proponowany przez p. W. Grabskiego.

Po zakończeniu tych narad wkrótce tekę ministra skarbu obejmuje p. W. Grabski...

Niezbyt wiele nadziei pokładała poważniejsza część społeczeństwa i w nowoobranym Sejmie, gdzie od samego zarania rozpoczęcia prac jaskrawo wychodzi najaw zażarta walka partyjna.

Przytem trzeba zaznaczyć, że chyba żaden parlament na świecie nie ma tylu „klubów“, jak nasz (o ile się nie mylę — do 20!).

W Sejmie i na urzędach grubą nicią płacze się protekcjonizm dla „swoich“.

O składzie komisji sejmowych decyduje tylko „klucz“ partyjny.

Fachowość, wiedza, doświadczenie — i w Sejmie, i na urzędach — to są przeżytki, obecnie nikomu niepotrzebne!

Dla ściślejszej orientacji dość zaznaczyć się z listą członków różnych komisyj.

Dla przykładu mógłbym wskazać na komisję wojskową, w zespole której nie znalazłem nazwisk ani jednego wojskowego z zawodu: kilku oficerów wojskowych rezerwy, kilku byłych podoficerów, a pozatem lekarzy, mecenasów i nawet posłów, nie mających żadnego cenzusu naukowego...

Coprawda jeden z humorystów jest zdania, że wogóle należy wystrzegać się fachowców, bo „fachowiec” podobny jest do fluksji — zawsze jednostronny.

Ale zechcą się zgodzić czytelnicy, że państwowe organa decydujące i opiniodawcze, pracujące bez fachowców, to także zakrawa na humorystkę, ale smutną w perspektywie na przyszłość...

Nowomianowany minister skarbu wkrótce dostaje od Sejmu szerokie pełnomocnictwo, narazie półroczne, które mu Sejm następnie przedłuża.

Przy dalszych częstych rekonstrukcjach gabinetów w zakresie następnych kilku lat p. Wł. Grabski pozostaje w składzie rządu, bądź jako minister skarbu, bądź też jednocześnie jako premier.

Jako kronikarz muszę stwierdzić, że całokształt działalności naszego dyktatora finansowego w swoich wynikach był nie tylko niepomyślny, ale i szkodliwy dla kraju. Znaczna większość społeczeństwa odnosiła się do zarządzeń dyktatorskich narazie nieufnie, a następnie krytycznie i z coraz większym niezadowoleniem, a nawet i oburzeniem...

Wkrótce po Nowym Roku Prezydent ogłasza oświadczenie: „Do Narodu Polskiego“, nawołując do zgody i spokojnej pracy.

Po ukończeniu feryj świątecznych rozpoczyna się szereg konferencji Prezydenta również i z przewodniczącymi różnych ugrupowań sejmowych, ale z tem poszło widocznie niezbyt pomyślnie, bo gabinet generała Sikorskiego, przy przedstawieniu w Sejmie kwestji o votum zaufania otrzymuje nikłą większość: 42 głosy i to tylko dzięki poparciu gabinetu przez najskrajniej-

sze partje lewicowe i inne, składające się z elementów faktycznie wrogich ustrojowi państwowemu.

Mimo to gabinet pozostaje!

W połowie stycznia odbywa się w Belwederze przyjęcie pierwszego ministra pełnomocnego republiki Sowietów. Asystuje mu pierwszy raz Szef Protokołu Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Dotychczas wszystkim ministrom pełnomocnym, którzy od 1919 r. składali swoje listy uwierzytelniające (w liczbie 22), asystowałem ja.

Nim przejdę do wyświetlenia przebiegu wypadków, chcę zatrzymać uwagę czytelników na zasadniczej kwestji, a mianowicie, że chyba nigdzie niema czegoś podobnego, żeby na odpowiedzialnych stanowiskach — i przed krajem, i przed własnem sumieniem — było tylu śmiałków, którzy nie są uposażeni ani w wiedzę, ani w doświadczenie bądź fachowe, bądź życiowe, a tylko w tupet i zachłanne apetyty!

Mogą mi niektórzy odpowiedzieć, że to nietylko u nas, ale wszędzie, gdzie są parlamenty, ministrami są bardzo często ci reprezentanci partyj, którzy wcale nie są fachowcami, a również trzeba liczyć się i z tem, że my, narazie, nie mieliśmy w tym pierwszym okresie zespołu odpowiednich ludzi, bo w warunkach, w jakich znajdowała się Polska, w okresie zaborów, w poważniejszych dziedzinach życia państwowego do wyższych stanowisk Polaków prawie nie dopuszczano wcale. Dla Polaków możliwe były prace bądź na roli, bądź w zakresie techniki i przemysłu. Z tem trzeba się zgodzić, ale w tych warunkach obowiązkowo było liczyć się i z tem, że w krajach, gdzie urzędy państwowe funkcjonują wiekami, istnieje wyrobiona rutyna administracyjna i przy wszystkich zmianach gabinetów stale pozostaje przy pracy rutynowany zespół fachowców.

Tam o ministrach można powiedzieć, jak o królu angielskim: — „On króluje, ale nie rządzi“.

Ale u nas „często-gęsto“ objęcie władzy zaczyna się przede wszystkim od reform personalnych... żeby uzupełnić tło, muszę wskazać, że bywały u nas gabinety najróżniejszego i powiedziałbym — najdziwaczniejszego składu, a nawet i familijno-

przyjacielskiego: bracia, szwagrowie, osobiści przyjaciele łączyli się razem...

Bywa to może i nietylko u nas, ale rozumie się, wszystko, co swoje — więcej boli...

Z naszych licznych ministrów (poza byłym ministrem skarbu w Austrii p. Balińskim), żaden nie zajmował w byłych państwach zaborczych wybitniejszych urzędowych stanowisk w tej dziedzinie.

Nie znam dokładnej biografii tych wszystkich wybrańców losu, ale z tego, co słyszałem i widziałem, uważam, że znaczna część tego zespołu, nie mając nietylko należytej wiedzy, ale i doświadczenia życiowego, wprost nie powinna była sięgać po teki, przede wszystkim chociażby już przez samopoczucie obywatelskie.

Zapytam na przykład, czy niedawny sportsmen, fachowiec od „steple-chase’ów“ ma kwalifikacje — na ministra skarbu?

Czy lekarz powiatowy, czy profesor szkoły średniej, rozpoczynający swoją karierę, wcale nieznani społeczeństwu przez swe prace — mogą decydować się na objęcie tek ministrów oświecenia?

Czy zawodowy zecer, czy buchalter, z „domowem“ wykształceniem mają kwalifikacje na ministra spraw wewnętrznych?

Za ich eksperymenty, próby i uganianie się za efektami ciężko pokutuje kraj i, kto wie jeszcze, jak długo pokutować będzie...

Dla wielu z tych panów byłby pouczający jeden komiczny skecz: na scenę „conferencier“ wprowadza rutynowaną artystkę baletową, ubraną w zapiętą wieczorową suknię i daje znak orkiestrze, by rozpoczęła arję operową. Artystka zatrzymuje orkiestrę i ze łzami w oczach zwraca się do publiczności z temi słowy: „Panie i Panowie, zaszła wielka pomyłka — ja zupełnie nie umiem śpiewać „*to nie dla mnie*“ ale, ot, co ja umiem i potrafię — i, dając znak orkiestrze, by zagrała coś z repertuaru tanecznego, tuż, na oczach publiczności zrzuca z siebie krępującą ruchy suknię i rozpoczyna z wielkiem powodzeniem szereg tańców...

Dlaczego nie brano przykładu chociażby z naszego wojska, gdzie organizatorzy naszej narodowej armji, nie uważali dla siebie za upokarzające i ubliżające dla swojego autorytetu; w pierwszym okresie, na wszystkie wybitniejsze placówki organizacyjne i wyszkolenia zapraszać z Francji fachowych doradców wojskowych?

Współpraca ta trwała bez przerwy przez kilka lat.

W tym okresie nasi kierownicy, współpracując z zagranicznymi fachowcami, mieli stały nadzór i nad tem, by brano pod uwagę i uwzględniano nasze odrębności narodowe.

Z biegiem czasu liczne zastępy tych wojskowych doradców planowo, systematycznie malały i — stopniały w końcu...

Wielu z obecnych, tak zbyt pewnych siebie działaczy, można porównać z ludźmi, którzy po przeczytaniu paru podręczników lekarskich sami leczą wszystkie choroby.

Słyszałem kiedyś takie opowiadanie.

Jeden z Rotszyldów dowodził, że najbogatszym krajem na kuli ziemskiej jest Rosja. Uzasadniał to tem, że tylko wyjątkowo bogaty kraj może sobie pozwolić na to, żeby na odpowiedzialnych stanowiskach mieć przeważnie nieodpowiednich ludzi...

Czy nie jest to samo i u nas?...

W końcu stycznia zostaje rozstrzelany zabójca Prezydenta Narutowicza (Niewiadomski). Słyszałem w klubie szczegóły od jednego z urzędników, który z urzędu był obecny przy egzekucji. Wedle jego słów skazany do ostatniej chwili zachował panowanie nad sobą...

Belweder opuściłem w końcu stycznia i zostaje mianowany Przewodniczącym Trybunału Oficerskiego, a następnie połączono mi jednocześnie objąć przewodnictwo komisji dla opracowania Statutu i Kodeksu Honorowego.

Na tem stanowisku pozostaję półtora roku.

Przed objęciem nowego stanowiska (od 1 marca) byłem przewodniczącym komisji dla oszacowania Zakładów Starachowickich, na terenach których miała być budowana pierwsza w Polsce fabryka armat, a również i fabryka amunicji. (W b. Rosji byłem bez przerwy przez 16 lat członkiem zarządu rządo-

wych fabryk i amunicji). Praca w Komisji Starachowickiej była bardzo ciekawa i intensywna.

Spraw w Trybunale Oficerskim było bardzo dużo, nie tylko ilościowo, a i same sprawy były często natury subtelnej. Wyroki bowiem tej instytucji, w pewnych wypadkach są, w swoim rodzaju, skazaniem na śmierć moralną...

Do oficerskiego zespołu armji czynnej i do rezerwy należy kilkadziesiąt tysięcy ludzi, z grona których, siłą okoliczności, znaczna część przed wszechświatową wojną nie tylko nie służyła zawodowo w wojsku, ale nie miała wogóle nic wspólnego z życiem wojskowych, mającym w każdym z państw zaborczych swoje nieco odrębne tradycje.

Coprawda, w okresie 52 miesięcy trwania tej strasznej wojny, kadry stałego zespołu oficerskiego albo zostały zniszczone, albo musiały porzucić szeregi, jako niezdolne do służby wojskowej.

W jednym z pułków gwardji w Rosji, komplet oficerów, w okresie wojny, zmienił się 17 razy — tylu było zabitych, czy ciężko rannych...

Pod koniec wojny, w szeregach wielomiljonowych armji, zespół oficerski składa się w ogromnej większości już z ludzi, mających poprzednio bardzo mało wspólnego z ideologią byłego stałego korpusu oficerskiego.

U nas w Polsce wobec wyjątkowych warunków historycznych, szeregi oficerskie pod względem ideologii, w pierwszych okresach, były nie zawsze jednolite.

W zakres działalności Trybunału podczas mego przewodnictwa wchodziły sprawy wyjątkowo tylko oficerów rezerwy.

Niektórym z kandydatów stawiano zarzuty na tle ukrywania swojej narodowości w czasach ich służby, bądź w armji, bądź w administracji państw zaborczych.

Uwzględnić trzeba, że ilościowo bardzo liczny zespół oficerów rezerwy składa się z obywateli, stale mieszkających na naszych rozległych kresach, gdzie pod rządami zaborców prowadzono ciągle, usilną, prowokacyjną, antypolską propagandę i gdzie obecnie w tak krótkim czasie, gruntowna zmiana ideolo-

gji nastąpić nie mogła. Znany jest fakt, że nasz sąsiad zachodni dla elementów nieprzychylnych Polsce znalazł wyjście — „podwójne poddaństwo“.

Akta Trybunału Oficerskiego mogłyby zainteresować wielu!...

W początku 1923 r. Rada Ambasadorów przyznaje Polsce stałe granice, które następnie zatwierdza Liga Narodów. W tymże roku zachodzi fakt wielkiej doniosłości, a mianowicie: bezkrwawa okupacja znacznego pasa prowincyj nad Renem przez wojska Ententy.

Stało się to z powodu planowych i systematycznych zwlekań rządu niemieckiego w wypełnianiu zobowiązań pieniężnych, zaciągniętych na mocy Traktatu Wersalskiego. Rząd niemiecki ulega tej okupacji, bez stawiania najmniejszego oporu.

Jako na najważniejszy czynnik, uzasadniający niemożliwość spłaty kontrybucji, nałożonej na Niemcy, rząd wskazuje na krach finansowy.

I rzeczywiście, degrengolada marki niemieckiej wyprzedza nawet i markę polską, ale z tą wielką różnicą, że zapobiegliwi finansisci niemieccy, nim ujawnili swe bankructwo, potrafili porozsprzedawać ogromną ilość swojej markowej waluty po dobrej cenie na giełdach zagranicznych i zabezpieczyli sobie duże kredyty w Ameryce.

Trzeba wziąć pod uwagę i to, że kraj niemiecki wcale nie ucierpiał w okresie wojny.

Poza wkroczeniem (na krótko) wojsk rosyjskich do Wschodnich Prus, w sierpniu 1914 r., które zakończyło się katastrofalną porażką tychże wojsk,adaną przez Hindenburga pod Tanenbergiem, wojna była prowadzona na terenach Ententy, nie zaś Niemiec.

Pozatem Niemcy jeszcze przed zawarciem Traktatu Wersalskiego i stale potem, są bezkonkurencyjnymi eksploatatorami największej kolonii na kuli ziemskiej — terenów byłej Rosji...

U nas w Polsce, bez żadnych złudzeń, dzieje się faktycznie coraz gorzej z walutą markową; kredytu nie mamy, ani zagranicą, ani wewnątrz kraju.

W lutym za 100 polskich marek płacono jeszcze 2 centimy francuskie, a od jesieni giełdy zagraniczne już wcale nie uznają waluty polskiej.

2 sierpnia za bilet drugiej klasy ze Zbąszyna do Berlina zapłaciłem 264 tysiące polskich marek; wracając po miesiącu, za ten sam bilet zapłaciłem 11 milionów marek. Mówiono mi, że w końcu października ten sam bilet kosztował — 468 milionów...

W marcu odbył się w Moskwie prowokacyjny proces przeciw licznej grupie księży katolickich z arcybiskupem Cieplakiem na czele.

Prokuratorem w tej sprawie był nasz nieprzejednany wróg Krylenko (syn rosyjskiego urzędnika w Kongresówce, wychowaniec szkoły średniej).

Karjera jego po przewrocie bolszewickim była ciekawa. Będąc „chorążym“ zostaje mianowany przez rząd komunistyczny, ni mniej, ni więcej jak — głównodowodzącym wszystkimi siłami zbrojnymi Rosji („gławkowierch“), w zastępstwie generała Duchonina, który za jego wiedzą zostaje w ohydny sposób zamordowany w pociągu.

Opowiadał mi jeden z moich kolegów wiceprezesów Naczpolu (p. mecenas Jamont), że wracając ze „Stawki“ (głównej kwatery), został z kilku członkami Naczpolu zaproszony przez „gławkowiercha“ Krylenkę na obiad do jego wagonu stołowego — był to jeden z luksusowych dawnych pociągów cesarskich.

W czasie obiadu siedział obok Krylenki, który na cały głos wygłaszał najsłabsze sentencje z krasomówczego repertuaru komunistycznego, ale jednocześnie, kilka razy trącił go nogą pod stołem i sarkastycznie się uśmiechnął.

Wynik procesu można było zgóry przewidzieć. Arcybiskup Cieplak i Jego najbliższy współpracownik, prałat Konstanty Budkiewicz, otrzymują wyroki śmierci.

Co do prałata Budkiewicza, wyrok wykonano w najkrótszym czasie i „ustalonym sposobem“: wywołują prałata z celi (było to w noc wielkanocną), każą mu zabrać z sobą rzeczy, niby to dla przeniesienia go do innego lokalu i w drodze, strzałem z tyłu, w głowę — zostaje zabity na miejscu.

Na Arcybiskupie Cieplaku zaś wyroku nie spełniono, ponieważ po zabójstwie Budkiewicza, z chwilą, gdy cały świat kulturalny z papieżem Piusem XI na czele, wdaje się w tę sprawę, rząd bolszewicki zmienia karę śmierci na banicję.

Powrót tego wybitnego pasterza i kryształowo szlachetnego człowieka do kraju wzbudza w całej Polsce żywiołowe objawy czci i hołdu.

Byłem przy Jego przyjeździe do Warszawy i wyczułem na sobie ten entuzjizm.

W kilka dni po Jego powrocie, oboje z żoną odwiedziliśmy Go, a następnie arcybiskup zaszczylił nas wizytą przed swym wyjazdem do Rzymu. Łączyła nas z nim długoletnia znajomość jeszcze na terenie petersburskim.

W Rzymie Ojciec Święty przyjmuje arcybiskupa Cieplaka z wyróżniającymi honorami. Zamieszkuje on tam dłuższy czas i zostaje mianowany metropolitą wileńskim, ale do swojej nowej diecezji przybywa dopiero w 1924 r. i to — w trumnie...

Polacy ze Stanów Zjednoczonych proszą Go, by przed wyjazdem do Wilna przyjechał do Ameryki. Udaje się tam chętnie, lecz widocznie nie wypoczął dostatecznie po przejściach w więzieniach rosyjskich, gdyż, objeżdżając bez odpoczynku liczne parafie polskie, zapada na zapalenie płuc i kończy życie w jednej z lecznic Nowego Yorku.

O obydwóch tych wyjątkowo wybitnych pasterzach, jakimi byli arcybiskup Cieplak i ks. Budkiewicz dałoby się, — a nawet powinno — napisać specjalną, wyczerpującą monografię...

Na dzień 3 Maja wyznaczona została uroczystość odsłonięcia (powtórnego) pomnika marszałka Józefa Poniatowskiego na placu Saskim. Pomnik ten, dłuta sławnego Thorwaldsena, stał w Warszawie jeszcze przed powstaniem listopadowym.

Po kapitulacji Warszawy cesarz Mikołaj I, kazał zrzucić pomnik, a rzeźbę podarował Paszkiewiczowi, który odesłał ją do swego majątku (w okolicach Homla), gdzie pozostawała do końca wojny wszechświatowej.

Na uroczystość odsłonięcia pomnika przyjechał marszałek Foch.

W czasie kilkudniowego pobytu marszałka w Polsce, wszystkie warstwy społeczne nie tylko stolicy, ale i całego kraju współzawodniczyły w okazaniu sympatji i hołdu temu najwybitniejszemu dowódcy, wielkiemu patryjocie, nieskazitelnemu obywatelowi i szczeremu przyjacielowi naszego Narodu.

W Warszawie ogólny nastrój był bardzo podniesły.

Marszałek Foch zadziwiał swoją wytrwałością i energją; od najwcześniejszego ranka do późnej nocy był czynny.

W czasie uroczystości 3 Maja sama defilada wojska, delegacyj i szkół trwała bez przerwy kilka godzin.

Nie zatrzymuję się obszerniej nad tą wizytą, która urzędowo przeszła nibyto gładko, ale, chcąc być ścisłym i obiektywnym, należałoby wskazać na pewne poważniejsze niedokładności, chociażby już tylko etykietalne.

Przytoczę ich kilka.

Marszałek Foch cieszył się tak zasłużoną powszechną czcią i poważaniem, że jego przyjazd do innych krajów był pewnego rodzaju świętem narodowym.

W Anglii przyjmuje go na dworcu sam król w galowym mundurze, w asyście następcy tronu i wyższych wojskowych. Z wielką paradą król osobiście odwozi marszałka do jego mieszkania.

Przez cały czas jego pobytu w Anglii oddają mu honory królewskie i stała asysta przy nim składa się z najwybitniejszych generałów.

U nas, w Warszawie, przyjmuje go tylko minister wojny, a jako asystę przy nim nie wyznaczono żadnego generała, lecz tylko dwóch oficerów.

Powóz, którym jechał marszałek Foch z dworca nie miał żadnej eskorty i nie różnił się w niczem od szeregu innych, tak, że tłumnie zalegająca ulicę publiczność, nie mogła zorjentować się, w którym z kilku szybko przejeżdżających pojazdów znajduje się marszałek.

W czasie obiadu galowego, wydanego na Zamku, na cześć marszałka Focha, zachodzi charakterystyczny fakt nieprzybycia, „z powodu niezdrowia“, aż 3-ch najwybitniejszych dostojników

(którzy, z mego punktu widzenia, powinni byli być obowiązkowo).

Ten dziwny zbieg jednocześniej „choroby“ aż kilku dygnitarzy naraz mógłby wzbudzić poważniejszy niepokój, ale szczęśliwie się złożyło, że już nazajutrz rano wszyscy pomyślnie „wyzdrowieli“...

Coprawda zaszedł i inny fakt, który może pozostał nieznanym marszałkowi Fochowi: na raucie, wydanym na Zamku na jego cześć — Prezydent po raz pierwszy zjawia się we fraku.

Chociaż niema to nic bezpośrednio wspólnego z przyjazdem marszałka Focha do Warszawy, opowiem fakt, który podano mi jako autentyczny. W naszym poselstwie w Paryżu, odbył się obiad, na którym był obecny marszałek Foch. Na tym obiedzie jeden z naszych dostojników, który przyjechał z Warszawy, z wieku mogący być jednym z młodszych synów marszałka, poczuł się obrażony i wypowiedział to głośno, kiedy wskazano mu miejsce z lewej strony gospodyni domu, a marszałkowi Fochowi — z prawej...

W końcu maja gabinet z generałem Sikorskim na czele podaje się do dymisji (w Sejmie przy głosowaniu kwestji o votum zaufania otrzymuje tylko 116 głosów na 397 głosujących).

Marszałek Piłsudski rezygnuje ze stanowiska szefa Sztabu Generalnego i wkrótce podaje się do dymisji, która zostaje przyjęta przez Prezydenta.

Dla wyświetlenia tych anormalnych stosunków, które już wtedy nurtowały w naszym społeczeństwie, przytoczę parę fragmentów z mowy Marszałka Piłsudskiego, wypowiedzianej przez Niego na pożegnalnej uczcie w dniu 3 lipca.

Nawiązując do roli swej w ciągu ostatnich pięciu lat w kraju, Marszałek mówi: „10 listopada 1918 r. z dworca Wiedeńskiego przechodzi przez ul. Marszałkowską na ul. Moniuszki człowiek, który nazywa się Józef Piłsudski.

Wracał z Magdeburga. Wracali wówczas z różnych obozów i inni. W tem niema nic niezwykłego, ani historycznego. Stała się jednak rzecz niezwykła. W ciągu kilku dni, bez żadnych starań z jego strony, bez żadnych koncesji i t. p., człowiek ten stał się dyktatorem. Człowiek ten wydawał rozkazy, miano-

wał oficerów i urzędników, wszystko zależało od jego decyzji. Miljony ludzi dało mu potwornie wielką władzę. I dlaczego jemu, a nie innemu?...

Jedyne tłumaczenie znalazłem w tem, że mógł on mieć moralne prawo do zajęcia tego stanowiska...

Dyktatorem, mówi — byłem kilka miesięcy. Decyzja moja postanowiła zwołać Sejm, oddać władzę w jego ręce...

Sejm wybiera mnie Naczelnikiem Państwa i naczelnym wodzem wojsk polskich...

Odtąd ta bajka z tysiąca i jednej nocy zmienia się. Stanał obok mnie, przede mną, nademną, wszędzie — jakiś cień, nieodstępny, śledzący me ruchy, gesty, wszystko. Ten ohydny karzeł był moim nieodstępnym duchem...

Potworny, nikczemny karzeł chce obniżyć mnie do swego poziomu...

Dlaczego opuszczam zajmowane stanowiska? Szanuję swoją istotę dla siebie, dla moich dzieci, dla historii. Decyzja moja była nieodwołalna. Karły próbowały mnie wciągnąć między siebie — na próżno!... Po złożeniu urzędu najwyższego, wróciłem do pracy wojskowej. I tę pracę opuściłem zupełnie... Dlaczego?

W tej samej chwili, gdy opuściłem Belweder, wszedł tam inny człowiek. Oddałem władzę zgodnie z Konstytucją. Jeżeli w stosunku do mnie szukano czci i honoru, tu już szukano krwi. Prezydent został zabity przez tych samych ludzi, którzy tyle ohydy i nienawiści okazali względem mnie, jako Naczelnika. Kiedy pomyślałem, że ich mam bronić — zawahałem się! Nie będę ich bronił. I oto wróciłem do Was, by odetchnąć łatwem powietrzem...

Co do siebie — zakończył Marszałek — proszę o pamięć, proszę o wielki odpoczynek, bym mógł być wolnym, jak wy, panowie...

W następstwie gabinetu Gen. Sikorskiego formuje się „koalicyjny“ gabinet z posłem Witosem jako premierem.

W czerwcu przyjeżdża do Warszawy rumuńska para królewska z rewizytą byłemu Naczelnikowi Państwa, marszałkowi Piłsudskiemu.

Pobyt królewskiej pary trwa 3 dni.

Na raucie w poselstwie rumuńskim miałem zaszczyt, w liczbie innych generałów, być przedstawionym królowi i królowej; w czasie rozmowy pozwoliłem sobie zaznaczyć, że najprawdopodobniej jestem ich najdawniejszym znajomym w Polsce, bo miałem już raz zaszczyt być im przedstawiony na dworze rosyjskim, kiedy byli — jeszcze narzeczonymi.

Matka królowej rumuńskiej była córką cesarza Aleksandra II, a więc rodzoną siostrą wielkiego księcia Włodzimierza.

Obie rodziny często wzajemnie odwiedzały się, stąd wypadło mi niejednokrotnie bywać na śniadaniach i obiadach przy jednym stole, z obecną królową rumuńską...

W początkach sierpnia pojechałem do Rzymu. Powodem podróży było wyrażone przez Papieża Piusa XI przy przyjęciu jednej z naszych pielgrzymek, życzenie, bym przyjechał do Rzymu, a przytem polecił mi powiedzieć, że o ile przyjadę, będę niezwłocznie przyjęty przez Niego.

Tak mi wypadło, że mogłem wyruszyć dopiero w pierwszych dniach sierpnia.

Pojechałem na Berlin, Monachjum, Tyrol. Po raz pierwszy jechałem tą drogą, bo zwykle jeździło się do Rzymu utartym szlakiem — Wiedeń, Wenecja.

Do Rzymu przyjechałem 6 sierpnia w samo południe. Upał był szalony. Dobrze się złożyło, że nie byłem zmuszony szukać mieszkania, bo jeszcze w Warszawie jeden z przyjaciół mojego syna, stale przebywający w Rzymie, będąc w Warszawie za interesami, zaproponował mi, bym zamieszkał u niego.

Mieszkanie składało się z 5 pokoi, część okien wychodziła na Kapitol. Wraz z mieszkaniem korzystałem z bardzo sympatycznej służby, składającej się z męża i żony.

Widocznie włosi z natury mają zdolności dyplomatyczne, bo oboje zręcznie udawali, że rozumieją moje pseudo-włoskie dialogi.

Co do mnie bowiem, to mówiąc szczerze, nie mogłem wiele zrozumieć z tego, co mówili, ale to nie przeszkadzało nam stale konwersować...

Kiedy się upał zmniejszył, pojechałem do naszej ambasady, gdzie prosiłem o wyrobienie mi, w możliwie krótkim czasie, osobistej audjencji u Ojca Świętego.

Obiecano mi to, ale jednocześnie uprzedzono, że w okresie upałów ilość osobistych audjencji jest ograniczona.

Normalnie, w tym okresie, nawet kardynałowie wyczekują kolejki po 8 dni i tylko w drodze wyjątku była cesarzowa austriacka Zyta czekała 6 dni.

Prosiłem o jedno — i to mi zostało przyręczone, a mianowicie, że ambasada zawiadomi odpowiedni urząd o mojej prośbie tegoż samego dnia (w poniedziałek).

Nazajutrz rano spędziłem na oglądaniu tych bezcennych skarbów, które przechowuje miasto. Potem byłem na śniadaniu u naszego ówczesnego ministra przy Kwirynale (p. Zaleskiego) i, gdy wróciłem do domu, znalazłem już u siebie urzędowe zawiadomienie, że jutro — we środę 8 sierpnia — będę przyjęty przez Ojca Świętego o godzinie 11½ rano.

Nie mogłem z powodu pośpiesznego wyjazdu zaopatrzyć się w konieczne przy podobnych przyjęciach galowe ubranie, więc pojechałem do Watykanu w mundurze.

Każdy drobny szczegół tych 30-kilku minut, spędzonych w rozmowie z papieżem Piusem XI pozostanie mi w pamięci na zawsze...

Czułem się mocno wzruszony, wstępując po raz pierwszy w życiu w te historyczne mury w mundurze polskim.

Przy wejściu straż papieska oddawała mi przepisowe honory wojskowe.

Tuż u wejścia do sal wewnętrznych ujrzałem wiszący duży obraz Matejki — „Sobieski pod Wiedniem“. Nie powiem, żeby obraz ten można było zaliczyć do najlepszych dzieł naszego mistrza.

Miałem przy sobie fotografię, przedstawiającą chwilę, kiedy powóz z byłym nuncjuszem Polski arcybiskupem Ratti, obecnym Papieżem — podjeżdża pod Belweder, a ja siedzę obok Niego.

Miałem zamiar prosić Ojca Świętego o podpisanie tej fotografii, lecz kiedy, czekając na swoją kolej, w poczekalni gabi-

netu Papieża, w ciągu rozmowy pokazałem fotografię komuś z najbliższego otoczenia, zwrócono mi uwagę, że zasadniczo wzbronione jest prosić o autografy papieskie w czasie prywatnych audjencji.

Tego dnia odbyły się 4 osobiste audjencje, byłem trzecim z kolei.

Pierwszym został przyjęty Kardynał Vompi, następnie nuncjusz jednego z państw europejskich, a po mnie arcybiskup Angielski Burne — obecnie kardynał; który kilka lat temu zwiedził Polskę.

Każdy z moich poprzedników pozostawał na audjencji około 12 minut.

Do gabinetu wprowadził mnie młody prałat, którego w kilka lat później widziałem w Warszawie, przywiózł bowiem kapelusz kardynalski obecnemu kardynałowi Hlondowi.

Przy wejściu uklękliśmy obaj na jedno kolano.

Ojciec Święty zbliżył się do mnie i powitał mnie z miłym uśmiechem następującymi słowami: „Kochany generale, nim zaczniemy rozmawiać, proszę powiedzieć, co się dzieje z żoną i synem“...

Jak się okazało potem, audjencja moja trwała zgórą pół godziny.

Rozmowa toczyła się na najróżniejsze tematy, przypadkowo wypadło mówić też i o fotografii, którą miałem przy sobie. Było to tak:

w trakcie rozmowy pytał mnie Papież o szczegóły działalności prałata Budkiewicza, zabitego w Moskwie. Chcąc dać żywszy obraz charakteru zmarłego i wyraźniej określić jego działalność, zrobiłem takie porównanie: o ile arcybiskup Cieplak był wodzem duchowym w walce religii katolickiej z komunizmem na terenie byłej Rosji, o tyle ks. Budkiewicz był jego szefem sztabu.

Na to Ojciec Święty mi powiedział: „I dlatego, generale, został zabity“.

Rozmawiając dalej na ten temat, podniosłem, niezrozumiałą dla nas Polaków, kwestję, dotyczącą roli katolickiego duchowieństwa na Litwie, które, o ile możemy sądzić z faktów, nie waha się obejmować wybitnych stanowisk w zespole rządu,

który jest uległą i posłuszną kreaturą rządu komunistycznego w Rosji, wrogiego nie tylko katolicyzmowi, ale i całemu chrześcijaństwu; rządu, który na murach cerkwi każe wypisywać, że „religia jest trucizną dla ludu“. Papież wtedy zmienił przedmiot rozmowy i zapytał mnie, czy pamiętam, jak obaj jechaliśmy.

Korzystając ze sposobności, oświadczyłem, że mam przy sobie fotografię, na której został zdjęty Jego przyjazd do Belwederu i że mam szczęście być obok Niego.

Papież prosił mnie o nią i oglądając ją uważnie, powiedział: „Fotografia bardzo mi się podoba, i wie generał — co? Ja tę fotografię zachowam sobie, jako pamiątkę po generale, ale, nie chcąc być dłużnym dam generałowi dwie moje fotografie — jedną dla żony, a drugą dla syna...

W kilka lat potem Ojciec Święty, w czasie prywatnej audjencji jednego z naszych dyplomatów, pokazał mu naszą wspólną fotografię i polecił mu zakomunikować mi, że jest ona u Niego na biurku...

Nie widziałem Papieża zgorą dwa lata i wydał mi się bardzo bladym, więc pozwoliłem sobie zapytać, czy go bardzo męczą upały. Na to otrzymałem taką odpowiedź: „Ani upały, ani mrozy mnie nie męczą — jak to bywało w Polsce, kiedy mi wypadało zimą odbywać dalsze podróże nawet i w nieopalanym wagonie, ale obecnie najwięcej mnie męczy brak ruchu. — Ja jestem przecież starym alpinistą!“...

Po audjencji czułem się tak mocno wzruszony, że zrobiłem może pewną „gaffę“ z punktu widzenia protokołu, bo odniosłem tylko swój bilet wizytowy kardynałowi Gaspari'emu i wprost z audjencji poszedłem do Katedry świętego Piotra, w tych godzinach prawie puste, by w samotności ochłoniąć z wrażenia po tej wyjątkowej audjencji...

Urlop miałem krótki, więc zabawiłem w Rzymie jeszcze tylko kilka dni i, chociaż w tem „wiecznym mieście“ bywałem już kilkakrotnie, wiele miałem do roboty, bądź przy odświeżaniu w pamięci tego, co widziałem się już przedtem, bądź też przy oglądaniu tego, czego jeszcze nie widziałem. Czas zleciał mi wyjątkowo szybko; od najwcześniejszego ranka do południowych upałów zwiedzałem muzea, galerje, kościoły...

Niektóre dzielnice wiecznego miasta przybrały nowoczesne szaty, zjawily się na placach i nowe dzieła sztuki — pomniki Garibaldiego i króla Wiktora Emanuela, Grób Nieznanego Żołnierza, budynki nowoczesnej architektury.

Ale bądź co bądź, odwieczny stary Rzym dominuje — i, według mnie, zawsze dominować będzie...

Z Rzymu wyjechałem wieczorem i trafiłem do pociągu bez sleepingu. W przepelnionym przedziale drugiej klasy było tak gorąco i duszno, że większą część nocy spędziłem w korytarzu przy oknie.

Nie zorientowałem się, że powinienem był zmienić pociąg w Genui, bo ten szedł do Torino i zdałem sobie z tego sprawę dopiero wtedy, gdy pociąg ze stacji St. Pietro d'Arena poszedł w kierunku nie północnym, lecz wschodnim.

Wysiadłem na najbliższej stacji i, czekając na połączenie w kierunku Genui, byłem świadkiem, jak poczekalnia zapełniała się tłumami, które, sądząc z rozmów, jechały do Genui.

Liczne grupy rozpoczęły na poczekaniu ożywione polityczne debaty.

Za młodych lat dość często zwiedzałem Włochy, ale muszę przyznać, że obecnie, od chwili dojścia Mussoliniego do władzy, z każdym rokiem wyczuwa się coraz większy ład i porządek wogóle, a szczególnie my, turyści, odczuwamy to na kolejach.

Zatrzymałem się krótko na Rivierze, gdzie po wojnie istnieje „sezon letni“. Widocznie podróżujących nie brak, niektóre bowiem obecnie modne plaże, jak na przykład „Juin les Pins“ są latem zatłoczone, nie wiem, czy „wytworną“, lecz w każdym razie zamożną publicznością, bo chociaż kąpiele są bardzo przyjemne, ceny są bardzo — „słone“.

Samo przez się rozumie, że przez cały dzień i noc rozbrzmiewają dancingi, a hazardowa gra wre w Casino.

W Paryżu spędziłem zaledwie kilka dni, z powodu braku czasu i pojechałem do Lucerny, dokąd mnie zaprosili pp. Pfeifferowie, posiadacze jednej z najpiękniejszych will w Lucernie.

Pan Pf. przez kilka lat bawił w Warszawie, jako minister republiki szwajcarskiej.

Chociaż koniec sierpnia w Lucernie już nie jest okresem sezonowym i wszechświatowi „glob-trotterzy“, jak ptaki wędrówne rozpoczynają swój odlot do innych modnych sezonowych miejscowości, ale gościnny dom pp. Pf. jeszcze roił się od odwiedzających.

Jedni z nich mieli wkrótce odjechać na włoskie jeziora, inni do Biarritz, a byli i tacy, którzy wybierali się do Indyj i Japonji.

Czas sprzyjał mi i pod tym względem, że ta „perła Szwajcarii“, którą w tym sezonie najczęściej zlewają nieustanne deszcze, miała nad sobą błękitne niebo.

Naokoło panowała wyjątkowa cisza i spokój tak, że nawet duże koła białych, niewielkich stateczków wrzynały się tak powoli w zwierciadlaną powierzchnię jeziora, że posuwały statek bez hałasu i szumu.

Prawdopodobnie temi stateczkami przed wielu dziesiątkami lat jeździli nasi dziadowie i ojcowie, i chyba, już mało gdzie na bożym świecie są jeszcze takie zabytki przeszłości, jak te statki, kursujące po dziś dzień na jeziorze czterech kantonów.

Jednego z takich zacisznych wieczorów, spacerując nad jeziorem, obserwowałem, jak lecący z Flueln hydroplan powoli opuszczał się na powierzchnię jeziora.

Widziałem to po raz pierwszy i wrażenie było silne...

W tych warunkach używałem doskonałego wypoczynku na łonie pięknej natury w wyborowym towarzystwie kulturalnych i ciekawych ludzi.

Wypoczęty wróciłem do Warszawy, gdzie dawało się wy-czuć wzmagające się ogólne przygnębienie...

W październiku następuje w Warszawie wybuch procho-wni w Cytadeli. Dużo ofiar ludzkich i bardzo wielkie straty materialne, nie tylko w obrębie Cytadeli, ale i na mieście. Nawet u nas w mieszkaniu popękało kilka szyb i wyrwane zostały okienne zawiasy.

Na mocy wyników śledztwa, rząd ogłasza, że została skonstatowana „zła wola“, — ale sprawców zamachu nie wykryto.

Agitacja komunistyczna rozzuchwala się.

Zdarzały się wypadki podkładania bomb przy wejściach do mieszkań, przyczem nie obeszło się bez ofiar w ludziach.

W początku listopada, w Krakowie, dochodzi do zaburzeń, faktycznie znów na tle komunistycznym, chociaż i z posłami P. P. S. na czele i z hasłami socjalistycznymi.

Szwadron ułanów, wysłany dla rozprzeczienia tłumu bez użycia broni, zostaje w biały dzień, zdradziecko zmasakrowany przez uzbrojonych bandytów.

W wąskich uliczkach strzelają żołnierzom w plecy z okien i dachów.

Władze lokalne potraciły głowę i przez kilka dni rej wodzą agitatorzy, na czele których znajdują się dwaj „nietykalni“ posłowie Sejmu (ze skrajnej lewicy P. P. S.).

Kraków przez kilka dni pozostaje w ręku rozagitowanego tłumu...

Prawie jednocześnie i w Warszawie daje się spostrzec pewien niepokój wśród podnieconych mas, ale to się kończy jednak tylko walką „bojówek P. P. S. i komunistów“, które uzbrojone „działają“ w stolicy kraju na oczach władz — bezkarnie!

Ofiary są nietylko z jednej i drugiej strony, ale także i wśród przygodnych przechodniów...

To, co wtedy działo się u nas, ma dużo analogji z wypadkami, jakie zaszły w Rosji jesienią 1917 r. przed przewrotem bolszewickim.

W Rosji „Rząd Tymczasowy“ miał wtedy na czele „dyktatora“ Kiereńskiego.

Przed rewolucją był to sprytny wiecowy trybun (były poseł w Dumie).

Po wybuchu rewolucji trafia on do władzy, narazie w pierwszym gabinecie rewolucyjnym jako minister sprawiedliwości, po kilku miesiącach jako minister wojny, wkrótce potem jako premier i głównodowodzący armją, faktycznie zaś dyktator, i wtedy właśnie coraz jaskrawiej wychodzi najaw jego polityczne parwenjuszostwo, brak orjentacji w szerszym zakresie, a więc i zupełny brak cech męża stanu i rządcy.

Dłużej zatrzymałem się nad tą, w gruncie rzeczy dla nas mało ciekawą osobistością, dlatego, że w Rosji jeszcze przed moją ucieczką, a następnie u nas w Polsce, już nieraz obijało się

o uszy określenie „kierieńszczyzna“, a w końcu 1923 r. słowo to coraz częściej pojawia się na wielu ustach w Warszawie...

Jakże inaczej traktowane są sprawy we Włoszech, gdzie Mussolini dobitnie i wyraźnie akcentuje swoją pogardę dla rządów komunistycznych w Rosji, co jest tem bardziej znamienne po tym „Wersalu“, z jakim zachowywały się wyższe władze włoskie względem bolszewików jeszcze wiosną 1922 r., kiedy w czasie konferencji Państw Europejskich w Genui, podczas galowego śniadania na pancerniku włoskim, arcybiskup genueński pije zdrowie reprezentanta rządu komunistów, Cziczierina...

Czytałem sprawozdanie przyjęcia jednego z rosyjskich dygnitarzy przez Mussoliniego.

Przyjmując go na ogólnej sali, nie podaje mu ręki i mówi do niego: „Gardzę panem i pańskim rządem i uprzedzam, że w razie jakichkolwiekby czynów na tle zamąceń propagandowych, będzie pan natychmiast usunięty z Włoch“...

W końcu 1923 r. następuje w rządzie nowa rekonstrukcja gabinetu.

Gabinet „koalicyjny“ przekształca się na gabinet „fachowy“, który tworzy — p. Władysław Grabski!

Żeby nie skończyć kroniki rocznej tak smutnym faktem, chcę przytoczyć drobny szczegół, który może wzbudzić nastrój nieco weselszy: 5 listopada otrzymuję urzędowe pismo, z załączeniem dekretu, podpisanego 16 czerwca, dającego mi prawo do noszenia jednego z orderów zagranicznych.

Dokument ten z biura ministerjalnego do mego mieszkania — w centrum Warszawy — trafia po 140 dniach!...

ROZDZIAŁ VIII.

Przed wybuchem.

Od 1924 r. rozpoczyna się w kraju okres jeszcze większego pesymizmu. Nawet i zawodowi optymiści coraz mniej mają powodów do twierdzenia, że „u nas, chwała Bogu nie jest gorzej, niż było“, bo faktycznie jest coraz gorzej i ten smutno-chaotyczny okres trwa zgórą 28 miesięcy — dopóki stale zwiększający się wrzód karbunkułowy na organizmie państwowym nie pęka (12 maja 1926 r.)...

Na początku 1924 r. za dolara płacono $7\frac{1}{2}$ miliona marek, a w rozrachunkach życia codziennego figurują już liczby astronomiczne. Moja miesięczna gaża zbliżała się do $1\frac{1}{2}$ miljarda marek!

Od 1 kwietnia 1924 r. zostaje wprowadzona w Polsce waluta złotowa, ale już najbliższa przyszłość wykazała, że zapowiedź „wieku złotego“, okazała się niestety tylko zwyczajnym „prima aprilis“...

W początku 1924 r. bawił w Warszawie ekspert finansowy p. Jung z kilku fachowymi pomocnikami. Po skrupulatnym zaznajomieniu się z ówczesnym stanem ekonomicznym Polski, układa sprawozdanie. Wnioski, zeń wysnute nie są w gruncie rzeczy, pesymistyczne, ale stanowczo odradzają pośpieszne przeprowadzanie reformy walutowej. Uwagi jego ogłoszono i, czytając je, miałem wrażenie, że są podstawowe i logiczne.

Opinia p. Junga nie wpłynęła na odroczenie terminu i od kwietnia monetą polską jest „złoty“ równowartościowy szwaj-

carskiemu frankowi (5,18 franków za dolara). W stosunku do marek kurs jednego złotego równy jest wartością 1.800.000 marek.

Można było uchwalić i wykonać tę reformę, dzięki temu, że w tym czasie otrzymaliśmy dwie większe pożyczki zagraniczne. Jedną amerykańską w wysokości 35 milionów dolarów (na 8 procent w cenie 81 za 100 z 20-letnią amortyzacją). Drugą włoską, w sumie 400 milionów lirów włoskich, ale tę ostatnią pod zastaw Państwowego Monopolu Tytoniowego i z zobowiązaniem sprowadzania rok rocznie z Włoch znacznej ilości tytoniu.

Z tego widać, że warunki obu pożyczek były wyjątkowo ciężkie. Ale w każdym razie nowootworzony Bank Polski otrzymał pewien zapas walut, zabezpieczający częściowe pokrycie stałego kursu złotego.

Początkowo wszystko szło napozór normalnie, ale już po krótkim czasie, coraz częściej dały się spostrzec objawy za-trważające.

Zaczyna się od tego, że zjawia się w obiegu i szybko rośnie wielka ilość drobnych banknotów złotych — „krótkoterminowe zobowiązania Ministerstwa Skarbu“, nie mające pokrycia Banku Polskiego.

Pozatem, z każdym miesiącem, coraz bardziej zalewa Polskę bezwartościowa metalowa moneta — „bilon“, która również niema żadnego pokrycia.

Bezwolni urzędnicy, którym większą część gaży wypłacają drobnym niklowym bilonem, pokornie zaopatrują się w specjalnie w tym celu uszyte woreczki, a nawet i worki, dla znoszenia do domu tego prawdziwego „ciężaru“...

Pomaga to nie nadługo, bo nawet prowizorycznie „szydła“ w workach bilonowych ukryć się nie dało.

Od pierwszych miesięcy 1925 r. „złoty“ nabiera zdecydowanej tendencji do leczenia nadół.

W końcu 1925 r. za dolara urzędowo już płać na giełdach do 11 złotych zamiast 5.18.

Staje się zrozumiałem, że w tych warunkach tempo ruin i bankructw szybko wzrasta.

Nie obeszło się bez szeregu samobójstw na tem tle.

Bankrutują i likwidują się i to — w stosunku geometrycznym — najróżniejsze przedsiębiorstwa, a w tem cały szereg banków.

Coprawda w niezdrowej atmosferze spekulacji zjawiała się w Polsce anormalna ilość banków, nie mających w znacznej części należytych podstaw istnienia i którym, ściśle mówiąc, nazwa „baniek mydlanych“, a nie „banków“ lepiejby odpowiadała.

Niezbędny dla ekonomicznego rozwoju kraju normalny (i przytem długoterminowy) kredyt staje się dla większości społeczeństwa czemś nieuchwytnem, bo jeżeli egzystuje jakikolwiek rządowy kredyt, to tylko dla wybranej elity.

Prywatny (czytaj lichwiarski) kredyt sięga takich rozmiarów, jak na przykład 8 (a nawet i do 10) procent miesięcznie.

Muszę się przyznać, że i mnie osobiście zdarzało się brać pożyczki — które „z wdzięcznością“ spłacałem po 5 procent miesięcznie.

Rozumie się samo przez się, że w takich warunkach żaden interes, nawet bardzo intratny i podstawowy nie miał warunków do rozwoju, cóż tedy mówić o rozkwicie.

W końcu 1925 r. bankrutuje definitywnie i — sam gabinet p. Wł. Grabskiego.

De mortuis aut bene aut nihil...

Chcę jednak zakończyć ten temat lekką humoreską.

Nie mam talentu do zapamiętywania słyszanych anegdot i dowcipów, a wtedy na temat naszych ministrów była ich tak wielka ilość, że dałoby się z tego materiału ułożyć książkę.

Przytoczę tylko jedną anegdotę, która pozostała mi w pamięci:

Nasi sąsiedzi ze wschodu, dowiedziawszy się o ustąpieniu ministra skarbu u nas, za wszelką cenę chcą zaprosić go do Bolszewji, żeby stosował i u nich te metody, które w Polsce doprowadziły do zupełnej ruiny „burżujów“ w ciągu niespełna trzech lat, podczas gdy im, nawet z pomocą terroru, nie udaje się tego osiągnąć przez lat siedem...

Nowy minister skarbu (P. Zdziechowski, kandydat „prawicy“), w celach zmniejszenia deficytu rozpoczyna swoją działalność od tego, że zarządza: „w celach sanacyjnych“ — opodat-

kowanie wszystkich poborów urzędników, emerytów, inwalidów, wdów i sierot, przez potrącenie z ich głodowych płac i emerytur do 6 procent miesięcznie.

Wynalazek ten samo przez się częściowo przyczyniłby się do równowagi budżetowej, o ile by trwał przez dłuższy okres czasu i przytem procent opodatkowania stale by wzrastał, bo z powodu śmiertelności z głodu ilość urzędników i emerytów zmniejszałaby się w geometrycznym stosunku.

O innych rzeczowych sposobach sanacji naszych finansów przez ówczesnych naszych ministrów skarbu, poza stałemi próbami szukania zagranicznego kredytu i to przeważnie w sposób mało poważny i rzeczowy nie dało się słyszeć...

Ale, odrzucając żarty na stronę, jeżeli z czasem kontrola państwowa ściśle określi, jakie zawrotne sumy zostały rozchodowane przez te kilka chaotycznych lat, na wydatki połączone z „szukaniem“ pożyczek zagranicznych, kiedy szeregi osób (uprawnionych i nieuprawnionych) podróżowało po bożym świecie i specjalnie do Ameryki — kosztem naszego biednego rządu — to, według mnie, wyjaśni się, że to, co się wydało w tym celu — przewyższy rozmiar poważnej pożyczki...

Coprawda nietylko u nas, ale i w innych krajach były finansowe trudności.

Nietylko prawie wszystkie powstałe po wielkiej wojnie państwa odchorowały dziecięce choroby ekonomiczno-finansowe, ale i wielkie państwa, z ustalonym od wieków ustrojem bytu ekonomicznego, przechodzą przez ciężkie wstrząsy wewnętrzne.

Belgia, Francja, a nawet i Anglja zaczynają coraz boleśniej odczuwać niepokój i trudności z powodu konieczności regulowania rozrachunków ze Stanami Zjednoczonymi za pożyczki, zaciągnięte w okresie wielkiej wojny.

Niemcy, które wedle Traktatu Wersalskiego muszą spłacać kontrybucję, nietylko nie spieszą się z tem wcale, ale nawet po ułatwieniach, opracowanych przez specjalną komisję i ułożonych wedle planu Dawesa nie płacą nic i przytem nie omijają żadnej sposobności, żeby, o ile się da, szkodzić tak swoim zwycięzcom, jak również i nowopowstałym państwom sąsiednim. Jednocześnie wzbudzają u siebie w kraju chęć odwetu i nienawiść.

Na jednym z niemieckich banknotów markowych wydrukowany był niesamowitej treści „wodny znak”: Francuz, w czapce frygijskiej, ssie krew niemieckiego robotnika.

Charakterystycznym również było i wykrzycie — w początku 1926 r., — chociaż i nie w samych Niemczech, ale w Budapeszcie, stolicy ich byłych aliantów, prowadzonej na wielką skalę i wzorowo zorganizowanej pod względem technicznym fabryki, produkującej masowo francuskie tysiącfrankówki!

W tej imprezie biorą udział ludzie z tak wybitnymi historycznymi nazwiskami, jak książę Windischgrätz i inne „osoby z wyższego towarzystwa“...

W roku 1924 Polska otrzymuje stałą placówkę w komisji rozbrojeniowej przy Lidze Narodów (właśnie to stanowisko, na które jesienią 1922 r., ja byłem wspólnym i „jedynym“ kandydatem generałów Sikorskiego, Sosnkowskiego i Naczelnika Państwa). Jak już wspominałem minister wojny generał Sikorski wyznaczył na to stanowisko — generała Sosnkowskiego.

Dzięki temu nie miałem sposobności źródłowo zaznajomić się z całokształtem prac Ligi, ale, sądząc ze sprawozdań, muszę się przyznać, że według mnie zbyt dużo o tem wszystkim i piszę, i mówię...

Przychodzi mi na myśl aforyzm: „Nie sposób ująć nieujęte“.

Armja pracowników stałych, wielka ilość komisyj, podkomisyj i sekretariatów.

Poza corocznem plenarnem posiedzeniem — trwającym po kilka tygodni, trzykrotne co rok posiedzenia Rady, na które zjeżdżają się również premierowie czy ministrowie spraw zagranicznych kilkudziesięciu państw, z liczną asystencją i... gadają, gadają...

Nie wiem, jak na innych, ale na mnie osobiście robi dziwne, nawet nieco komiczne wrażenie, kiedy zespół kilku panów — prawdopodobnie, i wybitnej nawet inteligencji, ale z których jeden stale zamieszkuje w Portugalji, drugi w Argentynie, a trzeci w Chinach — mają decydować o sprawach, powiedzmy lokalnego zatargu Polski z senatem Gdańskim...

W okresie tych dwóch lat sprawy nasze na polu dyplomatycznym zbyt wielkich sukcesów nie osiągnęły. Co do naszego

przewlekłego sporu z Czechosłowacją o Jaworzynę, definitywny rezultat był dla nas niepomysłny. Pozatem Litwini otrzymują dostęp do morza w Kłajpedzie. Stosunek nasz do rządu litewskiego nadal pozostaje anormalnym, właściwie niema żadnych stosunków ani dyplomatycznych, ani konsularnych.

Granice obu państw są jakby w przededniu rozpoczęcia akcji wojennej.

W naszych drobnych nieporozumieniach z senatem Gdańskim najczęściej Liga Narodów przyznawała rację Polsce. Ale stałego mandatu w Radzie Ligi Narodów nie dostaliśmy jeszcze ani w 1924, ani w 1925 r.

Jednocześnie Ententa prowadzi nieustanne pertraktacje z rządem niemieckim o wejście Niemiec do Ligi Narodów.

Jesienią 1925 r. w zacisznem Locarno, na brzegu jeziora Maggiore, dochodzi do spotkania Ministrów Spraw Zagranicznych Ententy i Niemiec.

Akurat we wrześniu 1925 r. wypadło mi znów być w Lucernie, ale pojechałem tym razem nie dla odpoczynku, lecz do ciężko chorego syna, który znajdował się tam w sanatorium, skąd wkrótce odwiozłem go do Nicei. Wtedy właśnie rozstrzygała się sprawa, gdzie mają się spotkać ministrowie Ententy z p. Stresemanem. Miejscowe lucerneńskie władze robiły usilne starania, żeby się to odbyło w Lucernie i rozpoczęto już przygotowanie lokalu. Ale, jak twierdzono wtedy, największy wpływ na to, że zrezygnowano z Lucerny, miało — beznadziejnie szare niebo.

Tego roku lato w Lucernie było niezwykle dżdżyste; syn mój pisał nam, że w lipcu przez 25 dni padał deszcz i do końca września nie ustawał wcale.

Prawdopodobnie, żeby niepogodne dni nie wpływały ujemnie na nastrój zebranych, w ostatniej chwili zdecydowano się na więcej wysunięte na południe — Locarno, gdzie w przerwach, po wyczerpujących pertraktacjach pp. Briand i Streseman odbywali wspólne (sielankowe?!) przejażdżki po jeziorze.

Do Locarna został wezwany i nasz Minister Spraw Zagranicznych (p. Skrzyński); chociaż on i kontrasygnował niektóre z aktów „uchwały locarneńskiej“, ale faktycznie nie miał głosu decydującego w tych pertraktacjach, a poniekąd tylko doradczy.

Uważam za wskazane zaznaczyć, że prawie bezpośrednio po sielankach locarneńskich, rząd niemiecki zrywa z nami pertraktacje dotyczące zawarcia traktatu handlowego i wypowiada Polsce wojnę, co prawda, narazie tylko — celną...

Na zakończenie naszych spraw z zakresu dyplomatycznego, chcę zaznaczyć, że, nie zważając na katastrofalny stan finansów, ilość naszych placówek zagranicznych stale wzrasta. A zdawało się tak na czasie wyższym kierownikom odróżnianie tego, co jest „koniecznym“, od tego, co jest tylko „pożytecznym“. Najcharakterystyczniejszym było utworzenie naszego honorowego konsulatu w — Monte Carlo!!

Na ten luksus nie stać było cały szereg wielkich państw nawet i w okresie przedwojennym...

W życiu wewnętrznym Anglii i Francji zachodzi na tle politycznym dużo doniosłych wypadków i społeczeństwo w obu tych krajach daje dowody wielkiego poczucia obowiązków obywatelskich.

Mówią, że każdy naród ma taki rząd, na jaki zasługuje.

W anormalnych i trudnych warunkach postępowała rozbudowa całokształtu państwowego w zmartwychwstałej Polsce.

Jestem pewien, że przyszli historycy okres pierwszych lat niepodległościowych określą wyrazem „chaotyczny“.

Coprawda, Pismo Świąte głosi, że i świat powstał — z chaosu.

Pomijając nienawiść i prowokację niektórych naszych ościennych sąsiadów sam fakt istnienia Państwa Polskiego był już dla nich czemś nie do pomyślenia.

Z jednej strony perfidyjna prowokacja i podstawianie nam stołka na każdym kroku, z drugiej szalona propaganda wewnątrz kraju, na którą wydawano zawrotne sumy, w celu „skomunizowania“ Polski, wreszcie niezrozumienie, czy zanik poczucia obywatelskiego u — niestety — dość dużej części samego społeczeństwa, wszystko to, nie tylko utrudniało, ale wprost hamowało twórczą, ideową pracę jednostek, które z zapalem i poświęceniem szły do pracy, bez względu na urząd i stanowisko socjalne.

Najdonioślejsze w swych skutkach były dwie choroby dzieciinne, które przejść musiało małe nasze społeczeństwo.

Pierwszą z nich była: chęć przemalowania całej Polski na czerwono i to w jak najszybszym przeciągu czasu. Narzucany wszędzie i wtłaczany literalnie daltonizm wymagał ignorowania wszystkich odcieni po za „socjalistyczno-czerwonym“.

W znacznej części, zacni i dobrzy w gruncie Polacy, pod wpływem pewnego rodzaju hypnozy (a czasem i wyrachowania, — bo to się opłacało) z jednej strony, a umiejętnego pochlebstwa i tupetu z drugiej, jako posłuszni barankowie, próbowali burzyć wiekowe tradycje i wtłaczać życie w formy i wzory, wskazane bądź przez zakutych doktrynerów, bądź przez szczywanich lisów — kosmopolitycznych agitatorów...

Ten siew, rzucany od początku, w tym właśnie okresie zaczyna wydawać coraz więcej gorzkich owoców...

Drugą poważną chorobą, trzeba spodziewać się również przemijająco dziecinną, było rozpanoszenie się biurokratyzmu. Od góry do dołu, prawie wszędzie forma panuje nad treścią. Spróbuję przytoczyć kilka przykładów.

Nie miałem możności badać wyników wykonania budżetów rocznych z lat ostatnich. Ale mam wrażenie — i to słyszy się naokoło — że sporo pozycji w rocznych budżetach poszczególnych ministerstw faktycznie jest niewykonalnych w okresie budżetowym.

Mamy Najwyższą Izbę Kontroli Państwa, a rzeczowej, faktycznej kontroli w sprawach wykonania budżetów nie mamy, bo mamy to tylko stale post factum! Wszystkie uchylenia i nadużycia na tle budżetowym stają się wiadome Najwyższej Izbie po kilku latach. Sporo urzędów wprost sabotuje Izbę Kontroli; na zapytania i „urgensy“ Izby albo nie odpowiada wcale, albo po długich i ciężkich cierpieniach...

Byłoby zupełnie inaczej, gdyby była wprowadzona obowiązkowa przedwstępna kontrola, jak to jest nieodzownie wymagane w większości kulturalnych państw i wtedy już napewno pewne uprzywilejowane nasze „inwestycyjne“ wydatki nie miałyby tylu fantastycznych pozycji przy budowie luksusowych gmachów z artystycznymi meblami, marmurami, dywanami etc.

Dla poparcia moich poglądów co do faktycznego u nas chaosu w dziedzinie skarbowości, mógłbym przytoczyć całe szeregi dowodów, ograniczę się jednak kilkoma drobnymi.

1. W pozycjach budżetowych Ministerstwa wysilają się w wyszukaniu „pozycji dochodowych“ w swoich resortach. Żeby nie zabrnąć w tej puszczy, przytoczę jeden tylko „wzór“: Ministerstwo Spraw Zagranicznych dla zwiększenia pozycji dochodowych w wydziale konsularnym, ustala za polskie wizy opłaty, nie istniejące w żadnym innym państwie. Z tego powodu i wszystkie inne państwa „na prawach wzajemności“ wyznaczają za swoje wizy — ale tylko dla Polaków — również absurdalnie wygórowane ceny. Ale u nas nie bierze się pod uwagę jednego „szczegółika“, a mianowicie, że jeżeli polskich wiz wydaje się rocznie, powiedzmy, tysiąc, to Polacy potrzebują na swoje dowody osobiste rocznie dziesiątki tysięcy wiz...

Mówiąc o chaosie w dziedzinie wyznaczania podatków, przytoczę kilka następujących „autentycznych“ faktów.

2. W porządku chronologicznym muszę zacząć od „perły biurokratycznej“, która nosi datę 25 lutego 1919 r. Dokument ten, który miałem sposobność widzieć na własne oczy, jest następującej treści:

„Zarząd Stołecznego Miasta Warszawy“. „Sekcja M“ (prawdopodobnie mieszkaniowa). „Do Pana J. Piłsudskiego“. „Wezwanie za N.“... „Podaje się do wiadomości, że o ile w okresie 5 dni, nie będzie opłacony podatek w ilości 71 marek i 60 fenigów, z dodatkiem kary w ilości 72 fenigów, to na mocy takich, a takich artykułów należność zostanie wyegzekwowana“.

Dokument ten został przesłany do Belwederu, gdzie Komendant J. Piłsudski już zamieszkiwał od dłuższego czasu (i w pierwszej połowie lutego 1919 roku, został przez Sejm jednogłośnie powołany na Naczelnika Państwa!...).

3. W gazecie wileńskiej „Słowo“ w kwietniu 1924 r. wydrukowano list jednego z najpoważniejszych obywateli ziemskich (p. St. W.), w którym ten cyfrowo dowodzi, że wedle wymaganych stawek podatku dochodowego, w niektórych przedsiębiorstwach wypadnie opłacić podatek w wysokości — 860 procent od zarobku!...

4. W tymże roku Zakładom Starachowickim wyznaczono podatek dochodowy za rok 1925, w wysokości 350 procent od faktycznie otrzymanych zysków!...

5. Przyszedł do mnie student oglądać mieszkanie, by oszacować inwentarz, w celu wyznaczenia podatku „od zbytku“. Wręczył mi całą plikę kwestjonariuszy i miał przy sobie coś w rodzaju papierowego prześcieradła, które z trudem dało się ułożyć na stole.

Patrzac na jego gorliwe i w gruncie rzeczy poczeiwe wysiłki, przyszło mi na myśl, czemu nasza „młodzieńcza“ biurokracja ma być gorszą, od przysłowiowej — „chińskiej“.

6. Zakończę jeszcze jednym szczegółikiem. Biorę udział w licznych komisjach, w niektórych z nich jako przewodniczący. Kiedyś telefonuję p. sekretarzowi o terminie zebrania i porządku dziennym. Nazajutrz otrzymuję do podpisu wydrukowane zaproszenia dla każdego z członków, a między innymi figuruję i ja. Więc miałem zaprosić i — siebie samego!

W okresie ostatnich 3 — 4 lat tyle się mówiło i pisało o ujemnych stronach Sejmu, że chyba wszyscy mają tego dosyć, ale z obowiązku kronikarza zmuszony jestem ze swej strony wypowiedzieć i swój pogląd.

Na plenarnych posiedzeniach sejmowych lały się strumienie wody, zaprawionej octem i żółcią partyjnej nienawiści. Coprawda tego rodzaju przemówienia wygłaszano najczęściej przy pustych salach i to zmusiło Marszałka Sejmu do ustalenia kar pieniężnych za nieobecność na posiedzeniach. Lecz i to niezbyt pomogło, bo chociaż ilość pp. posłów stale „szambrujących“ w poczekalniach ministrów i dyrektorów departamentów może się zmniejszyła, ale faktycznie w dalszym ciągu większość suwerenów spędzała czas bądź w korytarzach sejmowych, bądź w ogrodzie sejmowym, zależnie od pory roku i niezależnie od niej w bufecie.

Tylko na galowych posiedzeniach było liczniej i często nawet nastrój stawał się tak „uroczysty“, — że łamano pulpity, grano na trąbkach, śpiewano chóralnie. Dochodziło do bójek, policzkowań i wynoszenia na rękach przez straż sejmową, niektórych z grona pp. posłów, zbyt — podenerwowanych...

I tak, choć w zespole 444 posłów sejmowych i 111 senatorów było wielu ideowych patriotów, ludzi godnych, ludzi wielkiej pracy, wobec ogółu byli oni bezsilni i tonęli w mętach szaryżny...

Miałem wrażenie, że wielu z nich, po nieudanych i daremnych próbach zmiany kierunku całokształtu pracy, zdecydowało się płynąć z ogólnym prądem partyjnym...

W lipcu 1925 roku przy głosowaniu w sprawie wyjątkowej doniosłości dla całego kraju, — w sprawie reformy rolnej głosuje tylko 302 posłów, a za niezwłocznem wprowadzeniem w czyn tej reformy (która w 1919 r. zasadniczo była zdecydowana większością — jednego głosu, również przy licznych nieobecnościach posłów), za projektem rządowym głosuje 200 posłów, przeciw 90 i 12 wstrzymuje się od głosowania.

Ale znamienity jest skład „większości“. — Stanowią ją: Piastowcy, wspólnie z „obszarnikami“ (właściciele ziemscy). Czyż to nie jest przykład do czego mogą dochodzić partyjne „krakowskie targi“ i zaciętrzewienie?!...

W tym okresie zachodzi szereg faktów, które wstrząsają nawet i naszą, zwykle niezbyt impulsywnie reagującą, opinią publiczną:

W jesieni 1924 r. w Krakowie odbywa się sąd w sprawie mordu ułanów w czasie rozruchów w listopadzie 1923 r. i ku wielkiemu zdumieniu i oburzeniu ogółu — wszyscy bez wyjątku oskarżeni, zostają uniewinnieni...

W biały dzień, na pociąg w ruchu, którym, w osobnym salonowym wagonie jedzie zespół dygnitarzy wojewódzkich, napadają bandyci, nawet w niewielkiej liczbie i lichu uzbrojeni...

Władze i ich ochrona są odrazu tak sterroryzowane, że bez żadnego oporu, dają nietylko bezkarnie zrabować pociąg, ale zachodzi fakt wyjątkowo charakterystyczny i wprost oburzający — nad niektórymi z wyższych przedstawicieli władz bandyci znęcają się fizycznie — i to uchodzą bezkarnie...

Społeczeństwo było również zaskócone ułaskawieniem skazanych na śmierć dwóch oficerów czynnej służby, komunistów (Bagiński i Wieczorkiewicz). Pomimo to, że został dowieziony cały szereg ich systematycznych i planowych przestępstw antypaństwowych.

Zostaje zdecydowane, że bez żadnej kary, będą odesłani do Bolszewji — na zamianę Polaków, tamże aresztowanych. Sądząc z prasy komunistycznej, przygotowano im owacyjne manifestacje na granicy i w Moskwie. Coprawda nie doczekali się tych owacyj, bo w chwili zbliżenia się pociągu do granicy, zastrzelił ich obu w wagonie jeden z byłych polskich urzędników (R. Muraszko), oburzony wyrokiem...

W październiku 1924 r. zostały przywiezione do Warszawy prochy Henryka Sienkiewicza, który umarł w Szwajcarji jesienią 1916 r., nie doczekawszy się za życia powrotu do wolnej ojczyzny.

Nie dlatego, żeby mówić o Jego zasługach, — bo to równałoby się wyłamywaniu drzwi już otwartych, ale mając na myśli poniekąd usprawiedliwienie wyżej przytaczanych smutnych i anormalnych przejawów okresu „chaotycznego“, dla zrozumienia i wczucia się w całokształt naszych przeżyć, cytuję kilka ustępów z mowy P. Ignacego Paderewskiego. Wypowiedział ją w Ameryce w 1916 r. na wieść o zgonie Henryka Sienkiewicza.

...,Po bohaterskiem a tragicznem powstaniu styczniowem, po niespodziewanym a sromotnym przez Prusaków Francji pogromie — na wielkich łańcach zawiedzionych polskich nadziei zazieleniało od chwastów zwątpienia.

Lud nasz się mnożył, rozrastał, ogromniał, lecz duch się rozpraszał, słabnął, upadał. Szerzyła się niewiara, a z nią i martwota...

Żle się działo wszędzie, ale najgorzej pod zaborem moskiewskim. Tam znosiliśmy nietylko niewolę i niedolę. Kazano nam znosić wszystkie cierpienia i bóle, wszystkie upokorzenia i poniżenia, jakie tylko znosić musi ustrój wyższy, ujarzmiony, podbity przez ustrój niższy. Tam rządziło bezprawie.

Ludzi uczciwych złożono z urzędów, pozbawiono chleba, wraz z rodzinami rzucono na bruk.

Zamknięto Szkołę Główną, zamknięto wszystkie polskie szkoły, — nahajką, bagnetem, armatą nawet, usiłowano nawracać lud nasz na prawosławną wiarę...

Truchleli ludzie. Najłękliwsi, zwłaszcza na kresach, nie śmiało jeno przyznawali się do polskości.

A gdy z jednej strony przez wrogie książki i podręczniki szkolne, plugawiące całą przeszłość naszą, sączyła się trucizna w młodociane dusze, — z drugiej pojawili się na widowni nowej nauki rzecznicy... Poczeli oni prawić o braterstwie narodów, o solidarności ludzkiej, o sprawiedliwości społecznej, o dobrobycie — za cenę wyrzeczenia się ideałów narodowych przyrzekali uroczyście niebo na ziemi.

Żadna świeżości, żadna nowych haseł młodzież, uwierzyła fałszywym prądom i rzuciła się tłumnie, by pić z zatrutego źródła, pić łakomie, namiętnie... Wtedy właśnie, za wolą Boga, powstał, zajaśniał wielki duch Sienkiewicza...

On nie załamał rąk swoich rozpacznie, jeno olbrzymiego jął się dzieła... W jego porywających utworach zagrzmiiała pieśń królewska, ogromnie przedziwna, przepotężna, pieśń, co podniosła z grobu umarłych, obudziła żywych a uśpionych, pokrzepiła żywych a osłabionych — uzdrowiła żywych, a zakazonych“...

Nie wiem, jakie wrażenie wywrą te fragmenty na moich czytelników, ale dla mnie, człowieka z pokolenia, o którym mówi Paderewski — jest to tak zrozumiałe, tak wyczute...

I właśnie ten ohydny system, stosowany przez zaborców względem Polaków, powodował wzmocnienie energicznego odporu!

W zespole naszej uczącej się młodzieży nawet i fachowi pesymiści nie mieli tych beznadziejnych poglądów, z jakimi spotykano się w byłej Rosji. Tam, tak zwana „inteligencja“ bardzo często wyśmiewała i mieszała z błotem wszystko, co swoje, narodowe.

Tam nie krępowano się w wygłaszaniu takich zdań, — „czem gorzej — tem lepiej“.

Najstraszniejszą klątwą każdej niewoli jest zwątpienie we własne siły, wyrasta z niej „płynięcie z prądem“ (rosyjskie „nie opieranie się złemu“), co jest już objawem marazmu duchowego...

Mojem zdaniem, dla naszego pokolenia sporo złego wynikało w tych czasach wśród uczącej się młodzieży polskiej wyższych uczelni w zaborze rosyjskim, z epidemią socjalistycznej.

Jedni, pod wpływem otoczenia, jeżeli nie wynaradawiali się, to uważali za pewnego rodzaju „dobry ton“ — lekceważenie patriarchalnych tradycji narodowych.

Ale w każdym razie stali oni o całe niebo wyżej od poziomu tuzinkowej inteligentnej młodzieży rosyjskiej.

Opowiadał mi jeden student, z bardzo zapalonych naszych ówczesnych „socjałów“, jak bardzo był zrażony i oburzony, słuchając przemówienia jednego z bożyszczy studenterii rosyjskiej, który wyjątkowo szczęśliwym trafem uniknął zamieszkania w kazamatach syberyjskich, kiedy w swojej mowie wyśmiewał wyrazy „narodowość“ i „patriotyzm“...

Jako wiceprezes i skarbnik Towarzystwa Dobroczynności w Petersburgu przez długi szereg lat, mogę świadczyć o poważnej ideowej pracy naszej młodzieży na tle narodowym.

Prawie bez wyjątku każdy najbardziej zruszczony i wynarodowiony student, pod wpływem koleżeńskim Polaków studentów, w krótkim czasie poczuwał się Polakiem. Muszę do tego dodać i to, że najbiedniejszy ze studentów, otrzymywał możliwość — i to bez zadrażnienia miłości własnej — korzystania z zapomóg materialnych z kas studenckich polskich, które zabezpieczały możliwość egzystencji w czasie studjów...

W Dzień Zaduszny w 1925 r. odbyła się uroczystość złożenia zwłok „Niezanego żołnierza“.

O ile nie było różnicy poglądów, co do sposobu wyboru pola walki (a mianowicie przez losowanie), z którego miano wykopać zwłoki, o tyle opinia publiczna podzieliła się przy wyborze miejsca pod grób. Jak wiadomo, ostatecznie zwłoki zostały złożone za pomnikiem Ks. J. Poniatowskiego, przy wejściu do Ogrodu Saskiego.

Po nabożeństwie w katedrze zwłoki z wielką uroczystością odniesiono do mauzoleum.

Najuroczystszym momentem była dwuminutowa „chwila milczenia“.

W uroczystości oprócz wojska brały udział i szkoły.

Dzień był pogodny, ale zimnawy. Dzieci stały w szpalerach przez dobrych parę godzin, a patrząc na zziębnięte i posiniąłe twarzyczki dzieciinne, pierwsze, co przychodziło do głowy to myśl: oby nie pozaziębiały się.

Uważam, że w naszym klimacie, tak w wiosenne, jak również i w jesienne miesiące nie powinno się narażać dzieci na za-
ziębienie, zwłaszcza, że zbyt często i zbyt wiele jest najrozmaits-
szych uroczystości i pochodów.

Przy tej sposobności chcę również zwrócić uwagę na zbyt
rozpowszechnione pieniądze publiczne kwesty.

Takiego publicznego narzucania się, z wymaganiem dat-
ków na najróżniejsze cele i przytem bez żadnej faktycznej kon-
troli — niema nigdzie.

W Warszawie zamożniejsi przyjezdni obcokrajowcy za-
trzymują się przeważnie w jednym z dwóch większych hoteli —
Bristol i Europejski. Tam więc zbierają prawie co dnia i był
czas, kiedy kwestowano nietylko w hall'ach hotelowych, ale ob-
chodzono nawet stoliki restauracyjne.

Obecnie nietylko, że to nie ustaje, ale są już nie „dnie“, ale
„tygodnie“ kwesty na najróżniejsze cele.

Wzrasta to tak, że jest obawa, że z czasem zamało będzie
wszystkich 52 tygodni w roku...

W 1925 r. Warszawa z czcią i uznaniem podejmowała Pa-
nią Curie-Skłodowską. Byłem na Jej uroczystem przyjęciu i od-
czycie na uniwersytecie; zebrani przyjmowali Ją owacyjnie.

Jesienią 1925 r. w krótkich odstępach czasu umierają nasi
najwybitniejsi pisarze: Żeromski i Reymont. Imię ostatniego,
laureata nagrody Nobla, stało się znanem całemu światu kultu-
ralnemu.

Nie brałem osobistego udziału w uroczystościach pogrze-
bowych, ale, sądząc z opisów były bardzo podniosłe. W pismach,
niezależnie od stronnictw, jakie reprezentowały, dysonansów nie
było, a trzeba przyznać, że to się zdarza nie zawsze, bo prasa naj-
częściej daje oświetlenie z punktu widzenia własnego zaścianka.

Był okres w mojej działalności, kiedy z urzędu codziennie
przedstawiano mi wycinki prasowe.

Miałem wrażenie, że patrzę w sferyczne lustra, gdzie
wszystko odbija się nienaturalnie, a najczęściej karykaturalnie...

Nic nie wspominałem o życiu towarzyskiem w Warszawie.
A o tem dałoby się napisać sporo, ograniczę się do kilku —
z mego punktu widzenia — charakterystycznych wskazówek.

Towarzyskiej „przedwojennej“ Warszawy prawie nie znałem wcale, bywaliśmy z żoną w Warszawie przeważnie tylko w przejazdach zagranicę, chociaż sporo osób z towarzystwa warszawskiego odwiedzało nasz dom w Petersburgu.

Po wojnie przez pierwsze 3 lata pobytu naszego w Warszawie, życie towarzyskie uwidacznia się przeważnie na zewnątrz: w sezonie ogrom zabaw publicznych, gdzie jaskrawą barwą przejawia się nasza odwieczna cecha, na tle życia towarzyskiego: „Zastawić się, ale postawić się“... Na balach publicznych dawało się widzieć sporo bardzo kosztownych (coprawda nie zawsze gustownych) toalet, wydawano szumne kolacje, z szampanem, zagranicznymi winami.

Wszystkie restauracje, cukiernie i cukierenki od rana do nocy są przepełnione...

W Warszawie zamieszkuje coraz liczniejsza kolonia korpusu dyplomatycznego, która szuka i pragnie życia towarzyskiego i odrazu poważna większość salonów, słusznie czy bezpodstawnie mających pretensje należenia do sfery „wyższego towarzystwa“, otwiera szeroko nie tylko drzwi swoich salonów w stolicy — często szczelnie zamykanych dla „swoich“, — ale i swoje wiejskie rezydencje, dla każdego obcokrajowca, mającego jakkolwiekbyś styczność z korpusem dyplomatycznym. Mówiąc o tem, muszę zaznaczyć, że były i takie, coprawda nieliczne, rodziny staropolskie, które u siebie w domu, po za urzędowymi wymaganiami, unikały przyjęć obcokrajowców.

Narazie do klubu myśliwskiego otrzymał stały, bardzo ułatwiony wstęp, cały zespół korpusu dyplomatycznego.

Ale po kilku latach „moda“ na obcokrajowców powoli zmniejsza się.

My z żoną od pierwszych miesięcy, siłą moich ówczesnych służbowych stosunków, weszliśmy w bliższy kontakt prawie z całym korpusem dyplomatycznym w Warszawie i muszę stwierdzić, że w tym zespole ludzi przeważnie inteligentnych, kulturalnych, dobrych form towarzyskich stosunki są nie tylko zupełnie poprawne, ale i przyjemne.

Pierwsze urzędowe i dość liczne przyjęcia rozpoczął były premier p. I. Paderewski, który wydawał stale obiady, a po nich odbywały się ożywione rauty.

Przypominam sobie taki fakt: oboje z żoną byliśmy proszeni na obiad na 8-ą. Z jakichś powodów obiad rozpoczął się dopiero o 9-ej. Na 10 g. 15 minut było zaproszonych jeszcze około 50 osób na raut. Obiad skończył się dopiero po 10½, i obok stołowego w salonie oczekiwało na zakończenie obiadu już ze 20 — 30 osób, a wśród nich był i Nuncjusz! (obecny Papież). Prezydent Wojciechowski przyjmował w Belwederze w czasie sezonu zimowego raz na tydzień „od 5 do 7“, przyjęcia były skromne i czasami urozmaicone deklamacją, śpiewami.

Na mieście sporo opowiadano o niektórych etykietalnych przeoczeniach w czasie tych przyjęć.

Były również i inne różne zgrzyty i uchybienia na tle etykietalnym.

Sluchając tych wszystkich opowiadań, niekiedy bardzo przeszarżowanych, ja osobiście, kładłem to przedewszystkiem na karb naszego protokołu, którego obowiązkiem, z mego punktu widzenia, było zapobiegać możliwości podobnych drobiazgów, które wywoływały czasami niepotrzebne i nieprzyjemne rozgoryczenie wśród gości i tem bardziej obcokrajowców.

Większość domów prywatnych w Warszawie urządzało nie więcej jak jedno, dwa większe przyjęcia rocznie. U nas poza „sobotami“ w sezonie było rok rocznie „tradycyjne“ (bo od pierwszego roku naszego ślubu) przyjęcie — samo przez się bardzo skromne — 12 grudnia, na którym zbierało się paręset osób.

W Korpusie Dyplomatycznym najczęściej urządzano obiady na 20 — 30 osób, a w ślad zatem rauty na 50 — 100 osób.

Od czasu zamieszkania w Warszawie, wszedłem do paru klubów stołecznych. Bywałem tam dość często i z przyjemnością, bo spotykało się tam sporo inteligentnych i ciekawych ludzi.

Ale widocznie w stołecznej atmosferze jest coś niezdrowego, coś w rodzaju gazów trujących, bo w sądach o ludziach i wypadkach często brakuje zimnej krwi, rozważa i analizy, a za dużo jest przesady i zacierzwienia na tle zakutej partyjności...

Z końcem 1925 r. daje się wyczuwać coraz większe ogólne zdenerwowanie i niepokój.

Coraz częstsze są zajścia wprost brutalne w Sejmie; niesmaczne, a często i ordynarne przemówienia, polemiki, a nawet zdrazieckie napady na ulicach i w samym gmachu Sejmu na bezbronnych wrogów partyjnych...

Ale co do polemiki, to przypominam sobie pewien zabawny epizod. Jeden z byłych ministrów, uniesiony zapałem polemicznym, mało tego, że ogłasza w prasie swój meldunek służbowy (który nie powinien być wcale ogłaszany — i co byłemu ministrowi przedewszystkiem należało się wiedzieć), ale kończy ten urzędowy dokument frazesem — „Dixi et animam meam salvavi“!!

Wielu ludzi jest przekonania, że ten anormalny stan na dłuższą metę trwać nie może!

Mnie osobiście przedmajowe miesiące 1926 r. w Warszawie przypominały to, co miało miejsce w b. Rosji w początku 1917 r., kiedy naładowane elektrycznością powietrze stało się duszne nie do zniesienia.

Tak duszno było i w Warszawie w pierwszych dniach maja 1926 roku...

Od dłuższego czasu ogólne niezadowolenie przeciw rządowi i Sejmowi wzrastało stale. Coraz częstsze „rekonstrukcje“, „koalicyjnych“ i „fachowych“ gabinetów wzbudzają tylko ogólne rozgoryczenie.

Pozatem wszystkim od 1923 r. — nawet i po dymisji Marszałka Piłsudskiego, animozja między „prawicą“ a nim nie ustaje i trwa bez przerwy, przejawiając się przy każdej sposobności. Najwięcej powodów ku temu dał projekt ustawy o ścisłej Radzie Wojennej i Naczelnym Wodzu — stanowiska, na które narazie, jedynym kandydatem był marszałek Piłsudski.

Politykując z sejmową grupą, wrogo usposobioną względem osoby Marszałka — ówcześni ministrowie wojny, najpierw generał Szeptycki, a następnie generał Sikorski, przy rozpatrywaniu w Komisji Sejmowej projektu tej ustawy, zgadzali się na taką redakcję, którą marszałek Piłsudski uważał za niemożliwą do przyjęcia...

Na tem tle zatargi przechodziły z murów sejmowych na teren stosunków prywatnych. Doszło do tego, że generał Szeptycki, czując się obrażonym wypowiedzianą przez Marszałka

opinią o nim, zwrócił się do Sądu Honorowego Generalskiego w sprawie wymagania od marszałka Piłsudskiego honorowej satysfakcji.

Przypominam sobie, że właśnie na ostatniem przed moją dymisją posiedzeniu tego sądu, na którem byłem jeszcze obecny, na porządku dziennym była ta sprawa i wybrano 3-ch członków, którym polecono pojechać do Sulejówka i rozmówić się osobiście z P. Marszałkiem w tej sprawie.

W listopadzie 1925 r. generał Sikorski przestaje być ministrem wojny (otrzymuje Dowództwo Korpusu we Lwowie), a ministrem wojny zostaje generał Żeligowski, który niezwłocznie wycofuje ten polemiczny projekt z Sejmu.

Następuje przez kilka miesięcy jakby pewne uspokojenie pod tym względem, ale w końcu lutego, kiedy znów jest mowa o nowej rekonstrukcji gabinetu i znów wysuwa się przez prawicowe grupy kandydaturę gen. Sikorskiego, Marszałek Piłsudski jedzie do Prezydenta Rzeczypospolitej i zakłada formalny protest przeciw kandydaturze generała Sikorskiego.

19 marca 1926 r. w dniu Imienin marszałka w Sulejówku zbierają się liczne delegacje wojskowe i, składając mu powinszowania, przez usta jednego z obecnych tam generałów „ofiarowują do Jego rozporządzenia swoje szable“...

Ogólne naprężenie wciąż wzrasta!

Przy obchodzie uroczystości 1 maja 1926 r., komuniści nabierają wiele tupetu i za wszelką cenę chcą urządzić demonstrację na ulicach Warszawy i połączyć się w pochody z delegacjami naszych partyj socjalistycznych.

Tamci nie chcą dopuścić do tego.

Na tem tle znów dochodzi do strzelaniny bojówek obu partyj, — są ofiary w zabitych i rannych. Ale jak w czasie największej burzy rekiny czatują na zdobycz, tak i u nas swojskie rekiny, z ogromnem napięciem i intensywnością, żerują, gdzie się da!

W początku maja nowy kryzys gabinetowy.

Po dłuższych przetargach 8 maja 1926 r. formuje się „nowy“ — „koalicyjny“ gabinet, „z nowym premierem“ — po-

słem Witosem!! Ministrem Wojny zostaje generał Malczewski. W sprawie tej ostatniej nominacji opinii Marszałka Piłsudskiego nie zasięgnięto.

Gabinet ten potrwał tylko formalnie do 15 maja, a faktycznie funkcjonował normalnie tylko do 12 maja...

12 maja jestem obecny na posiedzeniu w jednym z ministerstw.

Posiedzenie trwa już od paru godzin.

Telefon do przewodniczącego.

Ktoś długo zatrzymuje go przy trąbce telefonicznej.

Przewodniczący odpowiada ogólnikowo i wymijająco.

Po zakończeniu tej długiej rozmowy przewodniczący zwraca się do jednego z obecnych szefów i mówi, że „jeden z bardzo wpływowych członków Sejmu“ usilnie nalega, żeby jeszcze dziś przed zamknięciem biura zatwierdził umowę jakiejś firmy z rządem na poważną sumę w wielu milionach złotych.

Była to godzina pierwsza po południu.

Po 2-giej wracałem do domu.

Było mi wyjątkowo smutno; czułem się przygnębiony.

Mimowoli zwróciłem uwagę na dziwną — określiłbym zło-wrogą — ciszę na ulicach...

Po upływie kilku godzin usłyszałem ten, tak strasznej pamięci jeszcze z czasów bolszewickich, trajkot kulomiotów, a po jakimś czasie dobiegły i odgłosy strzałów armatnich!

Wrzód pękł!

Na ulicach Warszawy łała się bratnia krew!!...

ROZDZIAŁ IX.

Pytałem młodzieńca, czy wie, czym jest życie?

Wiem — odrzekł z zapalem, już znam należycie,

Do życia szeroko otwarte podwoje,

Gdzie muszą się ziścić uroczne sny moje.

Ta droga jest prosta, ku gwiazdom wiodąca,

Na której wyprzedza ten wśród tysięcy,

Kto wiarę ma w sobie, ręce ma zdrowe,

A w sercu odwagę, — i głowę.

Szlakiem ideałów.

Treść tego rozdziału nie jest kroniką dziejową osobistych przeżyć autora, a poniekąd próbą naszkicowania przykładu dla naszej ideowej młodzieży — duchowej sylwetki jednego z tych, któremu los nie dał wprowadzić w czyn szlachetnych zamiarów i chęci.

Piszę ten rozdział z nadzieją, że treść jego znajdzie odgłos i zrozumienie w zespole czytelników z grona naszej młodzieży i może w pewnym stopniu przyczyni się do podniesienia ducha, do większego umiłowania Ojczyzny i swoich bliźnich...

Uważam, że przytoczenie konkretnych faktów z życia jednostek w tym kierunku może przyczynić się skuteczniej, niż abstrakcyjne rozumowania i pouczania.

Dla swego usprawiedliwienia, chcę jeszcze zaznaczyć — że chyba każdy z nas sprawdził na sobie samym i na swoim otoczeniu fakt, jak bardzo może przyczynić się książka do uszla-

chetnienia — nietylko jednostki, ale i szerszych warstw społeczeństwa.

Obecny Papież Pius XI, opowiadał mi osobiście, że pokochał Polaków jako dziecko dzięki książce, którą przeczytał mając ledwie lat 8. Opisywano tam o znęcaniu się i męczeniu Polaków za ich przywiązanie do religii katolickiej — „Nie wiedziałem, gdzie jest ta Polska, i co to są za ludzie Polacy, ale od tej chwili pokochałem ich i to trwa po dziś dzień“.

Pisząc o wpływie książki, chcę zaznaczyć, że osobiście obawiam się, iż obecna młodzież jest mniej rozmiłowana w książce, niż nasze pokolenie, wyrosłe w niewoli, pod wrażeniem najrozmaitszych udręczeń naszego społeczeństwa przez zaborców. Ale poza podłożem na tle uczuciowym, obecnie istnieją, z mego punktu widzenia, jeszcze dwa powody mniejszego garnięcia się dzisiejszej młodzieży do książki, a mianowicie: zbyt wielkie przeładowanie programów szkolnych (mojem zdaniem obecni pedagodzy często czy nie chcą, czy nie umieją odróżnić materiałów „koniecznych“ od „pożytecznych“), a z drugiej strony przesadne rozmiłowanie się młodzieży w sportach.

W tym rozdziale czytelnik ma zaznajomić się z biografią młodzieńca, na tle jego czynów i cech indywidualnych, które wyświełtają się bądź z fragmentów, przytaczanych z jego dziennika, bądź z wydrukowanej opinii o nim jego przyjaciół i znajomych.

Pozatem dla należytego wyświełtlenia jego duchowego portretu, uważałem za niezbędne dać jeszcze kilka posunięć pędzla dla odmalowania całokształtu — tła.

Uczynię to, unikając — w miarę możliwości — sentymentu ojcowskiego!...

Cechy, podkreślające Jego wartość duchową, to wysoki poziom inteligencji, szlachetność i dobroć.

Nie był nigdy bigotem, ale głęboko religijnym i ostatnimi Jego słowa przy konaniu były: „Wyroki Boskie są niezbadane“...

Od najmłodszych lat miał odwagę nieukrywania swoich przekonań. Spędzając swój krótkotrwały żywot wśród otoczenia obcego, stale podkreślał swoją polskość szcycąc się tem, że jest Polakiem.

W najtrudniejszych dla niego samych chwilach nikt nie odszedł od niego bez pomocy.

Kiedy odjeżdżałem z Nicei (po Jego śmierci), przed odejściem pociągu zebrała się grupa przyjaciół; wśród nich znalazła się jedna starsza pani, którą poznałem przy eksportacji zwłok syna do kaplicy.

Podeszła do mnie i opowiedziała, co następuje: — W początku 1926 roku, będąc w Nicei, syn mój, nie znając jej przedtem, przypadkowo dowiedział się o jej bardzo ciężkich warunkach materialnych. — Miała przed wojną na Podolu duży majątek, wszystko straciła i ktoś z jej byłych przyjaciół dał jej poikoł w suterenie swojej willi.

Ale od chwili, jak się syn mój o tem dowiedział, do ostatniej chwili przysyłał jej miesięczny zapas — kawy, herbaty, cukru etc.

Niezależnie od tego, czy Ala był w Nicei, czy nie, otrzymywała zasiłki te nadal i mało tego: na Boże Narodzenie i na Wielkanoc dostawała jeszcze bądź małe święcone, bądź coś na wilję, chociaż Ala był wtedy w Egipcie...

Dla niego (jak również i dla Jego Matki) nie istniały żadne przeszkody, żaden czas nieodpowiedni — zdarzało mu się nieraz wyjeżdżać z domu i nocą, o ile wymagała tego niezwłoczna pomoc, niesiona bliźniemu...

Przytoczę autentyczny fakt, o którym dowiedziałem się zupełnie przypadkowo.

W wilję ostatniego odjazdu Ali z Warszawy do Nicei (jesienią 1927 r.), a następnie do Egiptu, zaproponowałem zdjęcie wspólnej naszej grupy. Czasu było mało, więc zaprosiłem fotografa do mieszkania. Widzę, że fotograf bardzo uważnie wpatruje się w syna i na koniec pyta go:

„Czy nie był Pan 9 lat temu angielskim oficerem“?

Syn to potwierdza.

„Czy przypomina Pan sobie kiedy, jako angielski oficer ratował Pan ośmiu Polaków, żołnierzy rosyjskich? Było to w Baku; wyrwawszy ich od bolszewików, ulokował ich Pan na statku angielskim, który odchodził do Konstantynopola“.

„Przypominam sobie“.

„Jestem jeden z tych ośmiu“...

Był bardzo lubiany przez kolegów i w gronie swoich przyjaciół i znajomych. Przytoczę mały przykład:

Któż z nas, dużo podróżując, nie zaznał tego odrębnego trybu życia bądź hotelowego, bądź w pensjonatach.

Osobiście podróżowałem przez okres zgórą czterdziestoletni, ale nigdy nie zdarzało mi się brać udziału w zbiorowych grupach, a tem bardziej odbierać takowe. U syna znalazłem dużą fotografię, gdzie jest on w centrum grupy, składającej się z 30 zgórą osób. Fotografia ta opatrzona jest podpisami osób, mieszkających w pensjonacie i następującą dedykacją: „Naszemu drogiemu i czarującemu („cher charmeur“) p. Aleksandrowi Jacynie, jako odwieczną pamiątkę jego pobytu w pensjonacie“...

Urodził się w Petersburgu. Kurs pierwszych klas gimnazjalnych Ala studjuje w domu i tylko składa egzamina, ale po ukończeniu 14 lat wstępuje do klas gimnazjalnych Cesarskiego Liceum, a następnie Uniwersyteckie kursa kończy w Cesarskiej Szkole Prawa.

Wychodząc z założenia, że żadna ze szkół ówczesnych rosyjskich nie stała na wysokości zadań wychowawczych, zdecydowaliśmy z żoną, że po ukończeniu tych zakładów syn uzupełni wykształcenie uniwersyteckie w Anglii.

Dla ułatwienia mu tych przyszłych studjów, Ala, po ukończeniu 16 lat zaczyna spędzać letnie wakacje w Anglii.

Wybuch wojny wszechświatowej zastaje go w Anglii, skąd szczęśliwie wraca do Petersburga przez Danję i Szwecję.

Po powrocie do Petersburga oświadczył mi, że chce wstąpić do wojska. Na to żartobliwie odpowiedziałem mu, że chyba rozpocznie wojnę — ze mną... Bo choć rozumiem jego zapał i chęć wzięcia udziału w wojnie, gdzie będą ważyć się losy i naszego narodu, przede wszystkim musi zdobyć — patent wyższej szkoły. Ale jednocześnie zaproponowałem mu połączenie obu tych prac, naukowej i społecznej w ten sposób, że cały wolny czas może pracować przy wojsku, narazie chociażby jako sanitariusz przy pociągach dla rannych.

W kilka dni po powrocie syn odjeżdża i pracuje na austriackim froncie przy pociągu sanitarnym. Wraca do szkoły w drugiej połowie września. Do początku grudnia załatwia się

z repetycjami i przez kilka tygodni znów pracuje w czołówce na Bzurze, gdzie nawet pod ogniem szrapnelowym wynosi rannych.

Za swoją pracę zostaje urzędowo udekorowany.

Wiosną składa egzamina w szkole i znów około 4-ch letnich miesięcy spędza na froncie, jako zastępca dowódcy transportu sanitarnego.

Pracując tam jednocześnie wysyła korespondencję do angielskiej gazety Daily Mail.

Co do jego wojskowości, to byliśmy z początku spokojni, bo „jedynaków“ do wojska nie brano. Ale w końcu 1915 r. ulga ta została anulowana, więc zgodziliśmy się chętnie na to, żeby po ukończeniu szkoły prawa, kiedy już dostał patent i był nawet mianowany urzędnikiem do Senatu, wstąpił razem z innymi kolegami ze szkoły na 8-miesięczne kursa oficerskie do Korpusu Paziów. Oboje z żoną, jak i wiele innych, marzyliśmy, że przez ten czas wojna się skończy...

Szkolę skończył pomyślnie i 1-go października awansował na oficera artylerji gwardji.

W szkole paziów kolegowała z nim spora paczka Polaków; stosunki koleżeńskie były tam doskonałe.

Był z nim na jednym kursie głośny obecnie — jako zabójca Rasputina — książę Jusupow, ożeniony z córką siostry cesarza Mikołaja II. Mój syn był z nim w przyjaznych stosunkach nietylko w szkole, ale i w latach następnych.

Wkrótce jedzie na front do służby w szeregach armji czynnej.

Pobyt jego na froncie trwa tylko kilka miesięcy, bo udaje mi się dostać dla niego placówkę w Anglii przy wojskowej komisji zakupów w Londynie, na stanowisko zastępcy doradcy prawnego.

Złożyło się tak szczęśliwie, że syn mój zdążył przyjechać do Petersburga w połowie lutego 1917 r. i 21 lutego wyjechać z Petersburga ostatnim syberyjskim ekspresem...

Dalej przytoczę niektóre daty i miejscowości, wzięte z dziennika mojego syna.

21-go. Noc. Pociąg w ruchu... Wielki smutek mnie ogarnia, kiedy pomyślę o tem, że tak na długo wyjeżdżam z domu...

3 marca. — Przyjeżdżamy do Władywostoku i tam dowiadujemy się o rewolucji w Petersburgu. Zdążyłem tegoż dnia szczęśliwie odjechać na statku japońskim do Curugi.

6 Marca. — Jestem w Tokio.

19 marca. Jutro ruszam dalej. Jestem pod wielkim urokiem swoistej piękności tego oryginalnego kraju w okresie rozkwitu wiosny. Również jestem z wielką czcią dla kultu tego narodu.

20 marca siada na statek w Jokohamie; statek szedł dość powolnie, zatrzymując się w Honolulu, gdzie syn spędza dzień Wielkanocy.

13 kwietnia jest w San-Francisco i pozostaje tam parę dni. Następnie zatrzymuje się na Niagarze, a w końcu kwietnia przyjeżdża do Nowego Yorku, gdzie zostaje zatrzymany przy rosyjskiej misji wojskowej i dopiero 4 czerwca może wyjechać do Anglii (na statku „Adriatic“).

W czasie pobytu w Nowym Yorku odwiedza dom pp. Pa-derewskich.

Po przyjeździe do Londynu, niezwłocznie obejmuje swoją służbową placówkę zastępcy doradcy prawnego.

Praca trwa bez przerwy do stycznia 1918 r.

W Londynie przyjmują go w wielu domach towarzystwa angielskiego, poznaje również kilku wybitnych Polaków i nawet zostaje przyjęty do Klubu Polskiego, dzięki czemu bierze udział w polskich zebraniach politycznych.

Jak ten chłopiec, pracując ledwie kilkanaście miesięcy, potrafił w czasie tak krótkiego pobytu w Londynie, zaimponować swoją inteligencją osobom wybitniejszym, może służyć napis na książce, którą ofiarowuje mu znana redaktorka i który brzmi — „Wspólność ideałów, to najlepszy sojusz narodów“!

W październiku przyjeżdża do Petersburga jego szef (Generał Germonius) i bardzo dodatnio wyraża się w Ministerstwie o pracy mojego syna.

Jesienią 1917 r. wakuje stanowisko delegata Ministerstwa Marynarki w tejże komisji (na miejsce odwołanego generała P.).

Od czerwca pracowałem w Naczpolu, gdzie byłem obrany na wiceprezesa, przewodniczącego komisji wojskowej i skarbnika.

Gdybym nie uważał za obowiązek społeczny pozostawać na tem stanowisku, z wielką łatwością objąłbym stanowisko delegata marynarki w Londynie, gdyż z ówczesnym ministrem marynarki, kapitanem 1-ej rangi Wierdieriewskim, łączyły mnie długoletnie przyjazne służbowe stosunki.

Bylibyśmy wszyscy razem! Ratowałbym znaczną część swego mienia!...

Z listów syna do nas nie przeczuwaliśmy, że nas czeka wkrótce bardzo przykra niespodzianka, a mianowicie: po przewrocie bolszewickim, syn decyduje się zrzucić mundur rosyjski, a nie mogąc trafić do polskich formacji, w końcu grudnia 1917 roku zgłasza się do angielskiego Ministerstwa Wojny i zostaje przyjęty jako oficer, ale z tym warunkiem, że natychmiast musi odjechać do Mezopotamji, w składzie ekspedycji o specjalnem przeznaczeniu („Dansterforce“).

29 stycznia syn porzuca Londyn.

W wilgę odjazdu przyjaciele wyprawiają mu pożegnalną kolację, a kiedy wraca do domu, zastaje u siebie w pokoju wielki nieład. — Dom, który zamieszkiwał, trafiła bomba, rzucona z niemieckiego aeroplanu.

Ekspedycja została wysłana na dwóch statkach i już na drugi dzień na pełnem morzu jeden statek (ten, który szedł ztyłu) zostaje zatopiony przez łodzie niemieckie.

O tej podróży notuje w dzienniku, pod datą 18 marca:

„W dniu moich urodzin jestem w Szat-El-Arab — przejechaliśmy miejsce, gdzie wedle Starego Testamentu, był — raj. Obecnie jest tam stacja telegrafu bez drutu!

Rok temu w tym dniu byłem na żółtem morzu. Drugi rok zrzędu jestem w tym dniu daleko od rodziców i domu...

Około 28 marca ekspedycja jest już w Bagdadzie.

Następuje bardzo uciążliwy i niebezpieczny dziesięciodniowy przemarsz piechotą do Kazwina, który rozpoczynał się nad rankiem przy przenikającym chłódzie, podczas gdy koło południa był już tropikalny upał.

Poprzednia ekspedycja, w czasie podobnego przemarszu, została wyróżniona przez Kurdów.

Pod datą 21 kwietnia zapisano w dzienniku: „Samid-Kiriad“.

Spotkaliśmy Wielkanoc na 2.000 metr. wysokości. Druga Wielkanoc tak daleko od domu“.

Następnie po długich, ciężkich przemarszach dostaje się do Teheranu, a następnie wydelegowany zostaje do Sztabu ekspedycji.

Dowództwo angielskie przydziela go do Sztabu jako łącznikowego w sprawach dyplomatycznych, z tego powodu często wysyłają go do różnych miejscowości.

Z dziennika jego widać, że kilkakrotnie był w Batumie, Enzeli, Hadamanie, Kazwinie, Kiermanszachu, Resztie, Baku, Tyflisie.

Latem 1918 roku notuje w swym dzienniku dwukrotną chorobę. Tyfus plamisty, a w kilka miesięcy potem, malarję, ale z obu wychodzi prędko i szczęśliwie wraca do zdrowia.

Pod datą 5 listopada zapisuje w tymże dzienniku:

Enzeli. „Dziś zrana dostałem pierwszy list z domu, od chwili wyjazdu z Anglii. List, pisany 13 czerwca. Dzisiejszy dzień, najprzyjemniejszy, od chwili mego wyjazdu. W liście fotografia Papy — jak on schudł... Daj Boże jak najprędzej zobaczyć się z Mamą i Papą u siebie w Ojczyźnie, w pełnem zdrowiu“.

W styczniu 1919 r. udaje się nam, dzięki bawiącemu w Warszawie angielskiemu pułkownikowi Wood, wejść w kontakt z synem.

Skoro się tylko syn dowiadyuje, że jesteśmy już w Warszawie, natychmiast wraca do Polski i, będąc przejazdem w Paryżu wstępuje do armji Hallera...

W sierpniu 1919 r. jest w Warszawie; spotykamy się wreszcie po 2½ latach niewidzenia się.

Po powrocie do Warszawy nie czuje się zupełnie dobrze; ma, od czasu do czasu, ciężkie ataki malarji, nabytej w Mezopotamji.

W Warszawie dostaje przydział jako oficer łącznikowy przy Szefie Misji Francuskiej, generale Henrysie, ale to trwa niedługo: w końcu września grozi nam nowe rozstanie się z synem, ponieważ usilnie namawiają go, by jechał natychmiast

do Waszyngtonu, jako „attaché“ dyplomatyczny przy naszym pierwszym poselstwie.

Po krótkim namyśle, syn mój decyduje się na wyjazd, uważając przyjęcie takiego stanowiska za swój społeczny obowiązek, ale prosi o kilkotygodniowy urlop, który spędza w sanatorium w Szwajcarii.

W czerwcu 1920 r. decyduje się pójść na front i wyjeżdża z Waszyngtonu do kraju. Szło to w tak szybkim tempie, że będąc w pierwszych dniach lipca służbowo we Francji, rozmijam się z nim i dopiero w Paryżu dowiaduję się, że był on także w stolicy Francji, lecz tylko przejazdem, bez zatrzymania się, prawie z pociągu na pociąg.

W Warszawie syn mój pozostaje na służbie przez cały czas inwazji jako adjutant gubernatora Warszawy, generała Latinika, a następnie po odparciu bolszewików z pod Warszawy do późnej jesieni jest na froncie.

Wraca w listopadzie, a 25 grudnia (po 5 latach spędzamy wilję razem) jedzie do Opola, do komisji przy pośle Korfantyńskim, gdzie ma poważną i nawet niebezpieczną pracę (bo w czasie służbowych rozjazdów niejednokrotnie bywał pod strzałami) nie tylko przed plebiscytem, ale i potem aż do późnej jesieni.

Pisze do nas 2 stycznia 1921 r.: „Nowy Rok spotkał się w naszym konsulacie — z rewolwerami w rękę i ręcznymi granatami na stole, bo zaagitowany tłum szowinistów-Niemców, rozbijał bramę konsulatu; trwało to, nim nie przyszedł baon wojsk Ententy“...

Latem 1922 r. zostaje przydzielony przez Min. Spr. Zagr. do delegacji korespondentów angielskich i obwozi ich po całej Polsce. Zadanie swoje widocznie spełnił należycie, bo oto po ich odjeździe otrzymuje z Anglii „wieczne“ złote pióro z dołączeniem wyjątkowo zaszczytnego dla niego listu, podpisanego przez wszystkich uczestników podróży.

W 1923 r. — z powodu „dyplomatycznie“ (czytaj perfidnie) robionych mu wstrętów przez wpływowego urzędnika z resortu personalnego syn mój opuszcza Ministerstwo i obejmuje przedstawicielstwo na Polskę poważnej zagranicznej firmy leśnej.

Oto charakterystyczniejsze momenty z Jego życia!

W styczniu 1925 r. choruje na ropne zapalenie płuc i zostaje dwukrotnie operowany w Warszawie.

W kwietniu odwożą go do Meranu, gdzie okazała się potrzeba nowej operacji.

Po operacji stan jego polepsza się o tyle, że przy rozpoczęciu upałów, jest w stanie odbyć podróż do Szwajcarii, jeszcze nie kolejną, a specjalnym samochodem, w którym był nie tylko zapas ciepłych okryć, ale i mały piecyk.

Wieźli go bowiem do Lucerny nawet przez śnieżne góry — przez Davos.

W Lucernie został ulokowany w sanatorium, ale nie miał szczęścia, bo nie tylko lato było wyjątkowo dżdżyste i stan jego znów się pogorszył, lecz w dodatku chirurg w Lucernie — jak mi tłumaczono potem w Nicei — zbyt wcześnie zamknął otwór, przez który ropa miała ujść.

Wzywają mnie do Lucerny, skąd przewożę go do Nicei w specjalnym wagonie („kranken-wagen“). Jak odmienne były warunki przewozu chorego z Warszawy, a z Lucerny.

W Warszawie wieziono go ze szpitala Ujazdowskiego na dworzec sanitarnym samochodem wojskowym, któremu albo brakowało resorów, albo były one uszkodzone, bo jazda była wprost męczarnią dla zdrowych, a coś dopiero dla chorego. A najgorszy był przejazd przez źle wybrukowane i słabo oświetlone aleje szpitalne.

Chorego do wagonu wnieść nie było sposobu. Na rękach podali go przez okno sleepingu.

W Lucernie wygodne sanitarne auto wjechało wprost na peron. Drzwi wagonu otworzyły się, jak w wagonach bagażowych i chory został od razu ulokowany w wygodnym łóżku...

Po kilku tygodniach zdecydowano nową operację dla dania ujścia ropie...

W Nicei stan jego po operacji polepsza się tak, że w sierpniu 1926 r. może sam przyjechać do kraju.

Na zimę jedzie do Egiptu — do Asuanu, — który leży w niedalekiem sąsiedztwie Sahary.

Zdrowie mu się tak poprawia, że wraca prawie do tej wagi, jaką miał przed chorobą, i wmiarę poprawy zdrowia coraz intensywniej pracuje nad przestudjowaniem ekonomicznego

stanu Egiptu, mając na celu zawiązanie stałych stosunków handlowych Polski z Egiptem.

W maju 1927 r. syn przyjeżdża z Egiptu do Nicei, gdzie pozostaje do sierpnia.

Ze zdrowiem jest stanowczo lepiej; wraca do Warszawy, gdzie bawi do końca października i bardzo pomyślnie organizuje Izbę Handlową Polsko-Egipską.

Z polecenia nowopowstałej Izby i za sankcją Ministerstwa Spraw Zagranicznych ma być od stycznia w Egipcie, celem zorganizowania tam odpowiedniej Izby Egipsko-Polskiej w Kairze.

Listopad i grudzień spędza w Nicei. W jednym z listów pisze, że 12-go grudnia w dniu swych imienin urządza on większe przyjęcie dla swoich przyjaciół i znajomych; odwiedza go i były minister spraw zagranicznych w Rosji, w okresie wielkiej wojny, p. Sazonow, który przyniósł mu w upominku pierwszy egzemplarz tylko co wydanych tam swoich wspomnień. W kilka dni potem (16 grudnia) p. Sazonow nagle umiera i Ala jest na jego pogrzebie...

Nowy Rok zastaje go w pociągu, bo żeby zdążyć na statek, odchodzący 1 stycznia z Brindisi do Aleksandrji wyjeżdża 31-go grudnia wieczorem z Rzymu, gdzie wówczas bawił przez kilka dni. Miał w Rzymie kilka zaproszeń na Nowy Rok, ale pilno mu było jak najprędzej rozpocząć pracę w Egipcie. Niedługo potem przesyła do Warszawy wycinki z poważnych pism w Kairze o interwiewie z nim w sprawach handlu Polski z Egiptem. Składa też wyczerpujące i treściwe sprawozdanie do Min. Spr. Zagr. o aktualnych sprawach ekonomicznych i politycznych w Egipcie. W listach swoich pisze, że ma dużo ułatwień, gdyż nie tylko wśród korpusu dyplomatycznego spotyka swoich znajomych i nawet byłych współkolegów z Waszyngtonu, ale i wśród wyższej administracji wojskowej angielskiej spotyka kilku ze swoich byłych szefów z okresu pobytu w armji angielskiej.

Sprawa zorganizowania Izby posuwa się szybko, lecz w końcu lutego syn dostaje recydywy zapalenia płuc.

O ile można sądzić z jego listów i listów doktorów, powodem było silne zaziębienie (i gdzie — w Egipcie!).

Mieszkając dla zdrowia w Heluanie, musiał stale jeździć do Kairu, gdzie często pozostawał do wieczora, a w tamtejszym klimacie różnice temperatury są bardzo wielkie w ciągu dnia; temperatura bowiem dochodzi w południe do 40°, a wieczorami spada prawie do 0°.

Z powodu tej nowej komplikacji musi niezwłocznie jechać daleko na południe, — znów do Assuanu, ale jego nieobecność nie opóźnia pracy, przez niego podjętej, gdyż z jego upoważnienia w marcu już zostaje otwarta Izba Handlowa Egipsko-Polska z zatwierdzonym statutem.

W maju wraca do Nicei, ale jest jeszcze tak osłabiony, że w powrotnej drodze potrzebuje opieki pielęgniarki.

W Nicei trafia na okres wyjątkowych upałów, które go coraz więcej osłabiają.

Rwie się do wyjazdu do kraju, „do sosnowych lasów“, stale pisze do nas o terminach powrotu. Nic groźnego nie było i w listach doktora.

Dopiero od drugiej połowy lipca zaczęły dochodzić wiadomości bardziej niepokojące.

Kiedy wreszcie przyszła wiadomość, że próba wyjazdu w góry, przed dłuższą podróżą do kraju, pogorszyła jego stan, jadę do Nicei. Zastaję go strasznie osłabionego, ale konsylium, zwołane w dzień mego przyjazdu, decyduje, że syn będzie mógł wyjechać.

W parę dni potem — 6 sierpnia — skończył, w pełnej przytomności, ciągle marząc o powrocie do kraju...

Ciało jego przewieziono do Warszawy.

Śmierć ta znalazła serdeczny oddźwięk współczucia wśród wielu, wielu!

Setki depesz, listów, wizyt!

Mimo, że był to czas wakacyjny, tłumy życzliwych i dobrych ludzi uczestniczy w pogrzebie...

Oto szkicowy życiorys mojego syna!

Dalej przytaczam dosłowne fragmenta z artykułów, drukowanych o nim w polskiej prasie (przytem w pismach najróżniejszych obozów politycznych) i z niektórych listów, nam nadesłanych.

Zmarły w Nicei, ś. p. Aleksander Jacyna, był typem człowieka czynu; jego krótkie, przedwcześnie przerwane życie — to pasmo wysiłków, podejmowanych zawsze z najszlachetniejszą myślą zdobywania coraz to nowych wartości, któremi mógłby jak najlepiej służyć swojemu krajowi i państwu...

W czasie wojny wszechświatowej, jako wysoko ceniony przez swe władze, jako wybitna siła organizacyjna, wysłany zostaje do Londynu dla rozwijania współpracy angielsko-rosyjskiej.

Po przewrocie bolszewickim wstępuje do armji angielskiej w Mezopotamji, a z chwilą utworzenia armji Hallera staje jako jeden z pierwszych w jej szeregach.

Po ukończeniu wojny wysłany jest do poselstwa naszego w Waszyngtonie. Na wieść o najeździe bolszewickim wraca do kraju i chlubnie odznacza się na froncie, otrzymując „Krzyż Walecznych“.

Z kolei wysyła Państwo znów ś. p. Aleksandra Jacynę na jeden z odpowiedzialniejszych posterunków: do komisji plebiscytowej na Śląsku, gdzie wybitnie się wyróżnia, zdobywając sobie nowe odznaczenia: Krzyż Walecznych.

W 1922 r. pracuje w centrali Min. Spr. Zagranicznych, a potem w przemyśle leśnym. Podczas tej pracy nabawia się ropnego zapalenia płuc.

Wyjeżdża na kurację do Egiptu, gdzie mimo choroby, poświęca się studjom nad gospodarczą sytuacją kraju, aby po powrocie założyć izbę handlową polsko-egipską w Warszawie i odpowiednią w Kairze.

Niestety, stargany ciężkimi przeżyciami wojny, w której ś. p. Jacyna nigdy siebie, ni zdrowia nie oszczędzał, organizm nie mógł zwalczyć trawiącej go choroby...

Zmarł w Nicei, pozostawiając po sobie nieskalaną pamięć czystego człowieka i gorąco kochającego Ojczyznę Polaka, człowieka, który był zawsze pierwszy, a nigdy niestrudzony w służbie dla Polski, poświęcając Jej swoją krew na polach walki i swój ciężki znój w warsztacie pokojowej pracy.

W Nicei zmarł po długich i bardzo ciężkich cierpieniach, ś. p. Aleksander Jacyna, porucznik rezerwy wojsk polskich, oficer królewskiej artylerji angielskiej, prawnik, attaché przy naszym poselstwie w Waszyngtonie, inicjator i organizator Izby Handlowej Polsko-Egipskiej.

Ten duży wykaz działania mieści się w granicach krótkiego życia — trzydziestu paru lat, ale życia, które do końca, po ostatni niemal dzień niezmordowanie tętniło energją i żądzą czynu.

Ś. p. Aleksander Jacyna mógł być brany jako wzór tej właśnie nieugiętej energji i tężyzny.

Chciał żyć, by działać.

Do ostatka pilnie wsłuchiwał się w głosy z Polski, zawsze czujny, zawsze odważny w przekonaniach, rycerski, niezdolny do kompromisu...

Wybuch rewolucji zastał go w Angli na stanowisku członka misji wojskowej. Mając odcięty odwrót do Rosji, gdzie wówczas powstawały formacje wojskowe polskie, ś. p. Aleksander Jacyna wstępuje do artylerji angielskiej.

Po powrocie do kraju wyjeżdża znów za ocean do naszego poselstwa do Waszyngtonu...

Bierze następnie czynny udział w naszej wojnie z Rosją Sowiecką.

Podczas wyborów do Sejmu kandydował z Białegostoku.

Z przekonanych monarchistów i narodowców brał żywy udział w życiu społecznym kraju.

Dużoby zrobił dla Polski - gdyby nie przedwczesna śmierć.

W kołach licznych przyjaciół pozostawił jak najlepszą pamięć.

Niech odpoczywa w Bogu.

Ś. p. Aleksander Jacyna należał do rzędu jednostek niepospolitej woli i hartu ducha.

Starannie wychowany, otrzymawszy wyższe wykształcenie, miał możność zużytkować swoją wiedzę i talent na różnych stanowiskach.

Nietylko jako oficer zdobywa sobie uznanie i odznaczenia (Krzyże Walecznych i Krzyż Śląski) armji polskiej i angielskiej, ale i swój talent dyplomatyczny rozwija na placówce w Waszyngtonie, a następnie jako założyciel Izby Handlowej Polsko-Egipskiej.

.
Dzielny i prawy człowiek ś. p. Aleksander Jacyna spoczął dziś na Powązkach.

Dzielny żołnierz, prawy Polak, niestrudzony organizator, ś. p. Jacyna zarówno w czasie wojny 1920 r. jak i wszędzie, gdzie był zatrudniony wykazał niepowszednią dzielność, zalety charakteru i energję.

.
Jakże bolesne jest pożegnanie młodego męża, przeciętego ciężką i długotrwałą chorobą płucną...

Dusza to była szlachetna i dobra, — tem bardziej żal, serdeczny żal, gdy takie kwiaty giną wśród rozlewającego się błota chamstwa.

Wychowany bardzo starannie, zmarły, jak się zdawało, miał najpiękniejsze nadzieje wybitnej pracy w politycznej służbie Ojczyzny, ze względu na powagę myśli, przywilej charakteru i urodę życia.

.
Był on jednym z inicjatorów głównych przy zawiązywaniu akcji monarchicznej w Polsce. Monarchistą był nie przez doktrynę, ale przez młodzieńcze poczucie dobra, sprawiedliwości i piękna. Wychowany w środowisku miejskiem Petersburga, tem goręcej rwał się do polskości czystej, którą wyobrażał sobie wzniosłą i bezkompromisową. Twarde jest nasze otoczenie dla roślin delikatnych...

...Umarł. Bóg tak chciał. Święta jest Jego wola.

Pamięć o poruczniku Jacynie wśród nas nie zwiędnie, — nabierze wyrazu w miarę, jak przyszłe wypadki stwierdzać będą słuszność naszych poglądów i zamierzeń. Dla ludzi starych postać szlachetna młodzieńca pozostaje pełna uroku i nadziei, a dla młodych jest to więź koleżeństwa pełnego godności...

Z otrzymanej bardzo wielkiej ilości depesz i listów, przytoczę tylko kilka fragmentów.

Zacznę od depeszy, którą w Imieniu Ojca Świętego Papieża Piusa XI przysłał Kardynał Gaspari, na ręce nuncjusza arcybiskupa Marmaniego w Warszawie.

Ojciec Święty, który zachowuje dobrą pamięć o Jego Ekscelencji Generale Jacynie przesyła mu swoje szczere współczucie i załącza Generałowi i Jego zasnuconej rodzinie swoje apostołskie błogosławieństwo, modląc się za duszę wybraną zmarłego.

Kardynał Gaspari.

Ministerstwo Spraw Wojskowych, w liście, przysłanym przez pierwszego wiceministra, daje następującą charakterystykę Zmarłego:

....„Ten przedwczesny zgon młodego obywatela, miłującego swój kraj, dzielnego oficera i utalentowanego dyplomaty porusza dotkliwie korpus oficerski Wojsk Polskich, do którego Syn Pana Generała należał“.

Ministerstwo Spraw Zagranicznych, w liście Dyrektora Departamentu, tak pisze o nim:

....„Miałem sposobność bliżej poznać ś. p. Syna Państwa i w pełni ocenić niezwykle Jego zalety, jednające Mu tyle szczerzej życzliwości i uznania u wszystkich, którzy się z Nim kiedykolwiek zetknęli, zarówno w życiu politycznym, jak i prywatnym“.

Na zakończenie tych urzędowych charakterystyk przytoczę krótki urywek z obszernego listu jednego z wyższych dygnitarzy w Assuanie.

....„Śmierć Waszego Syna nie jest ciosem tylko dla Was rodzićów, krewnych i przyjaciół, ale i dla Polski i dla Egiptu.

.... Jak żał, że Mu nie było sądzone oglądać wyników Jego pracy w dziedzinie poznania Polski w Egipcie“.

Poza temi, poniekąd urzędowymi charakterystykami przytoczę jeszcze kilka fragmentów z listów prywatnych.

Autor Polak, którego ojciec służył na dalekich kresach — w Charbinie. Chłopiec, mając lat 16 zostaje wysłany do szkoły marynarki w Petersburgu, odwiedza nasz dom.

„Zbliżyłem się z Alą. Pokochałem go jako brata. Z Nim dzieliłem się myślami w chwilach radosnych i smutnych i nikt tak serdecznie nie żegnał mnie, kiedy wyruszałem na wojnę...

Często, pamiętam, Ala opowiadał mi o Polsce!...

Są to wspomnienia, prawie dziecinne, ale dlatego też w tej smutnej chwili, sprawiają mi tem większy ból...

Ostatniemi czasy spotykaliśmy się rzadziej, ale spotkania nasze były zawsze — morzem wspomnień z przed 15 lat...

Wydaje się to tak niedawno, jak my wszyscy zebraliśmy się na chrzcinach Ali i brat mój Cyryl trzyma Go do chrztu (Wielki Książę Cyryl, starszy syn stryja Cesarza Mikołaja II, Wielkiego Księcia Włodzimierza).

Jak my wszyscy potem interesowaliśmy się nim i jego postępami w naukach...

Po wielu latach spotykamy się znów zagranicą; pokochaliśmy Go całem sercem. Miał taki urok, że nie kochać Go było niesposób...

Głęboko wierzę, że Jego nieskalana dusza jest bliską Panu Bogu i modli się za Was...

...Rodzina nasza straciła najlepszego przyjaciela. Przyjaciela z dziecinnych lat, przyjaciela później w złej i dobrej doli. Proszę mi wierzyć, że ze śmiercią Ali, odszedł od nas ktoś tak bliski, jak tylko brat rodzony nim być może.

Ś. p. Ala był tak dobrym i serdecznym przyjacielem dla wszystkich ludzi, nawet dla mało mu znanych, iż zgon Jego odczuliśmy bardzo boleśnie, ale wierzymy wszyscy niezłomnie, iż

za Jego szlachetne i tak dobre serce, jakie wszystkim okazywał, będzie stokrotnie wynagrodzony przez Boga...

...Rozstanie doczesne z Nim odczułem niezmiernie głęboko.

Ze strony pana Ali doznałem dużo serca — niezapomniane będą dla mnie te liczne godziny, które spędzaliśmy razem na rozmowach i rozprawach.

Podziwiałem prawość charakteru, jasność myśli i ten żar przekonania, tak właściwy panu Ali, żar, którym umiał rozpłomić serca i umysły otoczenia...

„W życiu każda godzina rani, ostatnia nas zabija.

Ale to nieprawda, Ala...

Ty musisz wiedzieć, że pamięć o Tobie nie umrze nigdy wśród tych, którzy Cię znali, kochali i szanowali.

Śpij spokojnie na wieki, Ala, pod skrzydłem Twego Anioła Stróża, na tej naszej ziemi polskiej, którą tak umiłowałaś...”

Kończę fragmentem listu z Nicei od jednej z pielęgniarek Ali.

Światła gwiazda Jego nie odeszła od nas, a tylko wzniosła się wyżej, tonąc w firmamencie nieba, ale promienie Jej sięgają tych, kto choć raz w życiu miał szczęście Go poznać...

Wyraźnie dźwięczą jego słowa ujmującej miłości dla rodziców...

Pamiętam wieczory, kiedy następowało w pensjonacie uciśnienie. — Lokatorzy po upalnym dniu szli nad brzeg morza. Ja zapalałam małą lampeczkę, odmykałam okna od ogrodu.

Ala leżał spokojnie, odpoczywając po męczącym całodziennym upale — wtedy on bywał z Wami... Najmilszym jego tematem była rozmowa o swoich...

Szczycił się tem, że Jego ojciec nigdy, w najtrudniejszych chwilach życiowych, nie szedł na kompromisy. Jak błyszczały oczy Jego, kiedy powtarzał słowa ojca, że nie może istnieć prawdziwe szczęście, zbudowane na ludzkich łzach...

Nadawał wielkie znaczenie temu, że rzeźbiarski talent Matki przejawiał się w okresie Jego choroby.

Troska Matki o wszystkich ludzi w biedzie, była Jego chlubą — „żeby Pani wiedziała, jak dużo dobrego w swoim życiu zrobiła moja Matka!“

...Pan Bóg zesłał mu świetlaną duszę, wielki talent i moc, które zdążyło ocenić wielu ludzi...

Skończyłem życiorys 30-paroletniego obywatela Polaka. Bohater zginął w walce na posterunku, a była to nietylko walka życiowa, osobista, którą każdy człowiek, dążący do czegoś, prowadzić musi, lecz był to bój „o lepsze jutro“, dla bliźnich, społeczeństwa i ojczyzny...

Kończę ten rozdział, pragnąc, żeby zaznajomienie się z tem materiałem posłużyło jako bodziec do rzeczowych i godnych czynów naszej szlachetnej młodzieży.

I o ileby to się sprawdziło, chociażby częściowo — to życie Twoje, nasz kochany jedynaku, nie poszło na marne!...

Poświęciwszy ten rozdział młodzieży, chcę w epilogu przytoczyć ustęp z mowy I. Paderewskiego w Ameryce, z powodu śmierci H. Sienkiewicza: „My żyjemy w tych czasach, kiedy nie pora na żal, kiedy trzeba uderzyć w strunę drugą, o której mówił poeta Krasiński — „w czynów stal“...

A więc budujmy Ojczyznę niepodległą — całą, wolną po wszystkie czasy“!

Tymi budowniczymi będziecie Wy, młodzieży! Wasza młodość przemijać będzie w zupełnie odmiennych warunkach duchowych, niż młodość waszych pradziadów, dziadów i ojców.

Od zarania życia jesteście wolnymi obywatelami wolnego Państwa.

Jest to wielkie szczęście dla Was. Lecz pamiętać musicie, że czem większe są i będą Wasze prawa, tem większe będą i obowiązki!...

Znany jest Wam wszystkim symboliczny grób „Nieznanego żołnierza polskiego“, który padł na polu walki o niepodległość Ojczyzny. Ale również musicie przechowywać wdzięczną pamięć o tych bohaterach naszego Narodu, którzy chociaż nie na polach walki, ale przez długie szeregi lat życia codziennego, bądź pod jarzmem zaborców, bądź w ciężkich warunkach moralnych

i materialnych, przechowywali dla Was ten niegasnący Znicz —
Idealów Narodowych!

Ich miłość dla Ojczyzny, ich ciężka praca przyczyniła się
do zmartwychwstania naszego Narodu !

Ten największy skarb Narodowy — „Wolność“ — tylko
wtedy przechowacie i przekażecie w spadku przyszłym pokole-
niom, o ile zrozumiecie i wczujecie się w to, że:

Świat należy do silnych wiara, wolą i wiedzą.





JAN JACYNA

GENERAŁ DYWIZJI, B. GENERALNY ADJUTANT NACZELNIKA PAŃSTWA, PIERWSZY SZEF DEPARTAMENTU NAUKOWO-SZKOLNEGO W ODRODZONEJ POLSCE, B. SZEF POLSKIEJ MISJI WOJSKOWEJ W PARYŻU, B. PREZES KOMISJI „NACZPOLU“, B. ABSOLWENT AKADEMJI MORSKIEJ I ARTYLERYJSKIEJ W PETERSBURGU, KOMANDOR ORDERU „POLONIA RESTITUTA“, KAWALER KRZYŻA WALECZNYCH, KOMANDOR „LEGJI HONOROWEJ“, „ISABEL LA CATOLICA“ I WIELU INNYCH.

OPATRZONY ŚW. SAKRAMENTAMI, ZASNAŁ W BOGU
DNIA 10-go GRUDNIA 1930 ROKU, PRZEŻYWSZY LAT 65.

Pamiętniki ś. p. Generała JACYNY są Jego ostatniem pożegnaniem świata i ostatnim „raportem“, zdany m społeczeństwu.

Ogarnął w nich ś. p. Autor to wszystko, co przez długi szereg lat było Jego nadzieją i obawą, radością i smutkiem i chociaż dokończył je słabnącą już ręką dał mimo to czytelnikowi pełny obraz swego pracowitego i szlachetnego życia.



346651

12